tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 6 (1361)
2-8.02.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

ADAM BOROWSKI
– JAKIE PiS, TAKI BOHATER

JAN KOMASA
KRĘCI MNIE SPLENDORYZM

ZABICI NA KOMISARIACIE

„BURY"
ZBRODNIE NA PODLASIU



KRÓTKA PAMIĘĆ TRUMPA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 06
9 771509 311607

eprasa.pl c9f2caf81d

TEATR CAPITOL



GENEROWANE SPOJRZENIA

KINO NIEME

muzyka na żywo

SZTUCZNA INTELIGENCJA

SZCZEGÓŁY www.teatrcapitol.pl

WSTĘP WOLNY*

*DARMOWE WEJŚCIÓWKI DO ODBIORU W KASIE TEATRU CAPITOL OD 19 STYCZNIA. LICZBA MIEJSC OGRANICZONA.

muzyka
sztuka wideo
koncerty audiowizualne

SAUNA FESTIVAL

Warszawa

6-8.02.2026

Nour Sokhon AV

Myriam Rey

Eivind Vullum

Rabih Beaini

Flora Yin Wong

biøs & Laura Adel AV

Jerzy Mączyński

Bridget Ferrill

Hubert Zemler + Bartosz Szablowski

Carme Lopez

ssscreep

Poly Chain

localhost.TV AV

Katarzyna Dębska

Hanna Abrahmsson

ul. Marszałkowska 115
Warszawa
wejście od strony Sceny Mniejszej Teatru Capitol

Wstęp wolny
Rezerwacja bezpłatnych wejściówek
przez kod QR lub stronę festiwalu:
www. saunaplatform.com

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY

Rzeczpospolita Polska

Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl c9f2caf81d



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Trzeba się zmierzyć z prawicą

„Ta zbrodnia ma znamiona ludobójstwa”, powiedział Włodzimierz Czarzasty w Zaleszanach w czasie uroczystości upamiętniających 80. rocznicę pacyfikacji mieszkańców pięciu podlaskich wsi. Zimą 1946 r. zamordowano tam według IPN 79, a według społecznego komitetu rodzin 82 osoby. Sprawcami mordów były oddziały Romualda Rajsa „Burego”. Marszałek Sejmu przypomniał, że były próby zamazywania tej prawdy przez niektóre środowiska.

To jest stała praktyka prawicy, która traktuje politykę historyczną jako ważne narzędzia ogłupiania młodych pokoleń. „Bury”, „Ogień”, „Łupaszka” to ich bohaterowie. Gdy mówią o historii, to zawsze kłamią. Były premier Mateusz Morawiecki, składając wieniec na grobowcu członków Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych, uczcił morderców i współpracowników gestapo.

Z rąk „wyklętych” zginęły po wojnie 5143 osoby. Brutalnie zamordowano 187 dzieci w wieku do 14 lat. Te ofiary mają imiona i nazwiska. Niestety, nie mają nawet skromnych tabliczek na murze, ani kamieni na polu czy w lesie, gdzie dopadli ich mordercy. IPN nieustannie, a PiS okazyjnie czczą bandytów mających na sumieniu wiele cywilnych ofiar. Aktywni są spadkobiercy szmalcowników. Ta haniebnie zapisana w polskiej historii i wcale nie mała grupa ludzi nie została po wojnie rozliczona. To zło, które czynili, nie skończyło się przecież na nich. Mieli rodziny, żyli w środowiskach wychowywanych w pogardzie do innych. Zagrabione dobra ofiar do dziś są mroczną tajemnicą niejednej rodziny. A co z mordercami chłopów, którzy orali ziemię otrzymaną z reformy rolnej? Reformy, za którą w czasie wojny opowiadały się praktycznie wszystkie ważniejsze środowiska polityczne. I mordercami nauczycieli, którzy analfabetów uczyli pisać i czytać?

Głosiciele bredni sławiących tych, którzy mordowali, a nie tych, którzy odbudowywali zrujnowany kraj, w dużej części nie są głupkami. Robią to, bo są cynikami i kunktatorami. Potrzebują swoich bohaterów. A że nie mają takich, za którymi warto by pójść, to na sztandary wciągają szubrawców. Licząc na to, że jeśli kłamstwa powtórzy się milion razy, to znaczne grupy ludzi w nie uwierzą. A jak zobaczą jeszcze pomniki, nowe muzea, nazwy placów i ulic, to bardzo trudno będzie im odróżnić, co jest prawdą, a co łgarstwem.

Dysponująca wieloma medialnymi armatami prawica ma tu przewagę, bo środowiska lewicowe mają zbyt skromne możliwości, by zrównoważyć narrację IPN, prezydenta Nawrockiego i polityków prawicy. Czy to się może zmienić? Tak, gdy po stronie prawdy staną potomkowie pomordowanych i potomkowie budowniczych Polski Ludowej. Mają przecież środki na konfrontację z prawicą i pokazanie, jak wtedy było. Prawda sama się nie obroni.

Nasza Fundacja (Oratio Recta) ma potencjał do dużo szerszej działalności. Potrzebujemy jednak sojuszników i środków.

BĄKOWSKI



eprasa.pl c9f2caf81d

W NUMERZE

KRAJ

8 Krótka pamięć Trumpa
Polskie ofiary konfliktów USA

12 Można żyć z polityki
Adam Borowski – nowy bohater PiS

14 Geografii nie zmienimy. Albo jakoś się dogadamy z Rosją, albo będziemy wzajemnie się niszczyć
– rozmowa z dr. Jarosławem Suchoplesem

20 Dlaczego policjanci krzywdzą tych, których powinni chronić?
Śmiertelne interwencje

24 Albo patriotyzm, albo zyski
Polskie firmy idą w świat

OPINIE

28 Wiesław Żółtkowski
Długi rządzą polityką

ZAGRANICA

30 W poszukiwaniu nowych biegunów
Premier Kanady kontra prezydent USA

34 Hartuje nas zima
Terror nowe polityki imigracyjnej USA

38 Od pochodni do podium
Zimowe igrzyska Mediolan-Cortina 2026

41 Coraz mniej Moskwy
Korespondencja z Rygi

HISTORIA

44 Niewinni jak „Bury"
Terror „wyklętych" na Podlasiu

47 Negocjacje z Rosją
Wspomnienia Jerzego Sułka

KULTURA

48 Między przypadkiem a przeznaczeniem
– rozmowa z Janem Komasą

52 Qulturalia

66 Bohaterowie współczesnej melancholii
– malarstwo Miriam Pawlęgi

SPORT

54 Trubin bohaterem Lizbony
Jak Liga Mistrzów kończyła grupową fazę rozgrywek

OBSERWACJE

56 W tej robocie nie możesz być zimną rybą
Przypadki ratownika medycznego

60 Paryż bez kawiarni nie istnieje
Bistro zagrożone

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Trzeba się zmierzyć z prawicą

19 Jan Widacki
Problem z Madagaskarem

27 Andrzej Romanowski
Z samych prawaków zguba Polaków

33 Roman Kurkiewicz
Suwerenność i pochwała policyjnych mordów

53 Tomasz Jastrun
Bezsilność

59 Wojciech Kuczok
Stany Zrozpaczone Ameryki



20 KRAJ

DLACZEGO POLICJANCI KRZYWDZĄ TYCH, KTÓRYCH POWINNI CHRONIĆ?
Śmiertelne interwencje



38 ZAGRANICA

OD POCHODNI DO PODIUM
Zimowe igrzyska Mediolan-Cortina 2026



60 OBSERWACJE

PARYŻ BEZ KAWIARNI NIE ISTNIEJE
Bistro zagrożone



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d

Zima z białą laską


Zima z białą laską

Na forach dla niewidomych co roku pojawia się pytanie: rzucia potoni na poruszanie się w śniegu?

Dawno nikt nie otworzył mi tak szeroko oczu, jak pan Tomasz Matczak tekstem „Zima z białą laską”. Niewidomy autor opisuje problemy, jakie ma w pokonywaniu codziennej drogi do pracy w czasie zimy. Kiedy my – widzący – zachwycamy się białym puchem przykrywającym wszystkie brudy, on czasami walczy o życie, bo nie wie, czy jest jeszcze na chodniku, czy już na jezdni. Dramatyczne są jego słowa: „Gdyby nie ta zima, (…) byłoby łatwo, czyli gdzie chodnik poniesie, ale nie było chodnika. Nie było też trawnika ani nic innego, jak laską sięgnąć”. Dobrze byłoby, gdyby ten tekst dotarł do osób odpowiedzialnych na wszystkich szczeblach za odśnieżanie. Ale także nas wszystkich powinien on uwrażliwić na to, że w czasie zimy z opadami śniegu i ślizgawicą powinniśmy być bardziej uważni na osoby, które znajdują się obok nas na ulicy. Nie tylko niewidome, również starsze, poruszające się z kłopotami. Czasem nasza ręka może być im bardzo potrzebna.

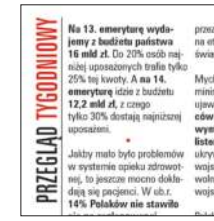
Joanna Księżak

Poczta Polska jak krecik

Tyle narzekamy na Pocztę Polską. A przecież ta instytucja potrafi bić rekordy. Oto list priorytetowy wysłany z warszawskich Kabat 19 grudnia ub.r. dotarł na ulicę Gżegżółki w Warszawie 19 stycznia br. W ciągu 31 dni przebył odległość 3,6 km, co daje prędkość 4,8 m/godz. Mniej więcej tyle czasu na wykopanie korytarza potrzebowałby sympatyczny krecik.

Izabela Niewiadomska

ZUS to nie MOPS


PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Na 13. emeryturę wydajemy z budżetu państwa 16 mld zł. Do 20% osób najniżej uposażonych trafia tylko 25% tej kwoty. **A na 14. emeryturę** idzie z budżetu **12,2 mld zł**, z czego tylko 30% dostają najniższej uposażeni.

Jakby mało było problemów w systemie opieki zdrowotnej, to jeszcze mocno dokładają się pacjenci. W ub.r. **14% Polaków nie stawiło**

W nawiązaniu do informacji dotyczącej 13. i 14. emerytury chcę bardzo nieśmiało przypomnieć zacnej Redakcji, że ZUS to nie Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej (MOPS), a emerytura to nie świadczenie socjalne zależne od dochodu przypadającego na daną osobę. Emerytura to świadczenie, które jest zależne od aktywności zawodowej każdego z nas, czyli przyszłego emeryta. Niestety, od początku XXI w. wśród naszych polityków nasiliła się tendencja, aby emeryturę zmienić w „świadczenie socjalne” zależne od aktualnych potrzeb danej partii. Rozpoczął to pan Tusk, wprowadzając (nie pamiętam roku) waloryzację kwotową równą dla wszystkich emerytów. Nie zapomnę do końca mojego życia, jak krzyczał z trybuny sejmowej, że wreszcie teraz będzie sprawiedliwie!

Czytając informację na temat 13. i 14. emerytur, można oczekiwać, że wkrótce będą zamieszczane w mediach listy hańby, a w nich nazwiska i zdjęcia emerytów, którzy mimo swoich „wysokich emerytur” śmią pobierać trzynastki i czternastki.

Przedmiotem szczególnej troski mediów są oczywiście ci biedni emeryci, którzy dostają np. 2 gr miesięcznie z ZUS. Ci, którzy zapracowali na godziwe emerytury, milczą. Ze strachu. Bo gdyby ośmielili się powiedzieć, że emerytura pozwala im na godne życie, zostaliby zmasakrowani. Jako: ubecy, komuchy, złodzieje, oszuści, onuce, agenci Putina itp.

Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby Szanowna Redakcja zechciała od czasu do czasu przyjrzeć się bliżej nie tylko emerytom „najniżej uposażonym”, ale również tym emerytom, którzy mają to nieszczęście, że są „wyżej uposażeni”. Może to uświadomi przyszłym emerytom, że wysokość ich przyszłej emerytury zależy przede wszystkim od nich samych.

Elżbieta Szymkowiak

ZDJĘCIE TYGODNIA



Podczas spotkania z mieszkańcami Minneapolis 55-letni Anthony J. Kazmierczak zaatakował demokratyczną kongresmenkę Ilhan Omar. Dominik Tarczyński do tej pory nie skomentował tego incydentu w mediach społecznościowych. Minneapolis, 27 stycznia 2025 r.

FOT. OCTAVIO JONES/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d

Produkt krajowy brutto w 2025 r. zwiększył się o **3,6%.** Odnotowano także wzrost inwestycji o **4,2%** (w 2024 r. spadły o 0,9%) **(GUS).**

•

W podlaskich Zaleszanach upamiętniono 80. rocznicę pacyfikacji kilku wsi przez oddziały Romualda Rajsa „Burego". Zginęły 82 osoby. „Ta zbrodnia ma znamiona ludobójstwa", powiedział w czasie uroczystości marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty.

•

Zaczęły obowiązywać przepisy zaostrzające kary wobec kierowców, którzy mimo zakazu wsiadają za kółko. Grozi im teraz dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Zaostrzono też przepisy dotyczące konfiskaty samochodów pijanym kierowcom. W przypadku gdy kierujący ma ponad 1,5 promila, konfiskata jest obligatoryjna.

•

Jakie podatki wpływają do kasy państwa? **Z PIT i konsumenckiego VAT ok. 390 mld zł rocznie, a z CIT od zysków firm ok. 60 mld zł.** Gdy dołożyć do tego składki ZUS i zdrowotne, pracownicy i konsumenci zasilają sektor publiczny kwotą 996 mld zł. Przy ok. 60 mld zł z podatku od zysków firm **(„Nie").**

•

Według badaczy Science Feedback najwyższa częstotliwość występowania dezinformacji jest na TikToku. Niemal 20% treści przekazywanych użytkownikom zawierało informacje fałszywe lub wprowadzające w błąd. Na Facebooku było ich 13%, a na X (Twitter) 11%. Najlepiej wypadł LinkedIn (2%).

•

Już 130 Polaków deportowano z USA. Szacuje się, że nielegalnie przebywa tam 100 tys. Polaków, którzy boją się odesłania do kraju. Wielu z nich, a zwłaszcza górale, głosowało na Trumpa.

•

Agata Turkot została laureatką **Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego** za wybitną kreację w filmie Wojciecha Smarzowskiego „Dom dobry".

•

Prezes jak z horroru, czyli Radosław Piesiewicz, który przyspawał się do PKOl, na kilka dni przed igrzyskami olimpijskimi wszczął wojnę z Adamem Małyszem i Polskim Związkiem Narciarskim. PKOl pozmieniał zawodników, którzy mają startować we Włoszech. Piesiewicz po chamsku zaatakował Małysza.

•

W wyniku kontroli przeprowadzonych w 370 schroniskach dla zwierząt nieprawidłowości stwierdzono w 40.

•

Najstarsze samochody osobowe są w Grecji. Ich średni wiek to 17,8 lat, a później jest Polska (15,2), Niemcy (10,8), Dania (9,8) i Luksemburg (8,2).

•

Z 71 tys. firm taksówkowych, które działały w Polsce w 2019 r., w wyniku upadłości, dziś funkcjonuje 49 tys. 43% z nich uważa, że sytuacja finansowa tej branży jest słaba, a 25% że bardzo zła. Kontrole w stolicy w grudniu ujawniły, że co trzeci kierowca na aplikację łamał prawo **(„Rzeczpospolita").**

•

51 350 zł, najwyższą emeryturę w Polsce, pobiera w woj. śląskim mężczyzna, który przeszedł na emeryturę w wieku 86 lat, po 67 latach płacenia składek.

•

Najdłuższe, bo 47-metrowe tramwaje, które mogą pomieścić do 300 pasażerów, będą jeździły po Gdańsku. Za 20 sztuk miasto zapłaci 500 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Nie wiedzieli, że są w zakonie



Kolumbijczyk Mateo opowiedział redakcji OKO.press, jak załatwił sobie pracę w Polsce. Choć zezwolenia nie miał, pracował jako członek nowo powstałego Zakonu Najświętszej Maryi Panny. Czyli brat zakonnik. Skierowany do pracy w ramach „posługi duchownej". Braci zakonnych było wielu, a ich posługa polegała na robocie w budowlance czy w sortowniach. Po co ten cyrk? Oszczędność na podatkach i ZUS. A kto to wymyślił? Dojna zmiana w akcji. Maciej Lisowski, społeczny asystent wiceministra rolnictwa Lecha Kołakowskiego (PiS), prezes zarządu agencji So Job. Kołakowski załatwiał wizy tym, których zatrudniła agencja Lisowskiego. Czyli braciom zapisanym do zakonu.

Węgiel na ratunek



Taki mamy rok, że zima znowu jest zimą. Po paru ciepłych latach szybko rosła popularność grup wojujących z węglem. Na sztandarach mieli (i mają) zamykanie kopalni. Bo mamy przecież wiatraki, fotowoltaikę i pompy ciepła.

Mamy, mamy. Ale wystarczyło kilka tygodni z minusowymi temperaturami i gdyby nie węgiel, byłaby tragedia. 19 stycznia zmierzono największe w historii zapotrzebowanie krajowego systemu na moc. Jak sobie poradziliśmy? 59,9% energii wyprodukowano z węgla (!). Elektrownie wiatrowe i fotowoltaika dołożyły 21,2%, a gaz 13,9%. Mocno lansowany jest gaz. Lobbyści amerykańscy są tu bardzo aktywni. Niestety, gazu nie mamy. Mamy węgiel. Wróćmy więc do propozycji prof. Adama Gierka opisywanych na tych łamach. Będzie ciepło. I ekologicznie.

Agnieszka Glapiak, zegarek i wiele miejsc pracy



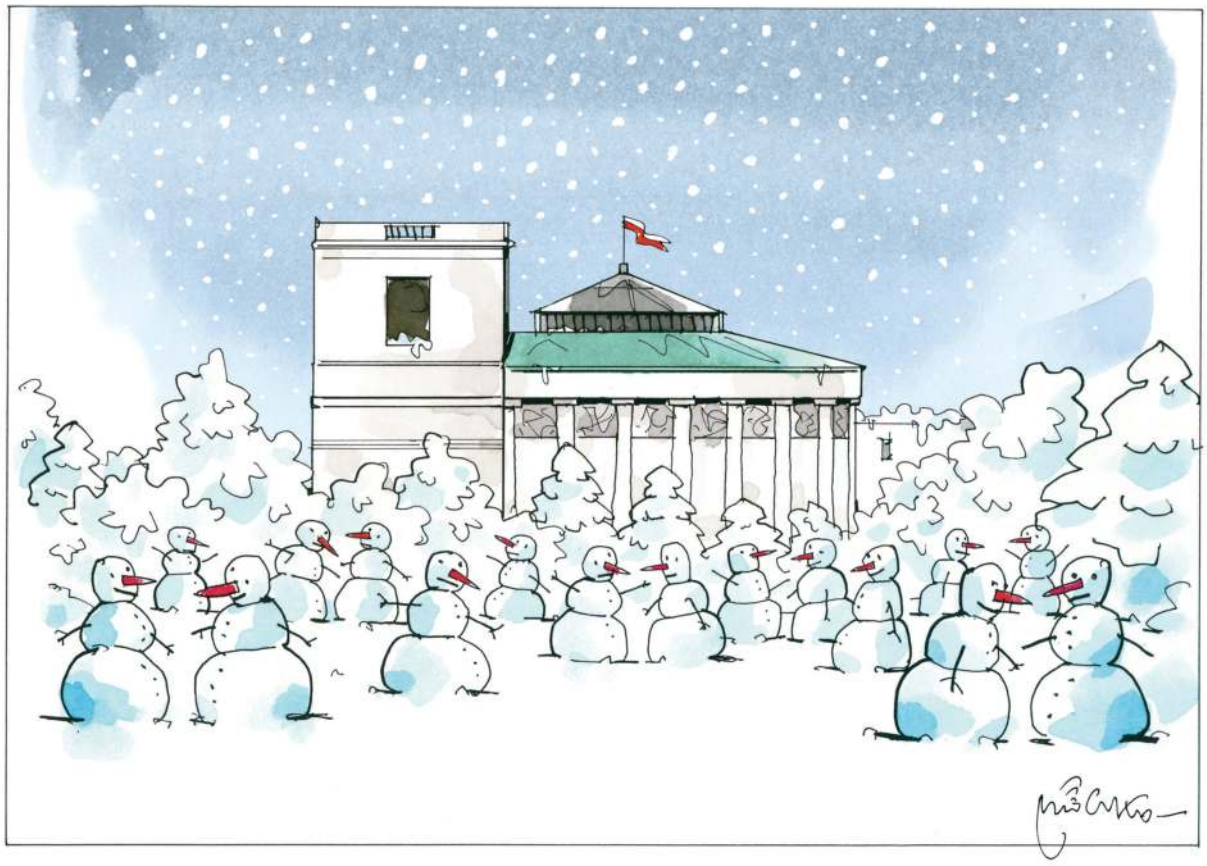
Kolejny dowód na mizerny poziom kadr PiS to Agnieszka Glapiak. Od lipca zastępuje „taliba PiS" (Macieja Świrskiego) i jest przewodniczącą Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Przewodniczącą kuriozalną, bo z zarzutami prokuratury.

Glapiak pracowała wcześniej u ministra Błaszczaka w MON. Ministerstwo, goszcząc delegacje zagraniczne, wręczało prezenty, m.in. zegarki. I tak się porobiło, że zegarek marki Longines La Grande Classique nie trafił do Koreańczyków, ale do Glapiak. Polityczka zaprzecza, ale prokurator wie swoje. Nie jest to zresztą jej jedyny problem. Za rządów PiS zasiadała w radach nadzorczych spółek skarbu państwa i była dyrektorem w Akademii Sztuki Wojennej. Miała z tego drugą pensję. W KRRiT przepisy nie pozwalają na dodatkowe zarobki. Co więc zrobiła Glapiak? Zmieniła zasady dotyczące swojego stanowiska. I znowu może kosić kasę z paru źródeł. Ach, to PiS i jego zasady.

FOT. SCHUTTERSTOCK, YOUTUBE (2)

eprasa.pl c9f2caf81d

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego ludzie wciąż tak chętnie oglądają seriale z czasów PRL?

DR IWONA MOROZOW,
kulturoznawczyni, filmoznawczyni, Uniwersytet SWPS

Dla starszego pokolenia to elementy popkultury młodości, uruchamiające nostalgię i potrzebę powrotu do przeszłości. Te same seriale oglądane po latach często zyskują nowe znaczenia i pozwalają zobaczyć, jak zmieniliśmy się my sami oraz jak zmieniła się rzeczywistość. Dla młodszych widzów ważna bywa kultowość tytułów i moda na retromanię, która czyni dawne czasy fascynującymi. Istotna jest też perspektywa nadawców, ponieważ seriale z PRL mają sprawdzoną publiczność, dlatego wracają na antenę jako bezpieczne i atrakcyjne treści.

JACEK SNOPKIEWICZ,
wykładowca, PWSFTiT w Łodzi

Starsi z sentymentu do dawnych czasów i młodości. Młodsi są zaciekawieni PRL, o której nic nie wiedzą. Przecież „Czterdziestolatek" pokazywał podstępnie absurdy tego okresu. Wynika to też z monopolu TVP, bo nie było innych stacji i każdy oglądał telewizję publiczną. Tak się tworzył poniewierany dziś kapitał społeczny. Ważne były budżety, często bez dna. Bez kasy trudno o jakość w telewizji, nie mówiąc o reżyserach. Andrzej Konic, Jerzy Gruza, Janusz Morgenstern, Jerzy Antczak – to były lokomotywy, którym paliwa dorzucali scenarzyści najwyższej klasy, jak Jerzy Janicki czy Andrzej Mularczyk. Decyzje programowe też podejmowali zawodowcy. Nie pamiętam przekrętów decyzyjnych z tamtych czasów w rodzaju „kto i za ile". Dzięki temu mamy bezbłędną „Stawkę większą niż życie" czy arcydzieło serialowe „Kariera Nikodema Dyzmy", teraz coraz bardziej aktualne.

DR MAŁGORZATA SMOLEŃ,
filmoznawczyni, Uniwersytet Jagielloński

Wiele zależy od pokolenia. Dla roczników 40. i 50. to nostalgiczny powrót do „własnego" świata. Działa też reguła treści znanych: chętniej wybieramy to, co znamy i co nie stawia oporu w odbiorze. Pokolenia lat 70. i 80. pamiętają te tytuły z ramówki, a dziś oglądają je także, by pokazać dzieciom realia sprzed transformacji. Istotna jest też jakość i rzemiosło: tempo, dialog i typy komediowe („Czterdziestolatek", „Alternatywy 4", „Zmiennicy") oraz gatunkowa przygoda z czytelnymi regułami („07 zgłoś się", „Stawka większa niż życie"), gdzie łatwo rozpoznać, kto gra po której stronie (dobro/zło).

DR HAB. JACEK WASILEWSKI
profesor nauk społecznych, UW

Oglądanie znanych seriali pełni funkcję rytuału. Jak tradycyjne potrawy na Wigilii czy stare zdjęcia przywołują poczucie bezpieczeństwa i nostalgii. Znamy sceny, dialogi i bohaterów, więc wiemy, na co czekamy. Powrót do tych historii uruchamia wspomnienia młodości, czasu beztroski i szczęścia. To nie tylko oglądanie serialu, ale też budowanie dobrego samopoczucia i kontakt z własną przeszłością.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl c9f2caf81d



KRÓTKA PAMIĘĆ TRUMPA

Służyli ramię w ramię z Amerykanami. Dziś słyszą, że byli „niepotrzebni” i „trzymali się z tyłu”

Kornel Wawrzyniak

To była cisza przed burzą. Kolumna czterech MRAP-ów (wojskowych pojazdów opancerzonych) dotarła bez problemów do wioski. Wizyta w mauzoleum też przebiegła sprawnie. Specjaliści i ochraniający ich żołnierze wrócili do pojazdów oczekujących na placu. Konwój ruszył. Wybuch. Plac w Rawzie spowił kurz. W powietrzu latały kamienie, odłamki uderzały w pancerze wozów. Mina pułapka. Zginęło pięciu polskich żołnierzy 20. Brygady Zmechanizowanej: st. kpr. Piotr Ciesielski, st. szer. Łukasz Krawiec, st. szer. Marcin Szczurowski, st. szer. Marek Tomala i szer. Krystian Banach. Najmłodszy z nich miał 22 lata. To był 21 grudnia 2011 r. W rocznicę tamtego wydarzenia czcimy Dzień Pamięci o Poległych i Zmarłych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Państwa.

Panie Trump, właśnie tak działa NATO

Donald Trump stwierdził, że Stany Zjednoczone nigdy nie potrzebowały pomocy NATO: „My nigdy ich nie potrzebowaliśmy. My nigdy tak naprawdę o nic ich nie prosiliśmy”. Jak mówił prezydent USA w telewizji Fox News, wojska NATO podczas misji w Afganistanie „trzymały się trochę z tyłu” i „trochę z dala od linii frontu”.

Do Afganistanu, obok sił USA, wkroczyły wojska wielu państw NATO, w tym Polski. Zachodni sojusznicy, m.in. żołnierze z Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch czy Danii, przebywali w Afganistanie niemal 20 lat. W tym czasie zginęło ponad 3,5 tys. żołnierzy koalicji. 1144 z nich było żołnierzami państw sojuszniczych. W misjach w Afganistanie i Iraku zginęło łącznie 65 Polaków. Według danych dowództwa operacyjnego obrażenia w działaniach bojowych w Afganistanie odniosło ponad 800 osób, z których 361 zostało rannych. Setki naszych żołnierzy odniosło rany, z którymi żyją do dziś. Ranni często doznawali ciężkich urazów wielonarządowych. W wielu wypadkach potrzebne były amputacje kończyn. Najczęstszą przyczyną ciężkich obrażeń były improwizowane urządzenia wybuchowe (ang. IED), pieszczotliwie nazywane „ajdikami”.

Obraz wydarzeń w Afganistanie przedstawiany przez Trumpa jest zakłamany. Przypomnijmy, że po ataku Al-Kaidy na World Trade Center i Pentagon 11 września 2001 r. Stany Zjednoczone jako pierwszy i jak dotąd jedyny kraj w historii NATO uruchomiły procedury zapisane w art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Stanowi on, że atak na jedno z państw NATO uważa

eprasa.pl c9f2caf81d

W zamachu w Iraku zginęli ppor. Daniel Różyński i st. szer. Grzegorz Nosek z 6. Brygady Desantowo-Szturmowej w Krakowie oraz ppor. Piotr Mazurek z 15. Batalionu Saperów w Orzyszu. Ich ciała przetransportowano do Polski. Lotnisko Wojskowe w Balicach, 15 września 2004 r.

się za atak na cały Sojusz, a wszyscy członkowie Sojuszu przyjdą z pomocą zaatakowanemu państwu.

– Sojusz Północnoatlantycki polega na spełnianiu pewnych obowiązków wynikających z przynależności do niego. Jednym z takich zobowiązań, zgodnie z art. 5, jest solidarne wsparcie państwa członkowskiego, które zostało napadnięte. Ze swojego obowiązku polscy żołnierze, jak i inni członkowie NATO, którzy brali udział w wojnie w Afganistanie, wywiązali się w stu procentach. Zginęło tam 44 naszych kolegów. Kilkuset zostało rannych i od tamtego czasu do końca życia będą odczuwać te rany i tę wojnę – mówi płk rez. Szczepan Głuszczak, weteran, który służył w Iraku i Afganistanie.

Słowa Trumpa dowodzą, że nie ma on pojęcia, jak wyglądały obie wojny. Nikt nie zostawał na tyłach. Nawet jeśli bazy należały do konkretnych państw, stacjonowali tam żołnierze różnych nacji, w tym Amerykanie. Aby się o tym dowiedzieć, wystarczyło zapytać jednego z weteranów. Wszak same działania w Afganistanie trwały 20 lat.

– Słowa Donalda Trumpa wydają się odklejone od praktyki. Dla mnie i wielu polskich żołnierzy to wypowiedź krzywdząca. Nasze doświadczenia z misji w Iraku i Afganistanie są zgoła inne. Pracowaliśmy i służyliśmy ramię w ramię z żołnierzami amerykańskimi, tak jak żołnierze innych nacji, którzy byli na obu misjach. Polska miała swoje strefy odpowiedzialności zarówno w Afganistanie, jak i w Iraku. Relacje z żołnierzami amerykańskimi były bardzo dobre, a dziś jako prezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju mogę powiedzieć, że stosunki z weteranami wszystkich nacji, w tym z Amerykanami, są bliskie i serdeczne. Spotykamy się i przełamujemy bariery na przedsięwzięciach, które wspierają rehabilitację i system powrotu do zdrowia – mówi weteran z Iraku Tomasz Kloc, starszy chorąży sztabowy w stanie spoczynku.

Polacy na froncie

Polacy zajmowali się jedną z najtrudniejszych prowincji w Afganistanie. Warto mieć świadomość, że prowincja Ghazni cała była usiana minami pułapkami. Przejechanie kilku kilometrów zajmowało mnóstwo czasu. Na dodatek teren jest tam całkowicie płaski. Nie było więc żadnej naturalnej osłony przed ostrzałem.

– Jako Polska byliśmy odpowiedzialni za bardzo niebezpieczną strefę i prowincję Ghazni. Przebiegała tamtędy autostrada nazywana Highway One, łącząca Kabul z Kandaharem, więc można uznać to za punkt wyjątkowo newralgiczny. Obszar bardzo mocno nasycony improwizowanymi ładunkami wybuchowymi. Znany z szerokiej działalności przeciwko wojskom koalicyjnym. Tak naprawdę byliśmy odpowiedzialni za dość strategiczny kawałek Afganistanu – mówi płk rez. Szczepan Głuszczak.

W rekordowym pod względem ilości wojsk 2011 r. misja ISAF w Afganistanie liczyła 130 tys. żołnierzy z 50 państw. Polskich żołnierzy było wówczas ponad 2,5 tys. W 2014 r. gen. Bogusław Pacek podkreślał, że część weteranów wróciła z misji w Afganistanie nie tylko z odniesionymi ranami, ale i z PTSD (zespołem stresu posttraumatycznego). Przez niemal 20 lat w zorganizowanej na wniosek USA misji łącznie uczestniczyło 33 tys. żołnierzy i pracowników resortu obrony narodowej. Polska znalazła się na siódmym miejscu wśród wszystkich krajów sojuszniczych, jeśli chodzi o straty osobowe. Łącznie w Iraku i Afganistanie zginęło też 450 Brytyjczyków, 89 Niemców, 53 Włochów i 43 Duńczyków. Dziś temu ostatniemu państwu, liczącemu 6 mln mieszkańców, Donald Trump chce odebrać Grenlandię.

– Polacy prowadzili bardzo dynamiczne i śmiałe działania operacyjne, likwidowali składy materiałów do produkcji improwizowanych ładunków wybuchowych, chwytali najbardziej poszukiwanych z listy tzw. JPEL (Joint Prioritized Effects List) czy mieli wkład w odbudowę i rozwój Afganistanu. Wszystko to jest świadectwem wielkiego oddania sprawie i odpowiedzialności sojuszniczej. Dlatego uważam ocenę sojuszników przez prezydenta Donalda Trumpa za bardzo niesprawiedliwą. Ci wszyscy żołnierze walczyli ramię w ramię z Ameryką i przelewali w Afganistanie krew – kontynuuje płk rez. Szczepan Głuszczak.

Ekspert Polskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych Wojciech Lorenz, który pracował jako cywil w ramach XIV zmiany PKW Afganistan, wśród zysków z udziału Polaków wymieniał solidarność sojuszniczą. Po zamachach z 11 września 2001 r. NATO zastosowało art. 5. Biorąc udział w tej misji, Polska miała więc wzmacniać spójność NATO, gwarancje art. 5. i relacje z USA. Nasz udział miał mieć bezpośrednie przełożenie na nasze bezpieczeństwo. Dziś Trump skreśla te zapewnienia jednym zdaniem.

– Oceny polskich żołnierzy powinni dokonywać inni żołnierze, z którymi wspólnie walczyliśmy. Pamiętam jak Amerykanom wielokrotnie zależało np. na tym, aby nasi żołnierze i nasze transportery jeździły z ich patrolami. Nie mieliśmy kompleksów, a nasi żołnierze byli dobrze wyszkoleni, doświadczeni i wyposażeni. Mimo że baza była pod polską flagą, to służyliśmy razem z innymi krajami koalicyjnymi. Razem byliśmy na pierwszej linii frontu – podkreśla Szczepan Głuszczak.





eprasa.pl c9f2caf81d

Gdyby wierzyć słowom Trumpa, pozostaje pytanie, gen. w st. spocz. Ryszarda Wiśniewskiego: „Czy w Ameryce Legię Zasługi przyznaje się za dyrdymały?". „Za Afganistan zostałem odznaczony amerykańskim medalem Legia Zasługi i Brązową Gwiazdą. A teraz prezydent kraju, który uhonorował mnie za wspólną służbę, powiedział, że byłem tam niepotrzebny, nikt mnie tam nie zapraszał. A tak w ogóle to przebywałem gdzieś z tyłu", mówił na łamach „Gazety Wyborczej" gen. Wiśniewski.

Amerykanie wielokrotnie odznaczali polskich żołnierzy, którzy brali udział w misjach w Afganistanie i Iraku. I tak w 2012 r. amerykańskimi odznaczeniami uhonorowano 16 polskich żołnierzy, w tym gen. Ryszarda Wiśniewskiego, który jako jeden z dwóch generałów dostał wtedy najwyższe odznaczenie – Legię Zasługi. W 2015 r. czterech polskich żołnierzy otrzymało medale Armii Stanów Zjednoczonych, które w Kielcach wręczał chargé d'affaires ambasady amerykańskiej w Warszawie John Law. Mjr Zygmunt Sabik został uhonorowany medalem za zasługi na służbie (Meritorious Service Medal), a kpt. Leszek Wierzbicki, kpt. Marian Orzechowski oraz st. kpr. Łukasz Janus otrzymali medale uznania (Army Commendation Medal).

John Law, który sam przebywał w Afganistanie, podkreślał „odwagę i zaangażowanie" polskich żołnierzy podczas tamtejszej operacji. Mówił też, że Polacy wyróżniali się profesjonalizmem i wyszkoleniem. „Polska stała ramię w ramię na polach bitewnych w Afganistanie i w Iraku, jesteśmy bardzo za to wdzięczni. Oba nasze kraje zapłaciły ogromną cenę w formie zainwestowanych zasobów, jak i ludzkich istnień, by zapewnić bezpieczeństwo i pokój w tamtym regionie", zaznaczał Law.

Amerykańscy oficjele nigdy nie szczędzili zresztą pochwał polskim żołnierzom. W 2008 r. gen. bryg. Wojciech Grabowski i płk Paweł Hejna otrzymali Meritorious Service Medal. Ówczesny attaché obrony ambasady USA płk Rick Runner podkreślał, że to jedno z najwyższych amerykańskich odznaczeń wojskowych. „Tysiące polskich żołnierzy służyło ramię w ramię z żołnierzami amerykańskimi przez 10 rotacji w Iraku i trzy w Afganistanie; chcemy oddać im hołd", mówił wtedy ambasador USA w Polsce Victor Ashe.

A co do „pozostawania gdzieś z tyłu", to odznaczony płk Hejna kierował w Iraku logistyką, podkreślmy, wielonarodowej dywizji pod polskim dowództwem. Jako największe wyzwanie płk Hejna wymieniał początki Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe w Iraku, gdy organizowano jednostkę z „26 państw, z różnymi potrzebami i kontyngentami liczącymi od kilkudziesięciu ludzi do 2,5 tys.", a także transport prawie 30 tys. ludzi oraz sprzętu z Kuwejtu do Iraku.

Tymczasem w 2021 r. ambasador Tom Rose pisał w serwisie X: „Dziś świętowaliśmy powrót dzielnych polskich żołnierzy z zakończonej niedawno misji w Afganistanie. Polska i Stany Zjednoczone stanęły ramię w ramię z sojusznikami NATO po stronie wolności. Nigdy nie zapomnimy i zawsze będziemy wdzięczni za Wasze wsparcie". Dziś Tom Rose gasi pożary po wypowiedzi Donalda Trumpa, zapewniając, że 47. prezydent USA jednak szanuje polskich żołnierzy. Problem w tym, że o takim szacunku nie zapewnił nikogo sam Trump. Tłumaczą go wszyscy inni.

W misjach w Afganistanie i Iraku zginęło 65 Polaków.

Trump pluje, Nawrocki mówi, że to deszcz

Rozczarowująca zarówno dla żołnierzy, jak i obywateli jest postawa rodzimych polityków wobec słów prezydenta USA.

– Politycy zawsze będą ważyć słowa. Jako obywatel domyślam się, że stonowane reakcje naszych decydentów są związane z próbą utrzymania jak najlepszych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Uważam jednocześnie, że nie może się to odbywać kosztem dobrego imienia polskiego żołnierza. Rozumiem więc wyważenie, ale te reakcje powinny być również zdecydowane i mówiące o tym, że jest inaczej, niż prezydent Trump myśli – komentuje Tomasz Kloc, prezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Premierzy Włoch i Wielkiej Brytanii czy prezydent Francji stanowczo sprzeciwili się stanowisku Trumpa. Emmanuel Macron powiedział: „Słowa prezydenta USA Donalda Trumpa o tym, że żołnierze NATO w Afganistanie »trzymali się trochę z tyłu«, były niedopuszczalne". Giorgia Meloni, postrzegana jako polityczka bardzo przychylna Trumpowi, oświadczyła zaś: „Włoski rząd był zszokowany, gdy dowiedział się o wypowiedzi prezydenta Trumpa, że sojusznicy NATO »pozostali w tyle« podczas operacji w Afganistanie". Równie twardą odpowiedź dla prezydenta USA miał Keir Starmer: „Uważam wypowiedź prezydenta Trumpa za obraźliwą i, szczerze mówiąc, skandaliczną. Nie dziwi mnie, że przysporzyła tak wiele bólu bliskim tych, którzy zginęli lub zostali ranni". Starmer dodał, że gdyby sam pozwolił sobie na takie uwagi, „z pewnością by przeprosił".

Tymczasem reakcja polskich polityków na słowa Trumpa nie była zbyt dosadna. Donald Tusk napisał w serwisie X: „22 grudnia 2011 r. w afgańskim Ghazni uczestniczyłem jako premier Polski w pożegnaniu pięciu poległych polskich żołnierzy. Towarzyszący mi wówczas amerykańscy oficerowie mówili, że Ameryka nigdy nie zapomni polskich bohaterów. Może przypomną o tym prezydentowi Trumpowi".

Największą gorycz zdaje się budzić wypowiedź prezydenta Karola Nawrockiego, który zamiast wziąć w obronę polski mundur, zaczął… tłumaczyć Donalda Trumpa: „Ja jestem przekonany, że o Polsce nie myślał, bo nie po to mówiłby mi 48 godzin wcześniej, że jesteśmy »great warriors«".

To tak, jakby powiedzieć, że Trump nie pluje na polski mundur, tylko że to deszcz pada. Prezydent Nawrocki po raz kolejny pokazuje iście lokajską postawę wobec

eprasa.pl c9f2caf81d



Polski żołnierz ciężko ranny w głowę, Afganistan, prowincja Ghazni, 14 września 2010 r.

prezydenta USA. Doskonałym przykładem było zawetowanie Ustawy o usługach cyfrowych (Digital Act Services), które stoi w sprzeczności z interesami obywateli, za to bardzo spodobało się Elonowi Muskowi i Donaldowi Trumpowi. Podobną postawą odznacza się większość polityków z obozu Prawa i Sprawiedliwości. Przypomnijmy, jak klub Jarosława Kaczyńskiego bezkrytycznie klaskał i skandował: „Donald Trump" w Sejmie. Może dlatego dziś boją się mówić krytycznie o prezydencie Stanów Zjednoczonych?

Koszty tej poddańczej postawy odczuwają obywatele, kuleje przez nie funkcjonowanie państwa i doszło do tego jeszcze szarganie dobrego imienia polskich żołnierzy. Czy rzeczywiście, jak samo zapewnia, PiS jest partią, która „stoi murem za polskim mundurem"?

– Kim trzeba być, by bezrefleksyjnie kalać pamięć o tych, którzy zginęli lub zostali ranni w walce o fundamentalne wartości państw demokratycznych? Wszyscy jesteśmy im winni pamięć i szacunek. Szczególnie powinność ta dotyczy polityków i rządzących, decydujących o udziale naszych żołnierzy w misjach, w tym o charakterze bojowym. W tym kontekście rozczarowująca jest postawa prezydenta Nawrockiego, zwierzchnika sił zbrojnych, której nie sposób wytłumaczyć – komentuje płk dypl. w st. spocz. Henryk Budzyński, przewodniczący Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych RP. I dodaje: – Za wzór postawy mężów stanu można wskazać premierów Wielkiej Brytanii i Włoch, którzy stanęli w prawdzie, broniąc dobrego imienia swoich żołnierzy. Skutkowało to należnymi słowami przeprosin. Wypowiedzi polskich polityków, którzy relatywizują niegodziwość wypowiedzianych słów, próbując tłumaczyć ich autora, budzą sprzeciw i stanowią głęboki zawód przede wszystkim wobec najważniejszej osoby w państwie. Ojczyzna ma obowiązek bronić swoich żołnierzy. Hasło „murem za polskim mundurem" nie może być pustym frazesem.

O ile nikt z polskich polityków nie był w stanie odnieść się bardziej stanowczo do słów Trumpa, to kilku zareagowało na słowa Nawrockiego. „Chciałbym, żeby te relacje dobre prezydenta Nawrockiego i prezydenta Trumpa skutkowały tym, że można powiedzieć szczerze, jak do przyjaciela: »To mi się nie podobało. Tak nie było. Polska była zawsze z wami. Dowodziła dużą prowincją w Afganistanie. Brała odpowiedzialność i jest naprawdę na pierwszej linii«", powiedział w TVN24 minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Dobrą radę dla prezydenta Nawrockiego miał również marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty: „Panie prezydencie, na kolanach to pan niczego dla Polski nie załatwi".

Braterstwo broni ponad podziałami

W tej medialnej wojence nikt nie zastanawia się jednak, co czują rodziny poległych.

– Jako rodziny poległych żołnierzy z głębokim bólem i oburzeniem przyjęliśmy słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych sugerujące, jakoby nasi żołnierze podczas misji zagranicznych pozostawali „z tyłu" i nie byli proszeni o wsparcie. Takie stwierdzenia są krzywdzące i nieprawdziwe. To cios w nasze krwawiące serca! Polscy żołnierze uczestniczyli w misjach na mocy decyzji naszego rządu, w ramach sojuszu z rządem USA. Walczyli ramię w ramię z żołnierzami amerykańskimi, ponosząc te same ofiary w imię pokoju i wolności. Wielu z nich zapłaciło za to najwyższą cenę – życia. Ci, którzy wrócili, często zmagają się z ranami fizycznymi i psychicznymi. Każdy wyjazd naszego męża, syna czy ojca był dla rodziny czasem nieustannego lęku i niepewności. Dlatego nie godzimy się na umniejszanie ich wysiłku i poświęcenia. Oczekujemy zdecydowanej reakcji polskich władz w obronie honoru naszych żołnierzy. Od prezydenta Stanów Zjednoczonych oczekujemy słów przeprosin – domaga się sprawiedliwości Lidia Kordasz-Garniewicz, prezes Zarządu Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość".

Na szczęście wojskowi wyznają żelazną zasadę: trzymać się z dala od polityki.

– Kiedy wykonuje się tak odpowiedzialne zadania, jak te na linii frontu, polityka nie ma znaczenia. Liczy się odpowiedzialność za drugiego człowieka, którego ma się obok siebie na misji. Nie sądzę więc, że relacje między weteranami różnych nacji pogorszą się przez ten incydent. Mamy świadomość, że relacje międzyludzkie są bardzo ważne. Chcemy nadal zapraszać naszych kolegów i być zapraszani. Braterstwo broni ponad politycznymi podziałami – podsumowuje starszy chorąży sztabowy w stanie spoczynku Tomasz Kloc.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ANNA KACZMARZ/DZIENNIK POLSKI/REPORTER, MAKSYMILIAN RIGAMONTI/REPORTER

eprasa.pl c9f2caf81d

Można żyć z polityki

Adam Borowski – jakie PiS, taki bohater

Mikołaj Dąbrowski

Polska prawica ma nowego bohatera, rzekomo prześladowanego przez reżim – to Adam Borowski, za czasów Polski Ludowej podrzędny działacz opozycji, potem związany z klubami „Gazety Polskiej" i PiS. Kandydat do Sejmu na listach PiS w latach 2019 i 2023. A ostatnio członek Rady ds. Kombatantów, Osób Represjonowanych i Działaczy Opozycji Antykomunistycznej przy Prezydencie RP.

Otóż, jak wołają ze zgrozą prawicowe pisma, Adam Borowski ma iść na pół roku do więzienia. Chce go tam wsadzić obecny reżim. A Borowski jest człowiekiem starszym (nie ulega wątpliwości) i mocno schorowanym (gazety wyliczają jego liczne choroby).

O co w tym wszystkim chodzi?

Otóż w 2020 r., na antenie TV Republika, Borowski zarzucił Romanowi Giertychowi współpracę z przestępcami i podstawianie tzw. słupów. Mówił o sprawie Polnordu, w związku z którą Zbigniew Ziobro chciał wsadzić Giertycha za kratki, ale na areszt nie zgadzały się kolejne sądy. W każdym razie atmosfera była gęsta. W tej sytuacji Giertych uznał, że jest pomówiony przez Borowskiego, i złożył przeciwko niemu prywatny akt oskarżenia o pomówienie z art. 212 Kodeksu karnego. Domagał się przeprosin.

Sprawa zaczęła się za czasów PiS, a skończyła 27 listopada 2023 r. Tego dnia sąd umorzył wobec Borowskiego postępowanie, ale na rok próby. W tym czasie miał on na swoim profilu na Facebooku, czyli bezkosztowo, zamieścić słowa przeprosin: „Przepraszam Pana Romana Giertycha za to, że w dniu 24 października 2020 roku w programie »Kulisy Manipulacji« na kanale TV Republika powiedziałem, że współpracuje z przestępcami i dawał swoich znajomych jako słupy – co nie jest zgodne z prawdą".

Koniec, kropka, nic upokarzającego. Zwłaszcza że Borowski przyznał się do winy.

Rzecz w tym, że Borowski wyroku sądu nie wykonał, choć miał na to rok. Dlatego sąd na nowo podjął sprawę, z urzędu, w związku z niezastosowaniem się do wyroku. I 24 kwietnia 2025 r. wydał kolejny wyrok – tym razem pół roku więzienia, ale jego wykonanie zawiesił na rok, dając Borowskiemu szansę na przeproszenie Giertycha.

Tymczasem Borowski oświadczył, że wyroku nie wykona. I ruszył w tournée po swoich znajomych z okresu walki z Polską Ludową z apelem o pomoc. Bo pod koniec kwietnia będzie musiał iść do więzienia, więc trzeba go ratować.

napisał: „Dziś spotkałem się w Kancelarii Prezydenta RP z Panem Adamem Borowskim – człowiekiem wyjątkowym i wielkim polskim patriotą. Nie złamała go komuna i nie pozwolimy, by złamali go teraz". I raczej nie złamią, bo Karol Nawrocki już poinformował, że rozważa jego ułaskawienie w ramach „pierwszego pakietu ułaskawień".

W obronie Borowskiego stanęła też grupa opozycjonistów związanych dziś ze środowiskami przeciwnymi PiS, na czele z Władysławem Frasyniukiem i Zbigniewem Bujakiem. „My, niżej podpisani, uważamy, że Adam Borowski, wypowiadając się w TV Republika na temat afery Polnordu, miał prawo do wyrażenia swojej opinii również o Romanie Giertychu – osobie publicznej i byłym funkcjonariuszu Państwa – czytamy w ich liście. – Co więcej, my również uważamy, że śledztwo

Adam Borowski ze swojego kombatanctwa uczynił sposób na życie w III RP.

Ma wyczucie. Giertycha PiS nienawidzi prawie tak jak Tuska, zatem takie stawianie się przysparza mu kibiców. Oto polska polityka w prawicowym wydaniu. I nieważne, że Giertych mówi: „Nie wnosiłem o to, żeby Borowski poszedł do więzienia. Nie miałem takiego zamiaru. Natomiast lekceważenie wyroku, który samemu się zaakceptowało, to nie jest podważanie dobrego imienia Romana Giertycha. Tylko podważanie fundamentu prawnego RP".

Co tam fundament prawny. Odzew na nieszczęście Borowskiego jest po prawej stronie sceny politycznej wspaniały. Przyjął go niedawno szef Kancelarii Prezydenta RP Zbigniew Bogucki. I po spotkaniu

w sprawie roli, jaką w aferze Polnordu odgrywał Roman Giertych, zostało umorzone zbyt pochopnie. Pamiętamy jego trzyletni pobyt poza granicami kraju i nieobecność nawet podczas kampanii wyborczej do Sejmu w obawie przed prokuraturą".

Mamy więc pomieszanie z poplątaniem i eksplozję kombatanckiej solidarności.

Borowskiemu więzienie grozi tylko w teorii. Wiadomo, że do tego nie dojdzie, bo prezydent go ułaskawi. I nie za słowa przeciwko Giertychowi, tylko za to, że nie chce wykonać prawomocnego wyroku sądu. Uważa najwyraźniej, że sądy nie powinny go się imać. I, jak widzimy, nie jest w tej sprawie odosobniony.

eprasa.pl c9f2caf81d



Adam Borowski za czasów Polski Ludowej był podrzędnym działaczem opozycji, potem związał się z PiS i klubami „Gazety Polskiej".

Ci, którzy go wspierają, wołają, że miał prawo mówić to, co mówił. Hm… Ale sami tak nie mówią – że Giertych działał z przestępcami. Mówią tylko, że śledztwo w sprawie jego i Polnordu powinno jeszcze trwać. Są więc powściągliwi i ostrożni, w przeciwieństwie do Adama Borowskiego, który uznał, że nie musi się hamować.

Jego obrońcy podnoszą też, że został skazany z art. 212 k.k., który dotyczy zniesławienia, czyli przypisywania innej osobie takich cech lub postępowań, które mogą ją poniżyć w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania, np. oszustwa, kradzieży czy też popełniania przestępstw. Twierdzą, że artykuł ten w warunkach polskich paraliżuje publiczną debatę i wywołuje tzw. efekt mrożący.

To słuszne argumenty, organizacje dziennikarskie od lat apelują o zlikwidowanie lub złagodzenie art. 212. Dziś apeluje też o to polska prawica. Tylko dlaczego, gdy rządziła przez osiem lat, mając sejmową większość i swojego prezydenta, nic w tej sprawie nie zrobiła? Dlaczego teraz nagle lituje się nad swoimi działaczami, którym grozi areszt (a może i więzienie), choć kiedy sama rządziła, była bezwzględna wobec swoich przeciwników. Przypomina to „Rzeczpospolita", pisaliśmy o tym i my w „Przeglądzie" – za Ziobry 79-letnią mecenas Alinę Dłużewską, matkę jednego z oskarżonych w aferze reprywatyzacyjnej, trzymano w areszcie przez 22 miesiące, w tym przez kilka miesięcy w celi dla niebezpiecznych przestępców. Dłużewska była schorowana, po operacji onkologicznej, ale nikogo to nie interesowało. Był to typowy areszt wydobywczy i nikt wówczas za tak traktowaną kobietą się nie ujął.

Bo była tą złą, więc według PiS cierpienie jej się należało. A Borowski to ten nasz. Innymi słowy kombatanci Solidarności chcą wprowadzić taki zwyczaj (a potem pewnie paragraf prawny), że oni – skoro walczyli w PRL – mogą mówić wszystko, na co mają ochotę, każdego pomawiać i z racji chwalebnej przeszłości nic im nie może się zdarzyć.

Borowski zresztą ze swojego kombatanctwa uczynił sposób na życie w III RP. Mogliśmy się o tym przekonać parę lat temu, gdy wybuchła afera mejli Dworczyka. W tym czasie działał jako zasłużony kombatant w środowiskach PiS i oczywiście się nie hamował. Beata Czuma z „Faktu" przytaczała jego wypowiedź z 2018 r.: „Za czasów PO państwo było rządzone tak, aby żyło się lepiej ludziom Platformy. Hulaj dusza, piekła nie ma. Tak to wtedy wyglądało. Oni traktowali państwo jak swój prywatny folwark".

Borowski był właścicielem Oficyny Wydawniczej Volumen, która specjalizowała się w tzw. literaturze patriotycznej. W 2018 r. wydrukował album „Niepodległa 1918". I najwyraźniej doszedł do wniosku, że skoro teraz rządzą jego koledzy, Polska jest ich folwarkiem. Naciskał więc na znajomych w rządzie, żeby album kupowali. I tak w mejlu z 10 października 2018 r. pisał do ówczesnego szefa KPRM Michała Dworczyka, żeby Kancelaria Premiera zakupiła „chociaż 500 egzemplarzy po 200 zł rocznicowego albumu".

Prośbę motywował w sposób bezpośredni. „Wiele firm i kolegów z różnych fundacji obiecało pomoc przy jego wydaniu. I jak to w naszym prawicowym środowisku jest w zwyczaju, nikt nie dotrzymał słowa – żalił się, dodając: – Muszę sprzedać szybko 1000 egz., by nie popaść w kłopoty. (...) Będziecie mieli rocznicowy przepiękny prezent". Dworczyk odpisał mu: „Poproś jutro Tarczewską (urzędniczkę pracującą w KPRM – przyp. red.), żebyśmy kupili 200 szt., o ile mamy na to kasę".

Okazało się, że kasa była. Ale Borowski kuł żelazo póki gorące. W mejlach informował: „Mateuszowi album się bardzo podobał". I prosił o zakup następnych 200 egzemplarzy. Skoro Mateuszowi album się podobał, Dworczyk zlecił kupno kolejnej partii przepięknego, nikomu niepotrzebnego prezentu.

Jak folwark, to folwark. A tyle naszego, co pokrzyczymy. Andrzej Stankiewicz pisał więc o Adamie Borowskim w „Newsweeku", że za władzy PiS „doił państwo, jak się dało, korzystając ze znajomości w rządzie". I że tych albumów, które kupowały państwowe instytucje, było więcej.

Teraz pewnie albumów sprzedaje mniej, ale toczy kolejny bój – prezentując się jako ten niezłomny w walce z Giertychem. Choć w rzeczywistości prezentuje się jako warchoł i hucpiarz. Ten, któremu wolno więcej. ■

FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d

Geografii nie zmienimy. Albo jakoś się dogadamy z Rosją, albo będziemy wzajemnie się niszczyć

Rozmawia Robert Walenciak

Trump dostanie w końcu Grenlandię?

– Gdyby bardzo chciał ją dostać, jeśli postawiłby wszystko na jedną kartę, to by dostał. Militarnie by ją zajął, to znaczy zlikwidował tam lokalną administrację i wywiesił amerykańską flagę. Natomiast w tej chwili się cofnął.

Rozsądnie.

– Obawiam się, że rozsądne elementy w działaniach Trumpa pojawiają się przypadkowo. A list do premiera Norwegii? Co pan pomyślał, jak go przeczytał?

Że Trump ma problemy psychiczne.

– I tu pojawia się następny problem – bo nawet gdyby doszło, załóżmy teoretycznie, do jego impeachmentu, to kto przyjdzie po nim? Zapewne J.D. Vance, który ma równie fatalną albo jeszcze gorszą opinię.

Wynika z tego, że Trump to nie jest błąd w systemie, tylko efekt systemu. Że taka jest dziś Ameryka.

– Załóżmy, że w Ameryce dojdzie do głosu partia rozsądku, odrzucająca politykę Trumpa. Czy to może doprowadzić do odwrócenia pewnych sytuacji? Otóż do odwrócenia sytuacji w stosunkach międzynarodowych na pewno nie. My już żyjemy w nowej rzeczywistości.

W jakiej?

– W świecie, który staje się wielobiegunowy i w którym Amerykanie sami się izolują.

Co więc nam zostaje?

– Możemy doprowadzić do porozumienia z Chinami i Indiami. Te kraje mogą być przeciwwagą dla Stanów Zjednoczonych i Rosji. Pozostaje tylko problem psychologiczny, czy wypada nam współpracować np. z Chinami, mocarstwem, które notorycznie łamie



DR JAROSŁAW SUCHOPLES

– pracownik naukowy Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego, były ambasador RP w Finlandii

prawa człowieka i nie uznaje zasad demokracji. Uważam, że nie możemy w Europie powiedzieć z góry „nie". Bo sprawa naszego bezpieczeństwa, zasad przestrzeganych na naszym terenie i sprawa naszej wolności są ważniejsze. I to nie tylko w kontekście militarnym, ale i każdym innym.

Druga rzecz. Stoimy wciąż przed dylematem z poprzedniej epoki – i to nas hamuje – czy Europa federalna, czy Europa narodów itd. Musimy więc zrobić porządek na własnym podwórku. Doprowadzić do tego, żeby Europa mówiła jednym głosem. Bo albo chcemy być mocarstwem, albo nas rozegrają, jak chcą. Inna sprawa, czy to w tej chwili jest możliwe. Wydaje się, że w przewidywalnej przyszłości będzie to bardzo trudne.

Ale w sprawie Grenlandii nas nie rozegrali.

– Nie rozegrali przede wszystkim dlatego, że Grenlandia jest sprawą stricte europejską. To jednak terytorium zależne od Danii, to bezpośrednio dotyczy NATO, więc nie podlega negocjacji z jeszcze innymi aktorami stosunków międzynarodowych. Sprawa rozgrywa się na linii Europa-Waszyngton. Kwestia grenlandzka ma wiele implikacji dla samej Europy: dla Polski, rejonu Morza Bałtyckiego, również dla Rosji. Bo ta sprawa pokazała, że gwarant NATO jest przeciwko NATO. Przeciwko Kanadzie i krajom europejskim. No i w Moskwie radość…

Dlaczego car stworzył Sankt Petersburg?

Czego dzisiejsza Rosja chce od Europy? Skąd ta wrogość?

– Jeżeli pan spojrzy na Rosję, to co jakiś czas pojawiał tam się władca, który próbował dokonać modernizacji. A to Piotr Wielki, później Aleksander II, a nawet Mikołaj II – jak przegrał z Japonią w 1905 r., doszedł do wniosku, że trzeba coś zmienić. Falą modernizacji był również okres komunistyczny, industrializacja. Próbował też Gorbaczow, próbowano w czasach Jelcyna. Myślano o jakichś związkach z Zachodem.

A teraz?

– Obecnie tego nie ma. Natomiast wróciło przekonanie, że na pytanie, z kim graniczy Rosja, odpowiedź brzmi: graniczy, z kim chce. Jeżeli nie ma modernizacji, trzeba wykazać się w inny sposób, najłatwiej poprzez „zbieranie ziem ruskich", które odpadły od „macierzy" (takich jak Ukraina, pewnie też państwa

eprasa.pl c9f2caf81d



Ministrowie spraw zagranicznych (od lewej): Norwegii Espen Barth Eide, Islandii Þorgerður Katrín Gunnarsdóttir, Finlandii Elina Valtonen, Kanady Anita Anand, Szwecji Maria Malmer Stenergard i Danii Lars Løkke Rasmussen na spotkaniu w siedzibie NATO w Brukseli, 3 grudnia 2025 r.

bałtyckie), by przywrócić status rzeczywiście wielkiego mocarstwa i przygotować grunt pod dalszą ekspansję. Kreowanie wrogów. Rosjanie uwierzyli przy tym w swoje opowieści, że są tak potężni, że Ukrainę przyłączą w ciągu trzech dni. A okazało się to niemożliwe, ich armia, struktury państwa, politycy nie spełniają standardów i są nieefektywni.

Dlatego ta wojna trwa, już dłużej niż wojna z Hitlerem z lat 1941-1945.

– Tak i Putin nie może z tego zrezygnować! Wszedł w uliczkę, z której nie ma innego wyjścia niż po trupie Ukrainy. Bo jak ma się wycofać? Jaki to byłby sygnał dla przeciętnych Rosjan? Że przegraliśmy wszystko. Dlatego tam pokoju nie będzie, o ile Ukraina nie skapituluje. Bo czy zginie milion Rosjan, czy 5 mln, dla niego nie ma znaczenia. On walczy o to, żeby, po pierwsze, pozostać u władzy, po drugie – w ogóle przeżyć, no i po trzecie – każdy taki władca ma obsesję, żeby przejść do historii. A jak on by przeszedł do historii, gdyby się wycofał z Ukrainy? Z jakim ogromem problemów społecznych i gospodarczych musiałby się zmierzyć, nie dając nic w zamian?

Oni tłumaczą, że Ukraina im zagraża, bo chce się związać z Zachodem...

– Rosja ma pewne stałe paradygmaty myślenia, jeżeli chodzi o jej politykę bezpieczeństwa. Spójrzmy na północ. Im zawsze chodziło o to, by wyjść na Bałtyk, na świat. Dlatego car zbudował Sankt Petersburg, żeby stworzyć pewien fakt geopolityczny: tu jesteśmy i tu będziemy. Bo Sankt Petersburg nie był zwykłym miastem, ale stolicą imperium. W związku z trzeba było zapewnić jej bezpieczeństwo i sprawić, by inne mocarstwa uznały tę potrzebę Rosji za coś naturalnego.

Czyli istnienie Petersburga wyznaczyło priorytety rosyjskiej polityki w regionie bałtyckim.

– Tak: musimy panować nad północnymi i południowymi brzegami Zatoki Fińskiej. Bez tego zawsze będziemy odcinani od Bałtyku, no i stolica naszego imperium będzie zagrożona. Dlatego Rosja toczyła wojny ze Szwecją. Dlatego podporządkowała sobie Finlandię. Dlatego pakt Ribbentrop-Mołotow przewidywał w tej części Europy oddanie Związkowi Radzieckiemu wszystkich terytoriów, które Rosja straciła w wyniku I wojny światowej. Bo idealna sytuacja dla Rosji i Niemiec, jeśli chodzi o Bałtyk, to był stan sprzed I wojny światowej. W polityce rosyjskiej to się nie zmieniło, czy to była Rosja carska, czy Związek Radziecki, czy teraz Rosja putinowska.

Dzielone są strefy wpływów

Obecna Rosja, atakując Ukrainę, doprowadziła do tego, że Morze Bałtyckie stało się de facto wewnętrznym morzem NATO.

– Minister Ławrow zareagował wtedy, że tak nie jest. Musimy pamiętać, że tak nie jest. Bo Rosja, jakakolwiek będzie, zawsze ma swoje interesy. W jej interesie leży to, żeby mieć swobodny dostęp do świata, a jeden z najważniejszych w tym kontekście szlaków wiedzie przez Morze Bałtyckie. Tej geografii nie zmienimy. Zatem albo z Rosją jakoś się dogadamy, albo będziemy wzajemnie się niszczyć. Niech pan spojrzy na mapę. Po II wojnie światowej granica rosyjskich wpływów kończyła się prawie pod Hamburgiem.

Tylko Danii im brakowało.

– Danii i duńskiego Bornholmu. To miał być następny krok, co doskonale widać w czasie wojny krymskiej. Gdy w 1856 r. zawierany był pokój, który potwierdzał przegraną Rosji, uwzględniał on jeszcze jeden dokument – pierwszą konwencję alandzką, która mówiła o zdemilitaryzowaniu Wysp Alandzkich, należących do Rosji. Dostały się one we władanie Rosji w 1809 r., w wyniku traktatu z Tylży z 1807 r., czyli umowy między Aleksandrem I i Napoleonem w sprawie podziału stref wpływów pomiędzy mocarstwami (takiego paktu Ribbentrop-Mołotow z początku XIX w.). Finlandia została wówczas opanowana przez Rosję, wraz z Wyspami Alandzkimi. I nagle granica imperium rosyjskiego zaczęła przebiegać niedaleko od Sztokholmu. Sytuacja geopolityczna kompletnie się zmieniła.

Co z tego wynikało?

– Że Rosjanie stworzyli sobie podstawy do planowania dalszej ekspansji. A tą ekspansją mogło być tylko opanowanie cieśnin duńskich. Dlatego w 1856 r. Francja i Wielka Brytania, mocarstwa, które pokonały Rosję, powiedziały: rozumiemy, że nie będziecie się czuli bezpiecznie, jeżeli nie będziecie panować nad Finlandią i Estonią. Ale to wszystko. Dalszej ekspansji waszego państwa nie będziemy tolerować. Wyspy Alandzkie mogą należeć do waszego imperium, ale muszą zostać zdemilitaryzowane.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AFP/ EAST NEWS (2)

eprasa.pl c9f2caf81d

Innymi słowy, korzystając z militarnego zwycięstwa nad Rosją, wyznaczyły zasięg ekspansji tego przejściowo osłabionego państwa, które jednak nie przestało być jednym z głównych graczy na arenie międzynarodowej. Wiedza o tym fakcie, tak samo jak o znaczeniu traktatu z Tylży, w Polsce właściwie nie istnieje. A powinna, bo pokazuje, jakie są cele Rosji i jakie jest położenie krajów bałtyckich, Finlandii i Polski częściowo również. One zawsze będą postrzegane w Rosji jako ziemie, które powinny być po prostu rosyjskie. Na zasadzie: nam się to należy, bo to my jesteśmy mocarstwem, a mocarstwom wolno więcej, i to dużo więcej niż państwom średnim i mniejszym.

Ten argument wystarczy?

– W sytuacji, kiedy dochodzi do głosu koncert mocarstw, kiedy dzielone są strefy wpływów, to dla bezpieczeństwa imperium kontrola nad tymi terenami ma życiowe znaczenie. Inne argumenty, oprócz argumentu siły, nie są istotne, a Rosjanie ze swoich racji i dążeń do ich realizacji nigdy nie zrezygnują. I albo my ich, albo oni nas. No, chyba że jakoś się porozumiemy. Ale jak to porozumienie miałoby wyglądać i właściwie kto z kim miałby się dogadywać?

Skandynawowie: między USA a Rosją

Czyli Europa Północna jest dziś w kiepskiej sytuacji. Z jednej strony ma Rosję – zagrożone czują się Szwecja i Finlandia. A z drugiej strony Dania, Norwegia i Islandia, która mogłaby się stać następnym celem Trumpa, są dotknięte jego opowieściami o Grenlandii.

– Panuje nastrój niepewności. Wyraźnie w Finlandii i Szwecji mają przemyślenia: dlaczego właściwie wstąpiliśmy do NATO? Nie w tym sensie, czy się wycofać z NATO, tylko co jest celem tego członkostwa? Dam przykład. Wszyscy tak chwalili prezydenta Finlandii Alexandra Stubba za to, że pojechał do Trumpa, grał z nim w golfa i zawarł tam kontrakt na lodołamacze. A tu się okazuje, że te lodołamacze mogą zostać wykorzystane, przynajmniej teoretycznie, do podporządkowania Grenlandii Stanom Zjednoczonym. I co Finlandia ma teraz zrobić? Zerwać kontrakt? Nie zerwać? Czy wtedy nie byłoby to działanie przeciwko NATO i wspólnocie nordyckiej? A pamiętajmy, że ważne są nie tylko względy polityki międzynarodowej. Realizacja takiego kontraktu przyniosłaby Finlandii zmagającej się z niemal 11-procentowym bezrobociem ulgę także na tym polu.



Duński żołnierz na posterunku kontrolnym w porcie Nuuk na Grenlandii, 26 stycznia 2026 r.

Co więc myślą w państwach skandynawskich?

– Tam nikt nie ma wątpliwości, że Trump jest po prostu tym, kim jest. I że Stany Zjednoczone (działania Trumpa) stały się zagrożeniem dla porządku europejskiego oraz światowego. Tego, który się kształtuje. Ten bowiem, który jeszcze niedawno istniał, runął, a nowego jeszcze nie ma.

Poczucie jedności skandynawskiej jest silniejsze niż poczucie jedności europejskiej?

– Tak, bo ma dłuższą tradycję. W pewnym momencie, jeszcze w pierwszej połowie XIX w., dosyć głośne były hasła skandynawizmu. Ale skandynawizm jako ideologia rozpadł się w okresie pierwszej wojny duńsko-pruskiej, gdy się okazało, że Szwecja i połączona z nią unią personalną Norwegia nie chcą pomóc Danii, nie chcą się zaangażować, bo są zbyt słabe. Mogą oferować co najwyżej wsparcie dyplomatyczne. Czyli nie ma jedności polityczno-wojskowej. Jest jedynie jedność kulturalna i do pewnego stopnia językowa.

Jedność polityczno-wojskowa znów wróciła. Gdy Szwecja i Finlandia przystąpiły do NATO.

– To, co zrobił Putin, czyli agresja na Ukrainę, ale też agresywne działania w rejonie Morza Bałtyckiego o tym zadecydowały. Rosyjski przywódca okazał się więc najlepszym akwizytorem NATO. Bo złamać przeszło 200-letnią tradycję np. szwedzkiej neutralności to wielka sztuka. Neutralność fińską (inną niż szwedzka) – również.

I NATO jest 140 km od Sankt Petersburga.

– W tym sensie polityka Putina była kontrproduktywna. Natomiast jeżeli chodzi o jedność skandynawską, to od czasu do czasu mamy aktywne ruchy. Chociażby sprawa jednolitego korpusu lotniczego, grup bojowych marynarki wojennej. To mają wspólne. Doszli do wniosku, że najlepiej, jeżeli będzie istniało jednolite skandynawskie lotnictwo. Każdy z tych krajów (z wyjątkiem Islandii, która nie ma sił zbrojnych) ma po kilkadziesiąt samolotów, więc razem będą mieli ok. 260 czy 300. Są jeszcze grupy bojowe marynarki wojennej z czasów przed NATO. Szwecja i Finlandia tworzyły takie grupy. Istnieje tam tradycja wspólnego działania. Tylko że

eprasa.pl c9f2caf81d

oni też zdają sobie sprawę ze swojej słabości, bo jak policzymy potencjał demograficzny tych krajów, okaże się, że to jakieś 26-27 mln ludzi.

Te 26 mln będzie w stanie obronić Grenlandię?

– Grenlandii Trump nie weźmie, chyba że będzie koniecznie chciał zrobić coś, by przejść do historii jako „najlepszy prezydent w dziejach USA". A pamiętajmy, że w tym roku przypada 250. rocznica powstania Stanów Zjednoczonych. Wygląda na to, że zostanie wypracowane jakieś kompromisowe porozumienie. I tak pewnie będzie, bo każdy musi wyjść z twarzą z takiej sytuacji. Dania i państwa europejskie, które stanęły po jej stronie, to jednak nie Wenezuela, a Trump poszedł za daleko, co dano mu odczuć. Jeżeli jednak – załóżmy – Amerykanie zajęliby Grenlandię, kto jest następny?

Islandia. Kandydat na ambasadora USA w Islandii już powiedział, że to będzie 52. stan.

– Jeżeli spojrzymy na mapę, najpierw zobaczymy Grenlandię. Obok jest tzw. Droga Duńska, czyli szlak żeglugowy z Rosji do Ameryki, pomiędzy Grenlandią a Islandią, którą Amerykanie, a wcześniej Brytyjczycy wykorzystywali i chronili militarnie w czasie obu wojen światowych. Jest to zatem naturalny dalszy ciąg ewentualnej amerykańskiej ekspansji. Trochę tak jak na Bałtyku mieliśmy ekspansję rosyjską – Ingria i Karelia, Finlandia, Wyspy Alandzkie, później ewentualnie Szwecja i cieśniny duńskie. To jest to samo, ten sam styl imperialnego myślenia.

Kto rozbija Europę?

Mamy z dwóch stron stale powtarzane podpowiedzi, że Europa jest rozbita, słaba, już się nie liczy, a tak naprawdę jest po Europie. To przypadek te suflowane informacje?

– Rzeczywiście może się wydawać, że jest rozbita i poniekąd tak jest. Jednak Europa ma potencjał. Mamy ludzi, naukowców. Niestety, nie inwestowaliśmy przez długi czas ani w wojsko, ani dostatecznie w naukę, w odpowiednie gałęzie przemysłu i gospodarki, mówiąc szerzej. Teraz musimy odrobić zaległości.

Musimy też zdecydować się na jakiś model funkcjonowania. W tej chwili wydaje się, że federalizacja Europy jest niemożliwa, nie jesteśmy w stanie się zjednoczyć ze względów politycznych, ponieważ ruchy populistyczne, finansowane z Rosji, tak ogłupiły miliony Europejczyków, że myślenie o zjednoczonej Europie jest nierealistyczne. Wystarczy popatrzeć, co się dzieje w Polsce, ale też we Francji, na Węgrzech, w Czechach, Niemczech, Hiszpanii, we Włoszech.

Te ruchy są autentyczne czy też lewarowane pieniędzmi z zewnątrz?

– Nie musimy stawiać znaku zapytania. Wiemy, że są finansowane, a ponadto wspierane z zewnątrz poprzez social media. Jeśli więc Rosjanie nie mogą nas w tej chwili pokonać militarnie w otwartym konflikcie, mogą nas niszczyć w ten sposób, że będą nas skłócać, osłabiać i marginalizować. Krok po kroku.

Amerykanie też to robią. Wzmacniają ugrupowania skrajne, antyeuropejskie. To jest w ich oficjalnej doktrynie.

– Bo dla Trumpa Unia Europejska jest wrogiem. I nie mówmy o tym, że prowadzi politykę transakcyjną. On nie zachowuje się jak kupiec, ale jak szef firmy, który dąży do wrogich przejęć. A to nie jest transakcyjność.

Wrogie przejęcie Wenezueli, wrogie, chociaż na razie tylko planowane, przejęcie Grenlandii, granie na szybkie dogadanie się z Rosją... Po co Ameryce Rosja?

– Odwrotnie niech pan zapyta: po co Rosji Ameryka? Otóż po to, żeby po tej stronie Atlantyku mieć spokój. Robić, co się chce. Żeby po prostu zniszczyć Europę. A w szerszym kontekście – wzmocnić swoją pozycję, o ile to w ogóle jest możliwe, bo wydaje mi się, że Chin czy Indii to oni już nie mają szans dogonić. A ponieważ Europa w tym gronie jest najsłabsza, stanowi pierwszy, naturalny cel.

Przecież bogaci Rosjanie byli i pewnie wciąż są zachwyceni Europą. Kupowali tu domy, wysyłali dzieci na studia, przeprowadzali się.

– Wysnułbym więc z tego wniosek, że raczej broni atomowej nie użyją, przynajmniej nie na wielką skalę. Godziłoby to w ich zasoby i rodziny. Natomiast podporządkować sobie Europę będą próbowali. Jak najbardziej. Byłem kiedyś w Helsinkach na wykładzie amerykańskiego profesora, który opowiadał, jak Chińczycy kradną wszystkie możliwe projekty w Stanach Zjednoczonych. I mówił: oni mają projekty naszych najnowszych łodzi podwodnych. Tylko jeszcze nie potrafią tego porządnie poskładać, bo nie mają odpowiedniej kultury technicznej. To samo jest z Rosją. Oni to wszystko, co jest na zachodzie Europy, chcieliby mieć, ale nie mają tego otoczenia. Tej, powiedzmy, kultury użytkowania. Jeżeli więc chcieliby to mieć, a nie mogą, przychodzi im do głowy coś innego: lepiej to zniszczyć.

Na zasadzie psa ogrodnika?

Nie wierzę.

– To niech pan obejrzy na YouTubie te wszystkie filmiki o tym, co Rosjanie myślą o zachodniej Europie czy o Polsce. Dominuje przekaz: oni nie mają prawa żyć lepiej od nas! A jeżeli tak myślą, to gdyby tu weszli, w pierwszym odruchu zniszczyliby wszystko. A my co? Europejczycy przestali myśleć o Europie w kategoriach obowiązku, myślą tylko w kategoriach przywilejów i praw, zapominając o obowiązkach wobec samych siebie. Tu jest pęknięcie psychologiczne, bo z jednej strony jesteśmy oczywiście bardzo dumni z Europy i bardzo dobrze nam się żyje, nawet chyba za dobrze, ponieważ zapominamy o obowiązkach. A z drugiej strony, jak trzeba położyć karty na stół i określić się, że będę tego bronił, okazuje się, że wielu po prostu chciałoby uciec. Co więcej, wielu też myśli – np. w Polsce, i to nie tylko w Konfederacji, ale i w PiS – że to Unia Europejska jest zagrożeniem dla narodowych wartości, cokolwiek miałoby to znaczyć. Niech pan zobaczy, jak się wypowiadają politycy tzw. prawicy w sprawie Trumpa, relacji europejsko-amerykańskich. Ich przekaz jest w zasadzie sprzeczny z interesami naszej ojczyzny.

Polska dwóch polityk

Dla mnie niepojęte było, gdy mówili: w kwestie Grenlandii nie wtrącajmy się, to sprawa między Ameryką a Danią, oni muszą się dogadać. A pół godziny później opowiadali, że

eprasa.pl c9f2caf81d

zostaliśmy przez Zachód w 1939 r., a potem w Jałcie i Poczdamie, porzuceni i zdradzeni.

– Polityka zagraniczna od 2015 r. stała się w Polsce funkcją polityki wewnętrznej, tylko i wyłącznie. Strona pisowska cały czas to właśnie uprawia. To się pogłębia. Mamy tak naprawdę dwie polityki zagraniczne dwóch wrogich sobie plemion. Jeden ośrodek, ten, który uważa, że trzeba z prezydentem Trumpem iść ręka w rękę, wmanewrował się w taką sytuację, że w kontekście pomysłu utworzenia Rady Pokoju, Grenlandii, Unii Europejskiej nie wie, co właściwie zrobić. Natomiast drugi obóz jest wciąż szantażowany przez pierwszy wizją jakiejś zdrady Polski przez Europę Zachodnią i konieczności bezwzględnego stawiania na USA. Co gorsza, proszę zauważyć, że w tej sytuacji mamy dwa Zachody.

Dlaczego pan uważa, że jest dwoistość? Prezydent nie prowadzi polityki zagranicznej, tylko rząd.

– To nie takie proste. Prezydenci, poprzedni i obecny, uważali i uważają, że relacje ze Stanami Zjednoczonymi są niemal wyłączną domeną głowy państwa.

Konstytucja takich uprawnień jej nie daje.

– I co z tego? Realia są takie, że nie jesteśmy krajem, który może Ameryce cokolwiek dyktować. Niestety. Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy średniej wielkości krajem europejskim, a nie żadnym mocarstwem, i mamy taką sytuację wewnętrzną, jaką mamy. Ośrodek prezydencki powie więc: to my jesteśmy odpowiedzialni za stosunki z USA, mamy świetne relacje z Ameryką i właśnie dogadaliśmy się z prezydentem Trumpem w takiej i takiej sprawie. Rząd wtedy musi zająć stanowisko. A zajmując to stanowisko, nie może poprzeć własnego prezydenta. I faktycznie zdezawuować prezydenta Trumpa, przeciwstawić się, ale to już trochę inna sprawa. Taka dwoistość w obecnej sytuacji międzynarodowej w przypadku państwa o takiej wielkości i potencjale jak Polska jest samobójcza. Trzeba o tym mówić otwarcie i wzywać do opamiętania, chociaż nie wiem, czy to coś da. Jestem tu raczej pesymistą.

Jeżeli płacimy miliardy za czołgi Abrams czy śmigłowce Apache, jeżeli podpisujemy kontrakt na budowę elektrowni atomowej, więc pompujemy w amerykańskie firmy dziesiątki miliardów dolarów, to mamy prawo wymagać.

– Tu nie chodzi o to, że oni nam niczego nie zaoferują. My możemy się obawiać, że oni staną się naszym wrogiem. Nie otwarcie, to znaczy nie w taki sposób, że USA dokonają inwazji i zajmą Polskę. To zresztą prawdopodobnie nie byłoby jeszcze najgorsze. Tylko nagle może się okazać, że Trump gdzieś się dogadał i będzie kolejny pakt Ribbentrop-Mołotow, ale teraz jako Trump-Putin, a my znajdziemy się po wschodniej stronie granicy stref wpływów. A pamiętajmy, że dla Trumpa Putin wczoraj, w niektórych sprawach, był przyjacielem – spotykał się z nim na Alasce. Dzisiaj jest wrogiem, a przynajmniej konkurentem, jeśli chodzi o panowanie nad Grenlandią. A jutro? Nie wiemy, co będzie jutro.

Czyli tworzy się nowy porządek światowy. Sojusz transatlantycki dogorywa.

– Już jest martwy, bo zamordowane zostało wzajemne zaufanie.

A my, Europejczycy, czy jeszcze żyjemy?

– Żyjemy i jakieś karty mamy. Może tak wyjść na końcu, że jeżeli Europa porozumie się z Chinami i z Indiami, to Amerykanie ze swoją koncepcją MAGA i izolacjonistyczną doktryną Monroego strzelili sobie w stopę. Europa też ma pewien lewar – sprawy gospodarcze, długi amerykańskie itd. To nonsensowne zadzieranie z Europą może więc dla Stanów Zjednoczonych w dłuższej perspektywie źle się skończyć. Natomiast Trumpowi Europejczycy zawdzięczają przebudzenie, uświadomienie sobie konieczności podjęcia działań mających na celu wszechstronne wzmocnienie Starego Kontynentu. Z tym, że to nie jest łatwe zadanie i nie wiemy, na ile będzie mogło zostać zrealizowane. W każdym razie z dzisiejszej perspektywy sprawy nie wyglądają dobrze. A co przyniesie przyszłość? Zobaczymy. Gdy prawo międzynarodowe przestaje obowiązywać, wszystko zaczyna zależeć od osobowości i siły przebicia konkretnych polityków oraz podejmowanych przez nich działań.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zapraszamy do rocznej e-prenumeraty PRZEGLĄDU



+



Nowy numer już w każdą sobotę

Kupując, dostaniesz w prezencie e-booka
„Nowa Huta – wyjście z raju”
Leszka Konarskiego

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c9f2caf81d



Z Galicji

Jan Widacki

Problem z Madagaskarem

Zażartowałem sobie w poprzednim felietonie (nr 4/2026), że wykorzystując trudną sytuację Danii, podobnie jak wykorzystaliśmy swego czasu trudną sytuację sąsiadów (Czechosłowacji w 1938 r. – zażądaliśmy od niej Zaolzia, Spisza i Orawy – a ostatnio Ukrainy, domagając się przeprosin za rzeź wołyńską i zgody na ekshumacje), teraz, w dodatku zgodnie z doktryną Trumpa i naszą polityką historyczną, powinniśmy od Danii zażądać Bornholmu.

Jak się okazuje, żart był nieudany. Jedni zaczęli mnie podejrzewać, że chcę się ubiegać o stanowisko doradcy prezydenta Nawrockiego, drudzy, że przystępuję do Konfederacji. W jeszcze innych rozbudziłem nadzieje imperialne i pytają, dlaczego domagam się tylko Bornholmu, a tak lekko odpuszczam nasze słuszne pretensje do Madagaskaru.

Muszę teraz ze swojego głupiego – jak się okazuje – żartu się wytłumaczyć. Nie ubiegam się o funkcję doradcy pana prezydenta, nie zapisuję się też do Konfederacji.

Jeśli zaś idzie o Madagaskar, problem jest bardziej skomplikowany, niż mogłoby się w pierwszej chwili wydawać. Żądać Zaolzia, Spisza, Orawy, Bornholmu, ekshumacji i przeprosin od sąsiada, który znalazł się w opresji, to co innego. Madagaskar jest teraz niestety niepodległy. Nazywa się oficjalnie Republika Malgaska. Nie przeżywa też ostatnio żadnych kryzysów, które moglibyśmy sprytnie wykorzystać. To po pierwsze. Po drugie, na Madagaskar wprawdzie z Radomia jest niewątpliwie bliżej niż z Warszawy (ach, to genialne odkrycie posła Suskiego!), ale w sumie i tak dość daleko.

Kuszące niewątpliwie jest to, że posiadanie Madagaskaru mogłoby rozwiązać wiele poważnych problemów polskiej prawicy. Przedwojenne endeckie hasło: „Żydzi na Madagaskar” można by zgodnie z duchem czasu uzupełnić hasłem: „Żydzi, LGBT, imigranci i inni nieprawdziwi Polacy na Madagaskar”. Braun z Mentzenem byliby zapewne zachwyceni, a i Jarosław Kaczyński dyskretnie udzieliłby poparcia. Wszystko to prawda. Tyle że naszym najmocniejszym argumentem wspierającym żądanie oddania nam Madagaskaru byłby zapewne ten, że Maurycy Beniowski został tam, zgodnie z tradycją naszej wolnej elekcji, wybrany swego czasu królem. Choć niektóre źródła twierdzą, że sam się tym królem ogłosił. Wszystko jedno. Zabili go Francuzi! Niech przynajmniej za to Macron przeprosi! Albo najlepiej: przeprosi i wypłaci stosowne reparacje. Problem w tym, że ten Beniowski urodził się w miejscowości Vrbové. Były to wtedy Górne Węgry, dziś Słowacja. Wszystko wskazuje na to, że chyba był jednak Węgrem, a co bardziej skomplikowane – Węgrem ze Słowacji! Słowacy i Węgrzy też uważają go za swego! Skoro Beniowski to argument za zajęciem Madagaskaru, to ten sam argument mają też Węgrzy i Słowacy! Trzeba by się dogadać w tej kwestii z Ficą i Orbánem. Nie będzie to łatwe, bo każdy z nich ma swoją politykę historyczną (równie mądrą jak nasza) i jeśliby wziąć ją serio, to nie tylko nie dostalibyśmy Madagaskaru, ale na pewno rozwalilibyśmy Trójkąt Wyszehradzki. A Orbána popiera Trump! I Putin zresztą chyba też. W sumie wydaje się, że bezpieczniej Madagaskaru nie ruszać, tym bardziej że doktryna Trumpa, która miała nam sprawę ułatwić, uległa w Davos zmianie. Trump już nie chce zdobywać Grenlandii. Przynajmniej na razie.

Posiadanie Madagaskaru mogłoby rozwiązać wiele poważnych problemów polskiej prawicy.

Tak to polityka historyczna i zagraniczna się komplikują. Nie jest łatwo. Na razie podobno idą mrozy ze Wschodu. Ale wiosną? Może wyspiarskie, imperialne plany przeciętnego Polaka, sympatyka Konfy lub samego prezydenta, przynajmniej tego Polaka zarabiającego nieco więcej niż średnia krajowa, da się zredukować do kawałka plaży na wyspie Wolin lub Uznam, na których, gdy przyjdzie ranek, zaraz po świtaniu zajmie sobie parę metrów kwadratowych piasku i wykopie grajdołek, a następnie oflankuje go parawanikiem. Będzie już miał swoje imperium! „Rex imperator in grajdołek suo”! Gdy jeszcze wypije piwko i przygrzany słońcem lekko przyśnie, będzie śnił swoje sny o potędze. A gdy zanuci: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”, nigdy nie będzie jasne, czy chodzi mu o kraj nad Wisłą, czy kraj między Odrą a Zbruczem albo i jeszcze dalej na wschód, czy tylko o ten oparkaniony parawanem grajdołek, którego nie opuści w przerwie obiadowej, z obawy, że ten teren zajmie mu wstrętny sąsiad, który spał dłużej.

Ach, jaka ta polityka skomplikowana, a słowa wieloznaczne!

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c9f2caf81d

Dlaczego policjanci krzywdzą tych, których powinni chronić?

Od 2018 r. co najmniej 111 interwencji policyjnych zakończyło się śmiercią ludzi

Andrzej Sikorski

Wydarzenia w oddziale prewencji Komendy Stołecznej Policji w podwarszawskim Piasecznie wstrząsnęły opinią publiczną. Przypomnijmy, dowódca jednej z kompanii najpierw pił alkohol na terenie jednostki, a potem miał zgwałcić policjantkę. Reakcja przełożonych była błyskawiczna. Do gwałtu doszło o godzinie 3.30 w sobotę 3 stycznia. Około 10.35 przyjęto protokolarne zawiadomienie od pokrzywdzonej i rozpoczęły się czynności z udziałem prokuratora (w ciągu kilkunastu godzin zebrano materiał dowodowy, w tym przesłuchano świadków). Około godz. 15.00 w sobotę podinsp. Marcin J. został zatrzymany, a w poniedziałek 5 stycznia w godzinach popołudniowych sąd zastosował wobec niego trzymiesięczny areszt. Jednocześnie Komendant Stołeczny Policji wszczął postępowanie w sprawie zwolnienia funkcjonariusza ze służby.

„Chciałbym bardzo, żeby w każdej sprawie o gwałt działania policji i działania prokuratury i sądu były tak szybkie", mówił Piotr A. Skiba rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Błyskawicznym działaniem policji chwalił się też szef MSWiA Marcin Kierwiński, który stwierdził, że nie będzie przyzwolenia na takie zachowanie, a „tego typu przypadki będą wypalane rozgrzanym żelazem".

Młodą policjantkę dotknęła niewyobrażalna tragedia, a policja, prokuratura i sąd zachowały się wzorowo. Śmiem jednak twierdzić, że gdyby kobieta nie nosiła policyjnego munduru, reakcja nie byłaby tak szybka i stanowcza.

W grudniu 2023 r. minister Kierwiński zapowiedział publicznie, że przeprowadzony zostanie audyt w sprawie policyjnych interwencji, które zakończyły się śmiercią ludzi. Takich zdarzeń tylko od 2018 r. było co najmniej 111. Śledztwa prokuratorskie w sprawach policjantów, którzy te interwencje przeprowadzali, hurtowo zaś umarzano. Minęły dwa lata od szumnych zapowiedzi o rozliczeniu nadużyć, a obiecanego audytu nadal nie ma.

15 maja 2016 r. na komisariacie policji Wrocław-Stare Miasto został bestialsko zamordowany 25-letni Igor Stachowiak.

Zabójstwo na komisariacie

15 maja 2016 r. na komisariacie policji Wrocław-Stare Miasto został bestialsko zamordowany 25-letni Igor Stachowiak. Policjanci powiedzieli zrozpaczonym rodzicom zabitego, że ich syn spadł z krzesła i wszystko zostało uwiecznione na monitoringu. Tyle że nagranie rozpłynęło się w powietrzu, zabezpieczono jedyne ujęcie z kamery, jak Igor spokojnie wchodził z funkcjonariuszami na komisariat. Prawda była zaś taka, że sześciu mundurowych znęcało się nad zakutym w kajdanki mężczyzną. Bez powodu bito go pałkami, kopano, duszono, pryskano gazem i rażono paralizatorem. Policjanci wobec zatrzymanego użyli nie tylko służbowego tasera, ale także prywatnych narzędzi tortur: latarek-paralizatorów, a jeden z policjantów chwalił się kolegom, że na Igora „wyjebał cały akumulator".

Policjanci i prokuratorzy zamiast wyjaśnić dogłębnie okoliczności śmierci Igora, zaczęli tuszować sprawę, np. nie zabezpieczając istotnych dowodów lub je pomijając. Pomagali im w tym biegli sądowi. Jeden z nich w swojej opinii użył pojęcia *excited dezirium*, co miało oznaczać, że zmarły był pod wpływem środków zmieniających świadomość, a to doprowadziło do zatrzymania krążenia i śmierci.

Już kilka dni po tragicznym zdarzeniu o haniebnym postępowaniu funkcjonariuszy wobec Igora wiedzieli prokuratorzy i policjanci z Komendy Głównej Policji. Nie zareagowali, a gen. Jarosław Szymczyk mówił potem, że o niczym nie miał pojęcia. Śledztwo pewnie zostałoby umorzone, ale tak się nie stało dzięki determinacji ojca Igora – Macieja Stachowiaka, i przyjaciela rodziny, byłego policjanta i detektywa Wojciecha Kosarzyckiego.

Przełomowym momentem był reportaż w TVN, w którym pokazano wstrząsające okoliczności sprawy. Igor został zatrzymany na wrocławskim rynku, bo policjanci pomylili go z Mariuszem Frontczakiem, przestępcą narkotykowym, który dwa dni wcześniej uciekł im podczas zatrzymania. Czterech funkcjonariuszy brutalnie zaatakowało Stachowiaka. Powalili go na ziemię i razili paralizatorem, próbując założyć kajdanki.

Szarpaninę widziało kilku świadków, część z nich nagrywała zajście telefonami komórkowymi. Później

eprasa.pl c9f2caf81d



Maciej Stachowiak z portretem syna Igora. Wrocław, 10 lipca 2019 r.

policjanci wyłapali nagrywających interwencję. Dwie osoby (nazwane „reporterami") zakuto w kajdanki i umieszczono w policyjnej izbie zatrzymań, a ich telefony skonfiskowano. Jeden z „reporterów", który odmówił badania alkomatem, został pobity. Najbardziej poruszające było nagranie z kamery policyjnego tasera. Stachowiak leżał skuty kajdanami na podłodze w policyjnej toalecie przy zgaszonym świetle, a mundurowi razili go kilkukrotnie paralizatorem. Potem rozebrali do naga i prowadzili „przesłuchanie". Młody mężczyzna przeraźliwie wył z bólu. Kilka minut później Stachowiak ostatkiem sił wyczołgał się z toalety do pokoju zatrzymań, gdzie sześciu funkcjonariuszy rzuciło się i przycisnęło go do podłogi. Wkrótce potem Igor zmarł.

Machina bezprawia

Dopiero po emisji reportażu, czyli rok po śmierci Igora Stachowiaka, kierownictwo MSWiA wspólnie z komendantem głównym policji podjęło decyzję o powołaniu specjalnego zespołu, którego zadaniem miało być wyjaśnienie zdarzenia na wrocławskim komisariacie. Odwołano też komendanta wojewódzkiego policji we Wrocławiu, jego zastępcę i komendanta miejskiego. Panowie oficerowie odeszli na emeryturę i nie ponieśli żadnych konsekwencji. Z policji zostało wydalonych pięciu funkcjonariuszy, którzy brali udział w zatrzymaniu Stachowiaka. Jednak działania policji i prokuratury były pozorowane, a rozprawa sądowa przerodziła się w farsę.

Policjanci i prokuratorzy zamiast wyjaśnić okoliczności śmierci Igora, zaczęli tuszować sprawę. Pomagali im w tym biegli sądowi.

„Nie sposób nie odnieść wrażenia, że podczas procesu policjantów oskarżonych o znęcanie się nad Igorem Stachowiakiem prokuratura nie jest zainteresowana ujawnieniem mechanizmów, które sprawiły, że możliwe było torturowanie na policji oraz doprowadzenie do śmierci zatrzymanego. A dla prowadzących sprawę wszystko zostało wyjaśnione w trakcie śledztwa", donosiła „Gazeta Wyborcza".

Okazało się, że pani prokurator Anna Kijak-Głęboczyk nie wykazała żadnej aktywności w trakcie procesu. Sprawę prowadził jednoosobowo niedoświadczony sędzia Krzysztof Korzeniewski, a wnioski oskarżycieli posiłkowych o przydzielenie trzyosobowego składu orzekającego zostały odrzucone. Sędzia Korzeniowski też nie był zbyt dociekliwy. Uchylał pytania pełnomocnika Macieja Stachowiaka do biegłego i nie przesłuchał świadków z pogotowia, którzy reanimowali Igora.

Czterej policjanci zostali skazani na symboliczne kary od dwóch lat do dwóch i pół roku więzienia nie za morderstwo, ale za przekroczenie uprawnień oraz fizyczne i psychiczne znęcanie się nad zatrzymanym. Sąd oparł się na wątpliwej opinii biegłych, którzy uznali, że to nie mundurowi przyczynili się do śmierci Igora, ale narkotyki, które rzekomo zażył przed swoim zatrzymaniem. Sąd II instancji podtrzymał wyrok.

Nie pomogła kasacja wniesiona do Sądu Najwyższego przez rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. „Sąd nie wziął przy tym pod uwagę innych opinii naukowców, a także zeznań świadków, które wykluczały, by Igor Stachowiak był w czasie zatrzymania w stanie wyjątkowego pobudzenia. Także na podstawie ilości stwierdzonych u niego substancji nie można wnioskować, czy był on pod wpływem środków odurzających, czy też nie. Dlaczego więc uznawać, że z tego powodu umarł?", napisał rzecznik w uzasadnieniu kasacji. Ale Sąd Najwyższy nie podzielił tej argumentacji

FOT. KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL, REPRODUKCJA TOMASZ GOLA/SE/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d

i odrzucił kasację „jako oczywiście bezzasadną”.

Sfraternizowani biegli i prokuratorzy

Igor Stachowiak żyłby, gdyby nie zachowanie policjantów. Z czego wynikała taka bezwzględna brutalność wobec bezbronnego człowieka, można tylko spekulować. 111 przypadków śmiertelnych policyjnych „interwencji” każe przypuszczać, że mamy do czynienia z działaniem systemowym. Wszystkie tragiczne zdarzenia wyglądają zaś podobnie. Policjanci wzywani są do dziwnie zachowującego się człowieka, a gdy ten nie podporządkowuje się wydawanym poleceniom albo robi to mało sprawnie, wpadają w szał, stosując przemoc niewspółmierną do zaistniałych okoliczności. Rażą paralizatorem, biją pałką, pięściami, kopią lub rzucają się na zatrzymanego, aby go unieruchomić, dociskając do podłoża tak mocno, że ten traci przytomność, dusi się i umiera.

W sierpniu 2021 r. po takich interwencjach policji zginął w Lubinie 34-letni Bartosz Sokołowski, a we Wrocławiu 29-letni Łukasz Łągiewka.

„Sprawy są, przyznam szczerze, traumatyczne, okropne. Działania funkcjonariuszy policji w tamtym czasie były skandaliczne (…). Prokuratorzy weszli, że tak powiem, bardziej w obszar adwokacki niż w ten, który miał dotyczyć realizacji zadań kontrolnych, czyli prowadzenia postępowań we właściwym zakresie, tak aby wyjaśnić sprawę, a nie ją umorzyć”, mówił mecenas Wojciech Kasprzyk podczas posiedzenia senackiej Komisji Praw Człowieka i Praworządności, gdzie omawiano brutalność interwencji policji (kwiecień 2024 r.). Na sali oprócz senatorów byli przedstawiciele organizacji pozarządowych, Ministerstwa Sprawiedliwości, Prokuratury Krajowej oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.



Zatrzymanie 25-letniego Igora Stachowiaka na rynku we Wrocławiu w maju 2016 r.

Mecenas zna dogłębnie temat, bo jest pełnomocnikiem rodzin ofiar sadystów w policyjnych mundurach. W swoim wystąpieniu prawnik wskazał na naganne działania nie tylko policji i prokuratury, ale też pracowników zakładów medycyny sądowej, którzy wystawiają wątpliwe opinie co do przyczyn zgonu.

Co ciekawe, opinie wydawane są przez wąskie grono tych samych biegłych, a wszystkie one są niemal identyczne, na korzyść policjantów. „Bo ci biegli lekarze, z którymi rozmawiałem, wykonują działania zlecone przez prokuraturę czy przez sąd i tak naprawdę można odnieść wrażenie, że piszą to, czego chcieli prokuratorzy. Oni nie wyjaśniali tych spraw. Pisali np., że przyczyną śmierci pana Łukasza Łągiewki było zatrucie narkotykami. Wziąłem te dokumenty, udałem się incognito do jednego biegłego, (…) przekazałem mu te dokumenty i on powiedział mi, że to nie była dawka śmiertelna, to nie była nawet dawka toksyczna. To była taka dawka, proszę państwa… To tak, jakbyśmy wypili kieliszek piwa, a biegły by napisał, że to nas zabiło. I kiedy my zażaliliśmy te postępowania, które umarzali nam prokuratorzy, i wykazywaliśmy to, sądy bardzo dokładnie przyglądały się temu i mówiły, że to my mamy rację, że prokuratura po prostu działa w sposób niechlujny”, mówił mecenas Kasprzyk.

Szokujące były też kulisy prokuratorskich śledztw w sprawie śmierci Bartosza Sokołowskiego. „Jeżeli chodzi o Sokołowskiego, moim zdaniem sprawa została celowo przez prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę rozbita na dwie prokuratury, tak aby utrudnić nam pracę. Jest nas trójka pełnomocników w tej sprawie, ja jestem wiodącym. Prowadziły ją łódzka prokuratura okręgowa i Prokuratura Okręgowa w Szczecinie. W Szczecinie zajmowano się kwestią przekroczenia uprawnień i mataczenia przez funkcjonariuszy policji. I co się stało? Prokurator, która prowadziła sprawę, pani Sylwia Glińska, umorzyła to postępowanie, stwierdzając, że nie doszło do żadnych nadużyć. A chciałbym zaznaczyć, że w trakcie tego procesu zginęły protokoły zeznań najważniejszych kluczowych świadków, zginęły nagrania wideo, które były zabezpieczone przez policję, i w ogóle nie zostało wyjaśnione, kto je ukradł, kto przetrzymywał,

111 przypadków śmiertelnych „interwencji” policyjnych każe przypuszczać, że mamy do czynienia z działaniem systemowym.

eprasa.pl c9f2caf81d

gdzie to się znalazło", mówił mecenas Kasprzyk.

Wyroki za przekroczenie uprawnień

14 listopada 2019 r. na blokowisku przy ul. Wyszyńskiego w Koninie zastrzelony został 21-letni Adam Czerniejewski. Okoliczności śmierci młodego człowieka są wstrząsające. Feralnego dnia chłopak spotkał się z kolegami, by wymienić się częściami do e-papierosa. Gdy zobaczył nadjeżdżający radiowóz, zaczął uciekać. Za Adamem pobiegł policjant Sławomir L. W dłoniach miał pistolet, który przeładował i mierzył w kierunku uciekającego, krzycząc: „Stój, bo strzelam!". Adam potknął się i upadł na brzuch, po czym wstał, ale policjant go dogonił i strzelił z bliskiej odległości w plecy.

Choć było bezdyskusyjne, że funkcjonariusz złamał wszelkie reguły obchodzenia się z bronią, nie miał nawet powodu, ale i prawa, by wyjąć ją z kabury i strzelić, to prokurator Wojciech Zimoń wcielił się w obrońcę Sławomira L., uznając, że był to nieszczęśliwy wypadek. Pytany, dlaczego tak się zachowuje, odpowiedział, że „musi działać na korzyść oskarżonego". Policjant został skazany nieprawomocnie za przekroczenie uprawnień i nieumyślne spowodowanie śmierci na trzy lata więzienia, a prokuratura uznała, że to zbyt surowy wyrok.

Łagodne wyroki – jak na pozbawienie człowieka życia – usłyszeli zabójcy Dymytra Nykyforenki. Młody Ukrainiec mieszkający w Polsce po ciężkim dniu pracy na budowie spotkał się przy grillu ze znajomymi na imprezie zakrapianej alkoholem. Do domu wracał autobusem, a że był po kilku głębszych, przysnął. Kierowca wezwał pogotowie, a ratownicy orzekli, że Dymytro jest tylko pijany, i zawiadomili policję. Przybyli funkcjonariusze od razu zaatakowali spokojnie zachowującego się Nykyforenkę, bez powodu potraktowali go gazem pieprzowym i zakuli w kajdanki. Oszołomionego mężczyznę przewieziono do izby wytrzeźwień, gdzie doszło do szarpaniny i brutalnego obezwładnienia Ukraińca. Trzej policjanci i dwaj pracownicy izby wytrzeźwień pobili Nykyforenkę, zadając mu 55 ciosów, dusili go i przygniatali do materaca, w wyniku czego zmarł. Wszystko zarejestrowała kamera monitoringu.

Oprawcy zostali skazani jedynie za pobicie i fizyczne znęcanie się. Dostali kary od półtora roku do pięciu lat pozbawienia wolności. Lekarka, która nie udzieliła umierającemu pomocy, usłyszała natomiast wyrok trzech lat więzienia. Sąd nie miał żadnych wątpliwości co do winy oskarżonych oraz tego, że Nykyforenko był spokojny i nie sprowokował oprawców swoim zachowaniem.

W piśmie do ministra spraw wewnętrznych i administracji Helsińska Fundacja Praw Człowieka wskazała: „Gwarantowane w Konstytucji i umowach międzynarodowych prawo do życia i wolność od tortur wymagają, by państwo aktywnie podejmowało działania w celu przeciwdziałania brutalności funkcjonariuszy i przypadkom pozbawienia przez nich życia osób, wobec których podejmowane są interwencje. Obowiązkiem państwa jest również odpowiednia reakcja na każdy taki przypadek – zarówno na poziomie indywidualnym (wyjaśnienie sprawy, adekwatne ukaranie sprawcy, jeśli są ku temu podstawy), jak i ogólnoprewencyjnym, ukierunkowanym na zapobieżenie przyszłym takim przypadkom. Na obu tych poziomach praktyka Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka i obserwacje międzynarodowych i krajowych organów wskazują dobitnie, że pozostało wiele do zrobienia".

Andrzej Sikorski

W sierpniu 2021 r. po interwencjach policji zginął w Lubinie 34-letni Bartosz Sokołowski, a we Wrocławiu 29-letni Łukasz Łągiewka.

SPROSTOWANIE

W materiale prasowym zatytułowanym „Aferzyści prezydenta RP Kto i dlaczego nie chce, aby państwo kontrolowało rynek kryptowalut", opublikowanym w wydaniu papierowym oraz elektronicznym Tygodnika „Przegląd" dniu 15 grudnia 2025 roku, zawarto następujące informacje, które pozostają nieprawdziwe i nieścisłe:

1. Nieściśle wskazano, że w 2018 roku giełda BITBAY została wpisana na listę ostrzeżeń publicznych KNF, w sytuacji gdy postępowanie prowadzone w tej sprawie zostało prawomocnie umorzone, a w związku z tym przy wspomnianym wpisie na liście ostrzeżeń publicznie znajduje się wzmianka oznaczająca nieaktualność dokonanego wpisu;

2. Zawarto nieprawdę, że opłacenie wydarzenia Polish-American Strategic Industries Summit przez zondacrypto było „częścią kampanii lobbingowej wycelowanej w członków administracji Donalda Trumpa", która skutkowała uzyskaniem licencji na Florydzie. W rzeczywistości zondacrypto nigdy nie prowadziła jakiejkolwiek działalności lobbingowej, a sponsorowanie szczytu było podyktowane chęcią reklamowania marki zondacrypto w kraju i za granicą, a uzyskanie licencji na Florydzie, wydawanej przez organ administracji publicznej Stanu Floryda, jest bezpośrednim efektem wielomiesięcznego zaangażowania i specjalistycznej pracy szeregu osób;

3. Zawarto nieprawdę, jakoby objęcie Centrum Olimpijskiego sponsoringiem tytularnym przez firmę giełdę stanowiło działanie wymierzone w autorytet św. Jana Pawła II, podczas gdy dodanie członu komercyjnego do nazwy obiektu w żaden sposób nie umniejsza rangi jego patrona, lecz odnosi się do pozyskania strategicznego partnera w celu wsparcia polskich olimpijczyków i jest zabiegiem czysto formalnym i organizacyjnym.

BB TRADE ESTONIA OU
W imieniu której działa prezes zarządu
Przemysław Kral

Odpowiedź autora za tydzień.

eprasa.pl c9f2caf81d

Albo patriotyzm, albo zyski

Dlaczego polskie firmy otwierają fabryki w Chile, Kazachstanie, USA i Chinach?

Marek Czarkowski

Napis na frontonie budynku przy ulicy ul. Łąkowej 39/44 w Gdańsku głosi: „LPP Fashion Lab Cotton" i – jak sądzę – niewiele mówi przeciętnemu mieszkańcowi Trójmiasta. A tu mieści się największa w Polsce firma modowa. Grupa LPP jest właścicielem takich marek jak: Reserved, House, Mohito, Sinsay i Cropp. W ubiegłym roku posiadała 3426 sklepów stacjonarnych na ponad 40 rynkach. To właściwie międzynarodowy koncern o polskich korzeniach. Tylko w pierwszych trzech kwartałach ubiegłego roku jego sprzedaż doszła do 16,6 mld zł, co oznaczało wzrost o 20% w stosunku do roku 2024. Prezesem Grupy LPP jest Marek Piechocki, a największym udziałowcem założona przez niego na Malcie rodzinna Fundacja Semper Simul.

LPP SA jest notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Kurs jednej akcji oscyluje ostatnio wokół 20 tys. zł, a kapitalizacja rynkowa to ponad 36,5 mld zł, co musi budzić szacunek.

Przy czym Grupa LPP nie ma w Polsce ani jednego zakładu produkcyjnego, w którym szyte są ubrania sprzedawane pod dobrze już znanymi markami. W sprawozdaniu za 2023 r. podano, że ok. 92% kolekcji zamawiane było w Azji, głównie w Bangladeszu, Chinach, Mjanmie, Pakistanie, Indiach i Kambodży, ok. 7% w Turcji, a w Polsce… nie więcej niż 1%.

Przykład Grupy LPP jest charakterystyczny dla dużego rodzimego biznesu, który coraz częściej przenosi produkcję poza granice Polski. Szacunki wskazują, że zagraniczne aktywa polskich spółek sięgnęły 164,5 mld. zł. A to dopiero początek.

Dlaczego emigrują z Polski?

Decyzja o budowie fabryki za granicą lub ulokowaniu tam produkcji to nie kaprys ani widzimisię właścicieli. Stoi za tym złożona kalkulacja ekonomiczna, w której liczą się dziesiątki zmiennych. Powodów, dla których polskie spółki decydują się na taki krok, jest kilka. Tak wynika z badań prowadzonych przez rodzime ośrodki analityczne, takich jak Polski Instytut Ekonomiczny.

PKN Orlen to jedyne polskie przedsiębiorstwo w prestiżowym rankingu Fortune Global 500. W 2025 r. zajęło 176. miejsce wśród największych firm świata.

Okazuje się, że ponad połowa rodzimych firm inwestujących za granicą jako najważniejszy powód podaje poszukiwanie nowych rynków zbytu. Rodzimy rynek, choć duży jak na standardy regionu, ma swoje ograniczenia. Dla firm, które osiągnęły już pozycję krajowego lidera, dalszy wzrost wymaga wyjścia poza granice. A gdy już taka decyzja zapadnie, lepiej mieć produkcję tam, niż wysyłać towary z Polski i płacić za transport oraz cła.

Drugi powód to dywersyfikacja ryzyka. Pandemia COVID-19 nauczyła firmy, że poleganie na jednym rynku to czysty hazard. Gdy Polska zamykała granice, firmy prowadzące działalność w kilku krajach mogły przenieść jej ciężar gdzie indziej. Wojna w Ukrainie tylko umocniła to doświadczenie.

Spółki, które miały ugruntowaną pozycję na rosyjskim, białoruskim czy ukraińskim rynku, z dnia na dzień zetknęły się z bardzo poważnymi kłopotami. Te, które prowadziły działalność w innych krajach, miały większe szanse na przetrwanie.

Trzeci czynnik to koszty produkcji. Przez lata Polska oferowała tanią, dobrze wykształconą i zdyscyplinowaną siłę roboczą. W porównaniu z zachodnimi sąsiadami podatki nad Wisłą były niskie, podobnie jak ceny energii elektrycznej. Kilka lat temu zaczęło się to szybko zmieniać. Na przykład w roku 2023 średni koszt godziny pracy w Polsce wynosił 14,50 euro, podczas gdy w Niemczech – 41,30 euro. Różnica wciąż była ogromna, lecz w tym właśnie roku nasz kraj odnotował jeden z najwyższych wzrostów kosztów pracy w całej Unii Europejskiej, który wyniósł aż 15,9%. Dla porównania – w Niemczech było to 4,8 %.

Zaczęliśmy stopniowo tracić przewagę kosztową, co zmusiło niektóre firmy do szukania nowych, tańszych lokalizacji. Na przykład w Rumunii i Bułgarii. Gdyby nie wojna w Ukrainie ten kraj błyskawicznie stałby się alternatywą dla pracochłonnej i coraz droższej polskiej produkcji.

W ubiegłym roku działające w naszym kraju zachodnie korporacje przeprowadziły falę zwolnień grupowych, obejmujących minimum 9930-11 430 pracowników. Przy ogólnej liczbie zgłoszeń zwolnień grupowych – ok. 89,5 tys. osób od

eprasa.pl c9f2caf81d



Naczepa firmy Wielton.

stycznia do września 2025 r. – stanowiło to ok. 10-12% wszystkich takich zwolnień.

Najbardziej znane przykłady to: NatWest (National Westminster Bank), który całkowicie wycofał się z Polski, likwidując 1,6 tys. etatów; szwajcarski bank UBS zwolnił 1,2 tys. pracowników i zamknął swój warszawski oddział; Beko, turecki koncern produkujący sprzęt AGD, z powodu słabego popytu i strat, zamknął dwie fabryki w Łodzi i we Wrocławiu. Pracę straciło 1800 osób. Dodajmy do tego koncerny: Stellantis, Carrefour, Fujitsu, HSBC, Shell czy Heineken, które także cięły zatrudnienie – by zrozumieć, że Polska traci przewagę kosztową. To zjawisko dotknęło także polskie firmy. I należy się spodziewać, że i one zaczną przenosić produkcję do państw, w których koszty będą niższe.

Jak to się robi w Orlenie i KGHM?

PKN Orlen to jedyne polskie przedsiębiorstwo w prestiżowym rankingu Fortune Global 500. W 2025 r. zajęło 176. miejsce wśród największych firm świata. To koncern, którego przychody przekraczają 85 mld dol., a jego zasięg obejmuje obszar od Norwegii po Kanadę. Najważniejszymi składnikami imperium Orlenu są rafinerie. W litewskich Możejkach znajduje się Orlen Lietuva – zakład przerabiający 10,2 mln ton ropy rocznie. W Czechach koncern kontroluje grupę Unipetrol z dwiema rafineriami – w Kralupach i Litvínovie. Ich możliwości przerobowe to łącznie 8,7 mln ton.

Koncern ma też sieć ponad tysiąca stacji paliw rozsianych po Niemczech, Czechach, Słowacji, Węgrzech i Austrii.

Lecz Orlen to nie tylko Europa. W Kanadzie wydobywa ropę i gaz, zabezpieczając sobie dostęp do surowców.

Ta strategia to nie przypadek. To świadoma budowa koncernu multienergetycznego, który potrafi przetrwać zawirowania geopolityczne. Kiedy jeden rynek szwankuje, pozostałe podtrzymują firmę. Gdy ceny ropy spadają, bilans ratują marże ze sprzedaży detalicznej. To złożona gra, która jak dotąd wychodzi Orlenowi całkiem nieźle.

Drugi z naszych gigantów – KGHM Polska Miedź – działa z rozmachem na skalę globalną. W Chile kontroluje strategiczną kopalnię miedzi i molibdenu – Sierra Gorda. W Stanach Zjednoczonych eksploatuje kopalnie Robinson i Carlota.

W roku 2012 za 2,9 mld dol. przejął kanadyjską spółkę Quadra FNX Mining. Transakcja ta, choć do dziś budząca kontrowersje co do finalnej rentowności, skokowo uczyniła z KGHM gracza o zasięgu globalnym.

Dla KGHM zagraniczna ekspansja to nie kwestia prestiżu, lecz przetrwania. Złoża miedzi w Polsce, chociaż wciąż są bogate, kiedyś się skończą. Bez dostępu do nowych źródeł surowca koncern nie miałby przyszłości. Dlatego każda nowa kopalnia to nie inwestycja, lecz polisa ubezpieczeniowa na kolejne dziesięciolecia.

Do Wieltonu należą dziś: francuski Fruehauf, niemiecki Langendorf, brytyjski Lawrence David, hiszpański Guillén oraz włoskie Viberti i Cardi.

Konkurują jakością

31 grudnia 2025 r. prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin podpisał dekret, na mocy którego 100% udziałów spółek Can-Pack LLC i Zakładu Opakowań Can-Pack z fabrykami w Wołokołamsku i Nowoczerkasku przekazano w zarząd rosyjskiej spółki Stalelement.

Oba zakłady należały do CAN-PACK Group – międzynarodowej grupy kapitałowej produkującej opakowania metalowe i szklane dla branży spożywczej. Jej właścicielem jest amerykańska rodzina Giorgi, która

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c9f2caf81d

pod koniec lat 80. Zeszłego wieku zainwestowała w Krakowie w spółkę o nazwie CANPACK. Dziś jest ona kluczowym zakładem grupy i jednym z czołowych na świecie producentów puszek do napojów, a także jednym z największych producentów opakowań metalowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Krakowska spółka zarządza siecią 27 zakładów produkcyjnych w 17 krajach, zatrudniając prawie 8,5 tys. osób. Fabryki firmy zlokalizowane są m.in. w Holandii, Czechach, Wielkiej Brytanii, w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Indiach, Maroku, Brazylii, Kolumbii i USA. Ta globalna sieć pozwala CANPACK Group na efektywną obsługę największych światowych marek. Jest też dowodem na możliwość zbudowania międzynarodowej potęgi w oparciu o polski kapitał.

W 2011 r. Polpharma, należąca do Jerzego Staraka, jednego z najbogatszych polskich przedsiębiorców, zainwestowała w znajdujący się w miejscowości Szymkent w Kazachstanie zakład SANTO, należący do lokalnego producenta leków, spółki Chimphar. Dziś kazachska firma jest największym w tym kraju producentem leków, które sprzedaje w całej Azji Centralnej. Polpharma planuje przenoszenie kolejnych leków ze swego portfolio do produkcji w Kazachstanie. Chodzi głównie o środki stosowane w onkologii, leczeniu cukrzycy oraz w chorobach sercowo-naczyniowych.

Docelowo zakład SANTO w Szymkencie ma wytwarzać ponad 280 leków generycznych w co najmniej 12 grupach terapeutycznych, a nowe linie produkcyjne będą stopniowo uruchamiane do 2030 r., z przeznaczeniem zarówno na rynek kazachski, jak i na eksport do innych państw Azji Centralnej.

Podobną drogę poszedł Wielton – jeden z największych europejskich producentów naczep i przyczep. Jego strategia ekspansji opierała się na przejmowaniu znanych zagranicznych marek. Należą dziś do niego: francuski Fruehauf, niemiecki Langendorf, brytyjski Lawrence David, hiszpański Guillén oraz włoskie Viberti i Cardi. Ta strategia konsolidacji – kupuj konkurencję, zachowuj jej markę i klientów, lecz ujednolicaj procesy produkcyjne i obniżaj koszty – przyniosła świetne efekty.

Grupa Wielton ma dziś zakłady w Polsce, Niemczech i we Francji, montownie we Włoszech i na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Dzięki temu kontroluje znaczący kawałek europejskiego rynku transportu ciężarowego. I choć nazwa Wielton niewiele mówi przeciętnemu Kowalskiemu, każdy kierowca tira w Europie zna jej produkty.

Wiceliderem światowego rankingu producentów okien dachowych jest FAKRO. Spółka z Nowego Sącza kontroluje dziś 15% globalnego rynku. Ma 11 zakładów produkcyjnych – w Polsce, Chinach i USA. Aż 70% sprzedaży to eksport do ponad 60 krajów. Firma sprzedaje zaawansowane produkty, które konkurują z uznanymi markami ceną, jakością i innowacyjnością.

FAKRO, spółka z Nowego Sącza kontroluje dziś 15% globalnego rynku.

W 1992 r. bracia Adam i Jerzy Krzanowscy założyli w Krośnie firmę, która dziś znana jest pod nazwą Nowy Styl. Początkowo zatrudniali siedmiu pracowników, którzy produkowali trzy modele krzeseł. Dostarczali je klientom starym Polonezem. Takie były początki czwartego dziś co do wielkości producenta mebli biurowych w Europie, o rocznych przychodach rzędu 1 mld zł. Polska marka wymieniana jest jednym tchem obok takich zachodnich brandów jak: Steelcase, Kinnarps, Herman Miller czy Vitra. Silną pozycję, zwłaszcza w Niemczech, Francji i Szwajcarii, zawdzięcza przejęciom miejscowych spółek, dobrze znanych na lokalnych rynkach. Okazało się, że w warunkach ostrej konkurencji nasza firma radziła sobie lepiej niż zachodni konkurenci.

Obraz polskich firm, które odniosły sukces i mają swoje oddziały za granicą, byłby niepełny bez uwzględnienia branży IT. Spółka CD Projekt to symbol globalnego sukcesu osiągniętego dzięki produkcji i sprzedaży gry komputerowej Wiedźmin, opartej na prozie Andrzeja Sapkowskiego. W 2021 r. firma przejęła kanadyjską spółkę Digital Scapes oraz amerykańską The Molasses Flood i pracuje nad kolejnymi projektami. Szacuje się, że dziś jej wartość rynkowa wynosi 28,5 mld zł.

Dzięki start-upowi Eleven Labs założonemu przez Piotra Dąbkowskiego (wcześniej pracował w Google) i Mateusza Staniszewskiego (odpowiadał za wdrożenia w spółce Palantir Technologies), zamiast czytać gazety, możemy ich słuchać. Sztuczna inteligencja Eleven Labs robi to najlepiej – i w wielu językach. Firma warta jest ponad miliard dolarów i ma m.in. biuro w Warszawie.

To kolejny dowód na zachodzące w naszej gospodarce zmiany. Z jednej strony Polska wciąż jest krajem średniozamożnym, z PKB per capita stanowiącym ok. 70-75% średniej unijnej. Z drugiej zaś, po raz pierwszy w historii mamy firmy, które realnie konkurują na globalnych rynkach – nie ceną, ale jakością i marką.

FAKRO sprzedaje okna dachowe na całym świecie nie dlatego, że są najtańsze, ale dlatego, że są innowacyjne i trwałe. CANPACK dostarcza puszki dla Coca-Coli, bo spełniają najwyższe standardy jakościowe. CD Projekt stworzył i rozwinął grę komputerową, która okazała się lepsza od produktów konkurentów. A Nowy Styl produkuje znane i cenione meble biurowe.

Nasza ekspansja gospodarcza to proces, który dopiero nabiera tempa. Nie jesteśmy jeszcze globalnym potentatem. Ale już nie jesteśmy też tylko odbiorcą cudzych inwestycji. Znajdujemy się gdzieś pośrodku – w niełatwej fazie transformacji – gdy kraj przechodzi od modelu „warsztat Europy" do modelu „innowator Europy".

Czy to się uda? Przekonamy się za 10 lat. 164,5 mld zł polskich aktywów za granicą to fundament, na którym można budować. Tylko czy będziemy mieli dość odwagi, cierpliwość i rozsądku, by ten potencjał wykorzystać?

Marek Czarkowski

eprasa.pl c9f2caf81d



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Z samych prawaków zguba Polaków

„Z samych panów zguba Polaków”, pisał w roku 1790 Stanisław Staszic. Po pięciu latach Polski już nie było. Dziś miejsce panów zajęli prawacy, a moja trawestacja czyż nie jest zgrabniejsza? Pytanie tylko, co z Polską.

Kolejne formy polskiej niepodległej państwowości były w XX w. powoływane przez siły lewicowo-liberalne. Powstawały zawsze w drodze porozumienia: w roku 1918 z Radą Regencyjną, w roku 1989 z PZPR. W konsekwencji nowe państwo stawało się państwem dla wszystkich. Zagwarantowały to w roku 1921 Konstytucja marcowa, a w roku 1997 Konstytucja „wielkanocna”. Ale tak Druga, jak Trzecia Rzeczpospolita były szybko pozbawiane swych ideowych fundamentów.

Wszak nie minęły nawet dwa miesiące od historycznego Listopada, gdy w styczniu 1919 r. książę Eustachy Sapieha i płk Marian Januszajtis spróbowali dokonać prawicowego zamachu stanu. Na taki akt wrogości wobec tworzącego się państwa nie zdecydowali się wtedy nawet komuniści. I żaden z członków Komunistycznej Partii Robotniczej Polski nie rzucał potem grudami błota w świeżo obranego Pierwszego Prezydenta, żaden też z premedytacją i zimną krwią Prezydenta tego nie zastrzelił. Ówczesna prawica, endecja, nienawidziła swego państwa: było ono za mało polskie. Dla mniejszości narodowych miała więc tylko jedną propozycję: wynarodowienie. A zatem była jak dynamit rozrywający państwo: działała jak komuniści. U jednych i drugich Polska nie mogła być dla wszystkich.

Oczywiście fundamentów Drugiej RP nie niszczyli cieszący się niewielkim poparciem komuniści. Czyniła to przede wszystkim, mająca rząd dusz, endecja. A skoro skrętowi prawicowemu uległa nawet sanacja, to czy można się dziwić, że analogiczny proces powtórzył się w Trzeciej RP? To państwo też było dla prawicy za mało polskie: poczęte w sposób nieprawy, bo w drodze narodowego porozumienia, stanowiło „postkomunistyczne monstrum”. Najważniejsze było tu pytanie: „Czyja będzie Polska?”. Bo Polska również teraz nie mogła być dla wszystkich.

O ile jednak endecja nigdy w II RP samodzielnie nie rządziła, PiS w III RP taką szansę otrzymało. Po czym skłóciło nas z sąsiadami, z Unią Europejską, a nawet z NATO, bo za jego plecami załatwiało interesy bezpośrednio z Trumpową Ameryką. Niszczyli więc pisowcy fundamenty odzyskanego państwa, dokonywali destrukcji jego międzynarodowej pozycji. Prawicowcy? Mimo wszystko nie krzywdźmy endecji. Pisowcy nie byli prawicą – byli prawakami.

Odsunięci od władzy w wyborach 2023 r., uwili sobie gniazdko w Pałacu Prezydenckim. Prowadzona tu polityka, odrębna od rządu (więc gwałcąca konstytucję), buduje w Polsce dwuwładzę. Już samo to jest dla państwa (każdego państwa) zabójcze, więc rezultat był od początku oczywisty: w ciągu zaledwie paru miesięcy Polska wypadła z wielkiej gry europejskiej. I zaczęła się wasalizować. Karol Nawrocki z prawakami oddają dług z kampanii prezydenckiej, więc płacą Stanom Zjednoczonym największym polskim skarbem: niepodległością. Prawackie aluzje, by Trump, jak obalił Madura, tak teraz obalił Tuska, świadczą po raz kolejny, jak głęboka jest tu nienawiść do własnego państwa, jak silne marzenie o zewnętrznym hegemonie. Zatem nie krzywdźmy endecji: dla państwa była szkodliwa, lecz nie przekroczyła czerwonej linii zdrady narodowej. A tę linię prawacy przekraczają codziennie. Oto nasza Targowica.

Wraz z Nawrockim został w Polskę wszczepiony gen samozniszczenia.

Bo trudno mieć złudzenia: scenariusze polskiej polityki pisze się dziś w Waszyngtonie. Role zostały rozdane. Polskiego premiera się ignoruje, natomiast polskiemu prezydentowi (i hipotetycznemu przyszłemu rządowi, o którego powstanie będzie się zabiegać) przydziela się zadanie rozbijania Unii Europejskiej. Nawrocki, historyk ipeenowski, zapewne nie musi wiedzieć, że Polska zawsze broniła Europy. Że opowiadała się za prawem narodów do samostanowienia, że nawet ukuła hasło z nieprzypadkową kolejnością słów: „Za wolność waszą i naszą”. Ten historyczny ignorant, po ipeenowsku wykorzeniony z polskiej tradycji, czy byłby w stanie opowiedzieć się przeciw planowanej przez Trumpa aneksji Grenlandii? Przeciw faktycznej agresji amerykańskiej na Europę, więc i przeciw rozbiciu tak kiedyś kochanego przez prawaków NATO? Logika nie jest mocną stroną dr. Nawrockiego, lecz jego sprzeciwu wobec Trumpa nie sposób przecież sobie wyobrazić. Polska poza Europą? Oto Targowica. Wraz z Nawrockim został w Polskę wszczepiony gen samozniszczenia.

Poza tym sądzę, że Sejm powinien jak najszybciej procedować projekt ustawy o utrudnieniu Polsce wyjścia z Unii Europejskiej.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c9f2caf81d

Długi rządzą polityką

W gospodarce USA rośnie znaczenie długu publicznego. Jego koszt wynosi już 19% dochodów budżetu

Wiesław Żółtkowski

W Polsce politykę światową pokazuje się w kategoriach militarnych. W mediach i na forach społecznościowych ciągle prowadzi się rozważania dotyczące perspektywy wojennej. Tymczasem działania prowadzone na polu politycznym i militarnym mają zakorzenienie w gospodarce. Światem rządzą interesy. Tylko w Polsce dyskusja publiczna tak mocno zdominowana jest przez emocje, miłość do Ameryki i nienawiść do Rosji.

Kierowanie się emocjami kompromituje polityków, ale społeczeństwu to się chyba podoba, na co wskazują wyniki wyborów. Tak prezentowany świat jest nieprawdziwy, ale mniej skomplikowany. Teraz Trump trochę zamącił w miłości polskich polityków do USA. W rozmowach kuluarowych chyba są już wątpliwości dotyczące relacji polsko-amerykańskich, ale publicznie nikt tego nie ujawnia. Nie ma tak bardzo odważnych.

Polityka mocarstw światowych za przyczyną Trumpa pozbawiona jest hipokryzji. Poprzedni prezydenci USA też realizowali politykę amerykańskich interesów, ale robili to pod osłoną moralnych frazesów. Teraz ujawnia się świat nagich interesów, które stoją za działaniem mocarstw. USA i Chiny są niewątpliwie głównymi aktorami światowej polityki. Relacje finansowe między USA i Chinami w dużym uproszczeniu wyglądają w ten sposób, że USA emitują obligacje dolarowe, które kupują Chiny. Pieniądze ze sprzedanych obligacji Amerykanie wydają na zakupy towarów w Chinach. Chińczycy sprzedają towary i za uzyskane pieniądze znowu kupują obligacje amerykańskie. W ten sposób ogromny amerykański dług publiczny był w miarę bezpieczny. Chiny były największym posiadaczem obligacji USA. W szczytowych momentach posiadały obligacje dolarowe o wartości 1,3 bln dol., co stanowiło 25% zagranicznego długu USA. Dodatkowo Amerykanie pilnują dominacji dolara w rozliczeniach międzynarodowych, co utrzymuje jego wartość. Jeśli ktoś próbował odchodzić od dolara w handlu surowcami energetycznymi, miał wizytę amerykańskiej armii.

Ten mechanizm gospodarczy lekko zaciął się po kryzysie finansowym z 2013 r. i rozpadł się w kontekście wojny Rosji z Ukrainą. Zachód wprowadził wiele sankcji gospodarczych wobec Rosji. Dodatkowo niedawno państwa UE ostro domagały się przejęcia zamrożonych w Belgii rosyjskich aktywów finansowych i przekazania ich Ukrainie. Skąd pieniądze rosyjskie znalazły się w Belgii?

Chiny zaczęły radykalnie redukować posiadany dług USA. Obniżyły go już o 40%, do kwoty ok. 700 mld dol.

Otóż w Brukseli znajduje się główna siedziba Euroclear, instytucji specjalizującej się w obsłudze transakcji na rynkach kapitałowych. W Polsce transakcje pieniężne obsługują banki, operacje akcjami przeprowadza Giełda Papierów Wartościowych. Euroclear jest taką giełdą, na której handluje się akcjami, obligacjami, derywatami, jednostkami funduszy inwestycyjnych. Euroclear świadczy usługi dla instytucji finansowych w ponad 90 krajach świata, z rocznym obrotem ponad 500 bln euro. Na tej giełdzie Rosja handlowała swoimi aktywami finansowymi. To wyjaśnia pozycję Belgii na rynkach kapitałowych i jej stosunek do próby przejęcia aktywów rosyjskich. Euroclear jest mniej znany społeczeństwu niż problemy różnych celebrytów, ale ma wielkie znaczenie. Bez tej wiedzy nie można kompletnie wypowiadać się w sprawach polityki światowej. Ostatecznie do przejęcia rosyjskich aktywów finansowych nie doszło, bo Belgowie byli racjonalni. Ale sygnał o możliwości przejęcia przez instytucje finansowe Zachodu obcych aktywów poszedł w świat. Zrozumiano, że pieniądze innych państw też mogą być nagle zamrożone lub zabrane.

Chiny na to zareagowały i zaczęły radykalnie redukować posiadany dług USA. Obniżyły go już o ok. 40%, do kwoty ok. 700 mld dol. Środki ze sprzedaży obligacji dolarowych przeznaczają na zakup dóbr fizycznych: złota, minerałów, ropy, gazu i zbóż. Sprzedaż dolarowych obligacji dokonywana jest nawet bez zysku. Chodzi o zmianę struktury chińskich aktywów i uniezależnienie się od ryzyka amerykańskiego. W ślad Chin poszły Indie – też sprzedały obligacje dolarowe. Obniżyły swoje zaangażowanie w dług amerykański o 20%. Myślę, że była to reakcja na sytuację, gdy Trump próbował dyktować im, od kogo mają kupować ropę. Chcą uniezależnić się od takich nakazów i od ryzyka dolarowego.

Wycofywanie się Chin z finansowania długu USA jest dla Amerykanów kłopotliwe, bo muszą szukać nowych inwestorów. Dług rośnie i ktoś musi kupować obligacje dolarowe.

Kto skupuje sprzedawane obligacje amerykańskie? Głównie Japonia i Wielka Brytania oraz Luksemburg czy Kajmany – w tych ostatnich

eprasa.pl c9f2caf81d

inwestowane są duże pieniądze prywatne ze względu na to, że miejsca te odgrywają rolę rajów podatkowych. Japonia posiada teraz obligacje dolarowe o wartości 1,1 bln dol., Wielka Brytania 810 mld dol., a Chiny, po wyprzedaży, mają jeszcze ok. 700 mld dol. Są także Kanada z 370 mld dol. i Francja z 360 mld dol. Japonia kupuje obligacje amerykańskie, aby bronić kursu dolara, który umożliwia jej eksport do Ameryki. Anglicy robią to z powodów politycznych, bo są powiązani z USA wszechstronnymi relacjami. Kupują niezależnie od ryzyka, bo będą je ponosić razem z USA. Międzynarodowe organizacje finansowe inwestują w obligacje dolarowe, bo mają nadmiar środków, a dolar nadal jest silnym aktywem. Kanada i Francja są teraz w sporze z USA i nie wiadomo czy będą kontynuować duże zaangażowanie w dług amerykański.

Nowi nabywcy długu amerykańskiego nie mają zdolności inwestycyjnych, by zastąpić Chiny. Za chińską zdolnością do finansowania długu USA stała silna gospodarka z ogromnym eksportem. Za transakcjami dolarowymi stały dobra materialne. Inne kraje takich dóbr nie mają i kupując obligacje dolarowe nie mogą tego rekompensować eksportem do USA. Tym samym narażają się na ryzyko utraty ich wartości po obniżeniu kursu dolara. Amerykanie mogą emitować dolary w dowolnej wartości i pewnie będą musiały to robić. Ale wobec braku odpowiedniego wzrostu ilości towarów i usług nieuchronnie spowoduje to inflację, która jest uniwersalnym narzędziem w walce z zadłużeniem.

Dodatkowo słabnie wpływ USA na finanse światowe poprzez takie inwestycje jak Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy czy Światowa Organizacja Handlu. Przypomina się historia, gdy w 1971 r. USA zrezygnowały z wymiany dolara na złoto. Wtedy też był to ogromny szok, który razem z nacjonalizacją ropy na Bliskim Wschodzie przełożył się na duży kryzys finansowy. Warto sięgnąć do tych czasów, aby lepiej rozumieć obecne problemy.

W gospodarce USA ciągle rośnie znaczenie długu publicznego. Dług zagraniczny stanowi ok. 25% całego zadłużenia. Dominuje zadłużenie wobec podmiotów amerykańskich: funduszy inwestycyjnych, emerytalnych i osób fizycznych. Koszt długu wynosi już 19% dochodów budżetu, czyli ponad 1 bln dol., co przekracza nawet rekordowe wydatki na zbrojenia. Takie zadłużenie musi wpływać na politykę monetarną kraju. Przede wszystkim powoduje obniżenie wartości dolara poprzez obniżenie jego oprocentowania. To obniża koszt obsługi długu. Ale równocześnie powoduje inflację i wzrost rentowności nowych emisji obligacji.

Kto skupuje sprzedawane obligacje amerykańskie? Głównie Japonia i Wielka Brytania oraz Luksemburg czy Kajmany.

Obecna administracja USA ma świadomość tej sytuacji. Próbuje więc szukać rozwiązań politycznych, aby stworzyć nową architekturę powiązań gospodarczych ratujących dolara. Mają do tego jeszcze najsilniejszą w świecie armię. Wzrost budżetu wojskowego USA wskazuje, że ten instrument będzie często używany. Jeśli uwzględni się te fakty, to chaotyczne działania Trumpa nie są już takie niezrozumiałe, jak przedstawia się to w Polsce. Trump manipuluje cłami, traktując je jako narzędzie podporządkowania sobie partnerów gospodarczych. Broni utrzymania dolara w rozliczeniach handlu ropą i gazem. Atak na Wenezuelę też temu służył. Będą podejmowane próby blokowania ucieczki od dolara w handlu międzynarodowym. Ekipa Trumpa próbuje metodami politycznymi i militarnymi tworzyć nową sieć powiązań gospodarczych korzystnych dla USA. Z UE im się to dotychczas udawało.

Na marginesie trzeba zauważyć, że kupowanie złota przez NBP ma podobny sens jak działania innych krajów. Ale tylko wtedy, gdy złoto fizycznie jest w Polsce. A jest go niecałe 20%. Reszta to kwity depozytowe do złota przechowywanego w Anglii i USA. Mogę sobie wyobrazić, że wobec opodatkowania amerykańskich firm w Polsce Trump może uznać, że to złoto jest rekompensatą za ich straty. Wiem, że głoszę bluźnierstwo wobec USA, ale długo zarządzałem ryzykiem finansowym i mam tendencje do widzenia ryzyka wszędzie. Inne kraje chyba podzielają moje obawy, bo powszechnie ściągają złoto fizyczne do swoich skarbców.

Wiesław Żółtkowski – inżynier i ekonomista, wieloletni menedżer bankowy, autor książek poświęconych historii gospodarczej Polski po II wojnie światowej, w tym o uprzemysłowieniu i deindustrializacji.

Sprostowanie

Na podstawie art. 31a Ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. Prawo prasowe wnosimy o sprostowanie nieprawdziwej informacji zawartej w artykule autorstwa Mateusza Cieślaka pt. „Burza na Śląsku. Wówczas było to prawdziwe czarne złoto", opublikowanym w nr. 2 Tygodnika Przegląd (5-11.01.2026) oraz na stronie internetowej www.tygodnikprzeglad.pl., gdzie artykuł ukazał się 5 stycznia br. pod tytułem „Kopalnia Silesia. Górnicy kategorii B".

W artykule wskazano, że Południowy Koncern Węglowy buduje nową kopalnię „Grzegorz".

Powyższe stwierdzenie nie jest prawdą i wprowadza odbiorców w błąd. Południowy Koncern Węglowy S.A. nie buduje kopalni Grzegorz.

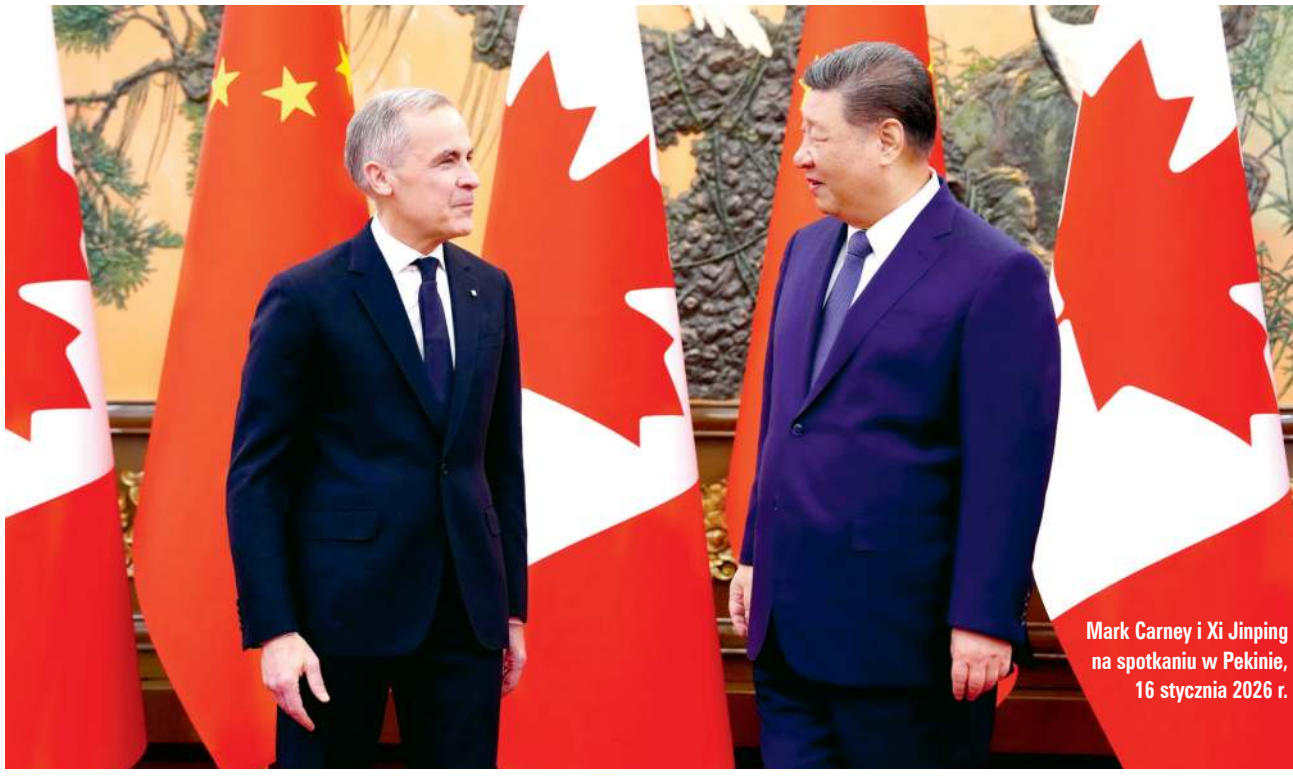
Prowadzone prace dotyczą odtwarzania zdolności produkcyjnych Zakładu Górniczego Sobieski, w którego strukturze organizacyjnej znajduje się szyb „Grzegorz".

Roboty związane z szybem są elementem modernizacji i optymalizacji działalności istniejącego już zakładu górniczego, a nie realizacją projektu, którego celem byłoby powstanie nowej, odrębnej kopalni.

Południowy Koncern Węglowy S.A.

Odpowiedź autora za tydzień.

eprasa.pl c9f2caf81d



Mark Carney i Xi Jinping na spotkaniu w Pekinie, 16 stycznia 2026 r.

W poszukiwaniu nowych biegunów

Mark Carney w Davos rzucił rękawicę Trumpowi. I może wygrać, bo jest większym realistą

Mateusz Mazzini

Jednym z najczęściej powtarzanych dziś sloganów na temat rewolucyjnych wręcz zmian w stosunkach międzynarodowych jest przypisywane Antoniowi Gramsciemu, sparafrazowane przez Slavoja Žižka stwierdzenie, że stary porządek już umarł, a nowy wciąż walczy o to, by się narodzić – teraz natomiast trwa era potworów. Giuliano Da Empoli, włoski kulturoznawca i doradca polityczny, współpracujący m.in. z Matteo Renzim, twierdzi z kolei, że mamy do czynienia z okresem zdominowanym przez barbarzyńców, którzy anarchię wprowadzają celowo, bo w zamieszaniu wywołanym brakiem zasad łatwiej jest kraść i się wzbogacać, bez względu na społeczne czy wręcz ogólnoświatowe konsekwencje.

Z kolei jeśli wsłuchać się w słowa Donalda Trumpa, a następnie wczytać w dokumenty publikowane przez jego administrację, można odnieść wrażenie, że wszystko już wiadomo. Wracamy do XIX-wiecznej koncepcji stref wpływów, w których może istnieć tylko jeden ośrodek władzy. Wszystko, co wyszło spod ręki członków obecnej amerykańskiej ekipy rządzącej – od Narodowej Strategii Bezpieczeństwa przez Narodową Strategię Obrony po priorytety Departamentu Stanu – zdaje się jednoznacznie stwierdzać, że Waszyngton już dominuje nad półkulą zachodnią, Azję oddając Chinom, a Europę zostawiając samą w starciu z Rosją.

Współczesny świat w starych ramach

Czasem jako uzasadnienia tej teorii używa się argumentów pseudopragmatycznych. Jak w przypadku Wenezueli czy Grenlandii, gdzie Stephen Miller i Marco Rubio dwoją się i troją, żeby przekonać świat, że od amerykańskich interwencji w tych miejscach zależy bezpieczeństwo wewnętrzne USA. Można też używać pokrętnej logiki historycznej, jak w słynnym tekście „Prezydentura Lotu 93" robił to kilka lat temu Michael Anton, były już szef planowania polityki w Departamencie Stanu. On z kolei uzasadniał, że awanturnictwo militarne poza własną strefą wpływów prowadzi do upadku imperium, co wiadomo z historii Związku Radzieckiego, jego zdaniem przegranego w zimnej wojnie z powodu niepotrzebnej obecności wojskowej na Kubie.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d

Można przywoływać stare paradygmaty, jak doktryna Monroego z 1823 r., dająca Amerykanom prawo do chronienia zachodniej półkuli przed europejską rekolonizacją. Albo iść w stronę przepowiedni i hiperboli, jak słynna opowieść o Objawionym Przeznaczeniu, czyli religijno-strategicznej doktrynie zakładającej, że Stany Zjednoczone powinny rozciągać się od oceanu do oceanu, bo Bóg tak chciał.

Wszystkie te ćwiczenia mają jednak mniej więcej tyle sensu, ile wlewanie wody do dziurawej szklanki. Choćby nie wiadomo, ile cieczy wlać, nigdy nie zostanie ona w naczyniu – nie przyjmie jego kształtu.

Tak właśnie jest w 2026 r. ze światem, który Donald Trump próbuje wcisnąć w ramy rodem z XIX w. Nie trzeba być ekspertem od geopolityki ani profesorem historii, żeby rozumieć, że ten manewr skazany jest na porażkę.

Historie o świecie podzielonym na strefy wpływów Chin, Rosji i USA można z wielu przyczyn włożyć między bajki. Nawet jeśli trwają poważne dyskusje na temat tego, ile dziś mamy biegunów geopolitycznych. Jennifer Lind, wykładowczyni Uniwersytetu Stanforda i wybitna analityczka zajmująca się Chinami, w niedawnym eseju dla magazynu „Foreign Affairs" przekonywała, że są tylko dwa bieguny, a ten chiński jest znacznie silniejszy od amerykańskiego. Nie wszyscy jednak z tym się zgadzają.

Premier Indii Narendra Modi, lider postrzegający swoje przywództwo w kategoriach nie kadencyjnych czy partyjnych, lecz cywilizacyjnych (nie mówi po angielsku i samo w sobie jest to ciekawe – bo uważa, że nie musi), raczej nie zamierza poddawać się chińskiej dominacji, wszak Indie to dziś najludniejszy kraj świata i potężny gracz gospodarczy. Tak samo trudno uwierzyć, że Rosję stać na bycie czymkolwiek innym niż podwykonawcą Chin.

Tezy o zacementowanym już porządku światowym są publicystycznie chwytliwe, ale dalekie od rzeczywistości. Świat jest dziś w tzw. momencie kontradyktoryjnym – z jednej strony podzielony bardziej niż kiedykolwiek po 1945 r., z drugiej – bardziej niż kiedykolwiek połączony. Łańcuchami dostaw, powiązaniami handlowymi, wieloetnicznymi rodzinami, migracją i wszystkim innym, co zostało z umierającej globalizacji. Pozostaje pytanie, jak to wszystko pozszywać, żeby przy okazji uniknąć globalnego konfliktu.

Czego chce Mark Carney

Premier Kanady Mark Carney w wystąpieniu w Davos pokazał, że można podjąć taką próbę. Co więcej, istnieje realna szansa na zrobienie tego w sposób systemowy, a nie anarchiczny, oparty na nagiej sile militarnej i eksporcie wojny, jak chce to robić Trump. Jakkie Cilliers, południowoafrykański politolog i badacz trendów, stwierdził niedawno, że fakt zabicia starego porządku opartego na zasadach nie znaczy, że w jego miejsce nie może powstać nowy. Z tą różnicą, że będą to inne zasady, korzystniejsze dla państw postkolonialnych i rozwijających się. Wszystko wskazuje na to, że Carney dokładnie to chciałby osiągnąć.

Mark Carney w Davos udowodnił, że świat zrozumiał, w co gra Trump. A świat jest większy od Stanów Zjednoczonych.

Oczywiste jest, że premier swoje przemówienie budował od wielu miesięcy. W Europie nie brakuje polityków, którzy już po Davos chwalili się, że słyszeli na żywo pierwsze, prawdopodobnie próbne wersje tego wystąpienia. Wtedy jeszcze przyjmowali tezy Carneya ze zdziwieniem, dzisiaj widzą w nich pragmatyzm i racjonalizm. Nawet jeśli od Davos nie minęły jeszcze dwa tygodnie, a Carney już znalazł się pod gigantyczną presją z powodu swojej wizji rzeczywistości.

Żeby jednak zrozumieć, co naprawdę chciał osiągnąć, po co otwarcie sprowokował Trumpa i na co naprawdę może liczyć, trzeba cofnąć się do minionej wiosny, kiedy amerykańska administracja regularnie poniżała ówczesnego premiera Kanady Justina Trudeau, nazywając go gubernatorem i grożąc aneksją kraju oraz przekształceniem go w 51. stan USA.

Kiedy Trump przejmował władzę po raz drugi, wydawało się niemal pewne, że liberałowie, którym przewodził Trudeau i których dziś reprezentuje Carney, przegrają wybory w 2025 r. z kretesem. Winne temu były wewnętrzne czynniki strukturalne, jak rosnące koszty życia, kryzys mieszkaniowy, stagnacja gospodarcza i nierówności pomiędzy różnymi prowincjami w kraju. Jeśli jednak Trump kiedykolwiek dokonał cudu przy urnie, to właśnie wtedy, w dodatku nie w wyborach, w których sam startował.

W ciągu dwóch miesięcy liberałowie odrobili ponad 20 pkt proc. straty do konserwatystów, przegonili ich i obronili stanowisko premiera. Głównie dzięki Trumpowi, do którego zaczęto porównywać przywódcę Partii Konserwatywnej Pierre'a Poilievre'a – ostatecznie pozostawionego przez wyborców poza parlamentem. To był pierwszy globalny przypadek, w którym zbliżenie z Trumpem okazało się toksyczne, nawet jeśli było to jedynie zbliżenie estetyczne, a nie ideologiczne.

„Problem w tym, że Carney został wybrany jako polityk, który miał załatwić nam uczciwą umowę handlową z Trumpem, a ciągle tego nie zrobił", mówiła „Przeglądowi" była kanadyjska dyplomatka wysokiego szczebla jeszcze na początku stycznia. Wskazywała, że w Kanadzie rośnie frustracja, bo sam sprzeciw wobec neoimperializmu MAGA był jedynie chwilowym paliwem politycznym – po jakimś czasie całkowicie się wyczerpał. Na horyzoncie zaczęły się pojawiać nowe ryzyka, jak tegoroczne wybory do władz lokalnych w Quebecu, gdzie wygrać mogą secesjoniści, albo w Albercie, stanie roponośnym i dzięki temu bardzo bogatym, ale też zamieszkanym przez ludzi przekonanych, że rząd federalny ich okrada.

eprasa.pl c9f2caf81d

W styczniu rzeczywiście mogło się wydawać, że Carney musi szybko zacząć gasić te pożary. W przeciwnym razie jego zwycięstwo nad konserwatystami okaże się pyrrusowe.

Dziś wiadomo już, że od początku miał inny plan. Choć w swoim wystąpieniu ani razu nie nawiązał do Trumpa czy nawet Stanów Zjednoczonych, trudno było nie odnieść wrażenia, że to deklaracja wojny podana w białych rękawiczkach. A przynajmniej dokładnie tak odebrali to Amerykanie, w tradycyjny dla siebie sposób grożąc eskalacją i manipulując przekazem informacyjnym.

Wenezuelska ropa nadal będzie płynąć do Chin. Tyle że to Amerykanie, a może osobiście Trump i jego akolici będą na tym zarabiać.

Zaczął sekretarz skarbu Scott Bessent, który powiedział w Fox News, że Carney „miał się gwałtownie wycofać" ze wszystkiego, co powiedział w Davos po rozmowie telefonicznej z Trumpem. Tak chyba jednak się nie stało, bo Kanadyjczycy nie zawiesili rozmów o zwiększeniu wymiany handlowej z Chinami, nie przywrócili stuprocentowych ceł na tamtejsze samochody elektryczne, tylko nadal dywersyfikowali partnerów handlowych.

Nic już nie jest nie do ruszenia, nawet kontrakty zbrojeniowe, bo Ottawa zaczyna poważnie rozważać wycofanie się z planów zakupu 88 myśliwców F-35. Oczywiście to Amerykanów już rozwścieczyło, a mianowany przez Trumpa ambasador Pete Hoekstra zagroził w rozmowie z kanadyjską telewizją publiczną CBC, że anulowanie zakupu doprowadziłoby do rewizji układu NORAD, porozumienia o gwarancjach bezpieczeństwa dla Kanady, sięgającego jeszcze czasów zimnej wojny. Potem oliwy do ognia dolał sam Trump, grożąc stuprocentowymi cłami na wszystko, co trafia z Kanady do USA, jeśli „umowa handlowa z Chinami" zostanie podpisana.

Problem w tym, że taka umowa nie istnieje. Carney nie negocjował żadnego pojedynczego, konkretnego dokumentu mającego zredefiniować całość stosunków handlowych między Ottawą a Pekinem. Nie ma też powodu brać gróźb Trumpa na poważnie, i to wcale nie dlatego, że rzekomo amerykański prezydent lubi machać celną szabelką, a potem chować ją z powrotem. To nic innego jak dość prymitywna taktyka negocjacyjna, w ramach której prezydent USA chce wymusić nowe, korzystne warunki handlu bilateralnego, którymi będzie mógł się pochwalić w telewizji informacyjnej Fox News czy Newsmax. Tak naprawdę nie ma dla niego żadnego znaczenia, czy i jak dużo Kanada będzie handlować z Chinami. Byle tylko odpowiednio dużo płaciła za amerykańskie produkty. Co zresztą początkowo sam przyznał, mówiąc w pierwszej reakcji na wystąpienie Carneya z Davos, że taki zwrot „jest jak najbardziej właściwym krokiem dla kraju takiego jak Kanada".

To tylko projekcja siły

W tej historii zawiera się właściwie cała kwintesencja nowego, stricte merkantylnego i przemocowego podejścia Stanów Zjednoczonych do stosunków międzynarodowych. Sojusze nie mają znaczenia, nawet te militarne. W razie czego Ameryka jest gotowa eksportować chaos i wojnę, a potem pobierać haracz za pokój. Trudno oprzeć się wrażeniu, że taki jest cel polityki ekipy Trumpa, która straszy, daje się poznać jako nieprzewidywalna, a potem każe sobie płacić za wycofanie własnych gróźb. Do pewnego stopnia to opis interwencji w Wenezueli, awantury o Grenlandię, a nawet potencjalnych negocjacji wokół porozumienia nuklearnego z Iranem.

Warto byłoby jednak, żeby na ten aspekt polityki ruchu MAGA zwrócili uwagę decydenci nad Wisłą, bo lada moment my też możemy znaleźć się w takiej sytuacji. Nie jest trudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym Rosja dokonuje tu ataku kinetycznego, Amerykanie ignorują obowiązki wynikające z NATO, po czym wysyłają do Warszawy komunikat w naprawdę gangsterskim stylu: kasa za ochronę, w dodatku ochronimy tylko was, reszta płaci osobno. Nie jest przypadkiem fakt, że już dzisiaj niektórzy polscy dyplomaci i urzędnicy MSZ w nieoficjalnych rozmowach do frazy „amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa" dodają człon „tak zwane".

Nie zmienia to jednak faktu, że świat podlega gigantycznym przeobrażeniom, które być może umykają uwadze amerykańskich planistów, a na pewno nie mieszczą się w percepcji samego Trumpa. 19 lat po rozpoczęciu pierwszych negocjacji sfinalizowano umowę o wolnym handlu między Unią Europejską a Indiami, co sprawia, że jest to największa pod względem zasięgu populacyjnego tego typu umowa na świecie. W kolejce czekają Indonezja i Mercosur, tymczasowo zawieszony z powodu analiz prawnych w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Swoje partnerstwa mocno zakotwiczone mają już Chińczycy, główny partner handlowy prawie wszystkich (z trzema wyjątkami) krajów Ameryki Łacińskiej. Nie jest jasne, jak Trump zamierzałby usunąć Chińczyków z kontynentu i wbrew pozorom akcja w Caracas nie miała nastraszyć Pekinu, tylko zmusić do płacenia haraczu. Wenezuelska ropa nadal będzie płynąć do Chin. Tyle że to Amerykanie, a może nawet osobiście Trump i jego akolici będą zarabiać na tym przepływie.

Teoretycznie może więc to wszystko wyglądać na próbę kolejnej demonstracji amerykańskiej siły i potęgi. Tak interpretują to konserwatywni analitycy, np. Ulrich Speck ze szwajcarskiego dziennika „NZZ". Tyle że to nie powrót siły, ale jedynie jej projekcja. Wrażenie imperializmu, a nie prawdziwy imperializm.

Carney w Davos udowodnił, że świat zrozumiał, w co gra Trump. A świat jest większy od Stanów Zjednoczonych.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl c9f2caf81d



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Suwerenność i pochwała policyjnych mordów

Dynamika rozwoju paramilitarnych bojówek wykonujących brudną robotę w imieniu albo zamiast władzy jest dobrze zbadana i opisana. XX w. dostarczył wystarczająco dużo na to dowodów i dokumentacji. Bojówki, takie jak dzisiaj de facto formacja ICE w USA, nie spadają z nieba bez zapowiedzi. Ich politycznymi drożdżami jest budowana latami, czasem tylko miesiącami atmosfera strachu i lęku – pod pozorem fałszywych albo zmanipulowanych powodów. Robi to klasa polityczna, media ochoczo się dołączają, władza klaszcze w dłonie. Kończy się tak samo: przemoc i terror, spreparowane wcześniej wobec słabych, „innych", barbarzyńców, odległych, nieznanych, w pewnym momencie nieuchronnie wkraczają na własne podwórko państwowe i dosięgają „zwykłych" ludzi. Bo się nie spodobali, bo źle się kojarzą, bo stawiają opór bezprawiu, bo chcą odejść czy odjechać, bo wstawiają się za kimś słabszym, poniewieranym przez przebierańców bez twarzy, bez dystynkcji, bez mózgu, bez nazwisk.

Tak zwane patrole ICE grasują po USA, w Minneapolis, potrafią zaaresztować przypadkowe osoby, zakuć w kajdanki małe dzieci pod szkołą, w końcu zastrzelić z zimną krwią kogoś tam, poetkę, pielęgniarza, za chwilę kogoś kolejnego. Ślepa przemoc legitymizowana, kierowana i chroniona przez władzę (w tym wypadku Donalda Trumpa) panoszy się szybciej niż pożary wyschniętych lasów. Za nią rusza machina propagandy ze swoim złotym cielcem – obwinianiem ofiar, w tym tych zamordowanych z zimną krwią, bez nawet fantazmatycznego śladu pretekstu. Nic z dnia na dzień. Tu jak zwykle swoją rolę odgrywa jakieś ciało, środowisko, nazwane dla niepoznaki think tankiem. Sama nazwa oznacza „zbiornik myśli". Niejednokrotnie jest to raczej zbiornik zwany szambem, generujący i zaogniający konflikty społeczne. W relacjach publicznych odgrywa często rolę nagonki podczas polowania. Bo potem strzela już ktoś inny.

Jednym z najdoskonalszych przykładów takiej pseudoinstytucji jest amerykańska Heritage Foundation, rzeczywista kopalnia i miejsce przechowywania niemal wszystkich trumpowskich obsesji i poglądów – zawsze opakowana w odmieniane na wszystkie sposoby słowo „wolność". Jest spełnieniem przestrogi George'a Orwella o „kłamstwie jako prawdzie", wolności – czyli niewoli. Heritage Foundation jest wierną sługą najgorszego z wyobrażalnych wcieleń kapitalizmu, źródłem pomysłów, haseł, pojęć betonujących władzę najbogatszych, skrajnie prawicowych światów, wspierających militaryzm i politykę prowojenną.

Dlaczego o tym wspominać? Ano właśnie do tego po(d)miotu dołączył były prezydent Duda Andrzej. Ma być łącznikiem ze światem skrajnej (sam się nazywa nobliwie „konserwatywnej"), faszyzującej lub po prostu faszystowskiej prawicy. Takie „faszyści wszystkich krajów łączcie się". Dudy „kompetencje do niczego" idealnie tam się nadadzą, godziwie przy tym będą opłacone.

Duda Dudą, pasmo nieszczęść i memiczny mim polskiej polityki jest i tak jak na osłodę. Prawdziwi faszyści już zabrali w Polsce głos, komentując dwa mordy ICE na Renèe Nicole Good i niedługo później na Aleksie Prettim. Niejaki Dominik Tarczyński, król polskich wazeliniarzy trumpowskich, formalnie europoseł PiS, napisał na platformie Elona Muska: „Good job ICE! FAFO". Fafo to skrót od wulgarnego zwrotu „Fuck Around and Find Out", który w wolnym tłumaczeniu oznacza: „Zrób coś nierozsądnego i przekonaj się o konsekwencjach".

Pod niego podłączył się natychmiast ze wsparciem galaretowaty kozak internetowego hejtu, poseł Dariusz Matecki. Matecki czeka na swoje sprawy przed sądem, gdzie będzie odpowiadał m.in. za nadużycia (wyciąganie kasy) Funduszu Sprawiedliwości. Polski wymiar sprawiedliwości jednak raczej się nie śpieszy. Przez lata, co trzeba pamiętać albo wreszcie przyswoić, PiS karmiło finansowo skrajną, w tym bojówkarską prawicę grubymi milionami. Sam Matecki już marzy na jawie o polskim ICE. A przecież nie tak dawno wszyscy widzieliśmy bąkiewiczowskich obrońców granicy. Adam Wajrak bardzo gorzko zauważa w swoim komentarzu: „Z zasłoniętymi twarzami, ubrani w coś, co przypomina mundury, ale nie ma żadnych oznaczeń, nieprzeszkoleni do działań z cywilami, a przede wszystkim uzbrojeni i bardzo przekonani o ważności swojej »misji«. ICE w USA? Tak, ale też rzeczywistość na Podlasiu, którą zaczął PiS, a demokratyczny rząd jej nie zmienił, tylko ją utrwala. Miałem »przyjemność« z takimi typami. Wielu z nas tu miało. Że nikogo nie zastrzelili? Zawdzięczamy to tylko jakiemuś cudownemu zbiegowi okoliczności. W zeszłym roku jeden taki oddał 70 strzałów do samochodu, w którym jechał ojciec z dzieckiem".

Nowy (oj już nie taki nowy, trzeci roczek leci) rząd idzie tą samą drogą. Polskie ICE jest bliżej, niż moglibyśmy sądzić. Strach pomyśleć, kogo musieliby zastrzelić, żeby nad Wisłą dotarło. Ale nie dotrze. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c9f2caf81d

HARTUJE NAS ZIMA

Nikt już się nie łudzi – Trump chce wyrzucić z kraju nie tylko kryminalistów, ale wszystkich, którzy przebywają w nim nielegalnie

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Ostatnie skandale z udziałem policji ICE w Minneapolis dowodzą, że nowa polityka imigracyjna ma coraz mniej wspólnego z prawem i porządkiem, a coraz więcej z terroryzowaniem normalnych ludzi, w tym rodzin z dziećmi.

Liam Conejo Ramos

Liam Ramos ma pięć lat i chodzi do zerówki. Ze szkoły odbiera go tata, a gdy jadą do domu, Liam opowiada mu, co się wydarzyło w klasie.

Ale dziś tata jest rozkojarzony, nie słucha. Czy to dlatego, że po ich ulicy kręcą się dziwni policjanci z zakrytymi twarzami, których tata nazywa brzydkimi wyrazami? Liamowi nie wolno ich powtarzać.

W pewnym momencie tata dzwoni do mamy, a potem wypadki toczą się błyskawicznie. Policjanci rzucają się na ich samochód i wyciągają z niego ich obu. Tata nie ma nawet czasu wyłączyć silnika. Tata wyciąga ręce do Liama, Liam do taty, ale funkcjonariusze nie pozwalają im się dotknąć. Tata krzyczy. Krzyczy też sąsiadka, wymachując policjantom przed nosem jakąś kartką. Mówi, że jest upoważniona, by zabrać Liama do siebie. Ją też odpychają.

Jeden z policjantów każe Liamowi zapukać do drzwi, za którymi na pewno stoi teraz zmartwiona mama. Liam zaciska piąstki i prosi Boga, żeby tylko mama nie otwierała, żeby zrobiła wszystko tak, jak kazał tata.

Nie otworzyła. Uff, ulga. Ale policjanci są rozzłoszczeni. Wokół zbiera się coraz więcej ludzi. Krzyczą, gwiżdżą. Policjanci łapią Liama i wsadzają do tego samego samochodu, w którym wcześniej zniknął tata. Dopiero teraz Liam zaczyna płakać.

Liam Conejo Ramos i jego ojciec Adrian Conejo Ramos, mieszkańcy Minneapolis w stanie Minnesota, obywatele Ekwadoru – obaj z pozwoleniem na pobyt w USA w czasie, gdy oczekują na przyznanie im statusu uchodźców, zostali zaaresztowani i przewiezieni do ośrodka detencyjnego w Teksasie 20 stycznia tego roku. Zdjęcie przerażonego chłopca z twarzą niemal przyciśniętą do karoserii szarego SUV-a obiegło świat i stało się symbolem brutalnych działań służb imigracyjnych w dzisiejszej Ameryce.

Było też kolejnym publicznym starciem między mieszkańcami Minneapolis a administracją Trumpa, która – podobnie jak po morderstwie Renée Good zastrzelonej przez ICE dwa tygodnie wcześniej – forsowała własną wersję zdarzeń sprzeczną z relacjami świadków. Do dziś zresztą zaprzecza, że agenci użyli chłopca jako przynęty, by wywabić z jego domu i aresztować pozostałych członków rodziny, a także, że nie pierwszy raz zastosowali w pracy ten skandaliczny podstęp.

Gdy pod presją opinii publicznej do Minneapolis zawita dwa dni później wiceprezydent J.D. Vance, Ameryka usłyszy od niego, że odesłanie Liama wraz z ojcem do aresztu było wyłącznie formą „zaopiekowania się dzieckiem", którego nie można było pozostawić na mrozie – w pobliżu nie było przecież nikogo, kto mógłby się nim zająć. Kłamstwo wzmacnia drugim, mianowicie, że ojciec porzucił Liama, uciekając przed policją. Gdy w końcu zdobywa się na szczerość, to tylko po to, by przyznać, że dwa dni po wywiezieniu Ramosów z miasta przez ICE nie ma pojęcia, gdzie obecnie znajduje się dziecko.

Tysiące agentów ICE

Gdy czytacie ten tekst, mija miesiąc, od kiedy Trump oddelegował na ulice Minneapolis najpierw dwa, a po śmierci Renée Good jeszcze dodatkowy tysiąc agentów ICE. Przyczyną było rzekome wykrycie przez niezależnego prawicowego dziennikarza (w istocie bardziej influencera i tiktokera) defraudacji setek milionów publicznych pieniędzy,

Gdy w styczniu kongresman Ro Khanna odwiedził ośrodek detencyjny na Pustyni Mojave w Kalifornii, wyszedł z niego zdruzgotany.

czego dopuścili się członkowie społeczności somalijskiej w mieście.

Głosząc potrzebę zaprowadzenia porządku, jakiego nie są w stanie zapewnić lokalne władze, Trump odwołał funkcjonujący od lat 90. XX w. specjalny program azylowy dla Somalijczyków (przyznany im przez USA po wyniszczającej Somalię wojnie domowej) i postawił sobie za cel ich masową deportację. Sprostowania dotyczące faktów, że tiktoker niczego nie odkrył, a władze Minnesoty od lat prowadzą w sprawie tej defraudacji własne śledztwo, i że

eprasa.pl c9f2caf81d



Agencji ICE podczas zatrzymania kobiety i dziecka w ramach operacji „Metro Surge" w Minneapolis, 27 stycznia 2026 r.

prawie 100 osób zostało już w związku z tym osądzonych, a część skazanych, nie przebiły się jednak do szerszej wiadomości publicznej. Podobnie jak zadawane od samego początku, choć oczywiście tylko na lewicy, pytania o to, czy najazd służb ICE na Minneapolis i ich wyjątkowa brutalność, nie tylko wobec osób aresztowanych, nie ma służyć jeszcze jakimś innym, oprócz deportacji Somalijczyków, celom. Czy Trump nie mści się w ten sposób na gubernatorze Minnesoty Timie Walzu, który jako kandydat na wiceprezydenta Kamali Harris nie szczędził mu w kampanii krytyki? Czy wreszcie agresja ze strony federalnych agentów na skalę nieoglądaną w innych stanach nie jest obliczona na wzniecenie zamieszek, które pozwoliłyby Trumpowi uruchomić sławetny Insurrection Act, by ogłosić w kraju stan wyjątkowy i nie dopuścić do wyborów połówkowych?

Prognozy dla republikanów nie są najlepsze, a Trump już nawet publicznie insynuował, że nie można dopuścić do przegranej, bo oznacza to, że czeka go impeachment.

Tydzień, w którym aresztowano Liama Ramosa, okazał się dla Minnesoty wyjątkowo tragiczny. Cztery dni później, w sobotę 24 stycznia, agenci ICE zastrzelili kolejnego oprotestowującego ich działania Amerykanina – Alexa Prettiego, i to w sposób jeszcze bardziej przerażający niż Renée Good. Zdjęcie zmrożonego lękiem chłopca w niebieskiej czapeczce ustąpiło miejsca nowym obrazom i symbolom przemocy i oporu.

Dramat Liama nie odszedł jednak w niepamięć, choć zbyt szybko przykurzył się i wyblakł. To wielka szkoda, bo nic lepiej nie opisuje moralnego i cywilizacyjnego upadku dzisiejszej Ameryki niż opowieść o najbardziej bezbronnych ofiarach jej wyniszczających obsesji. O losie jej najmłodszych imigrantów.

Wyniszczająca obsesja Ameryki

Jak donoszą pracownicy organizacji zajmujących się monitorowaniem sytuacji imigrantów w USA, aresztowanie pięciolatka z Minneapolis nie jest przypadkiem odosobnionym. Między końcem stycznia a końcem października ubiegłego roku ICE osadziło w ośrodkach detencyjnych ok. 3,8 tys. dzieci, wśród nich dwadzieścioro niemowląt. Co ważne, ponad 2,6 tys. dzieci zostało aresztowanych wewnątrz USA – to istotna zmiana w porównaniu z tym, jaki los spotykał nieletnich imigrantów w przeszłości. Niemal wszystkie dzieci trafiające do takich miejsc były dotąd przejmowane przez służby w okolicach granicy, w trakcie prób jej nielegalnego przekroczenia (Deportation Data Project, 2025).

Po zaaresztowaniu nieletni imigranci trafiają do jednego z dwóch funkcjonujących w tej chwili w USA placówek detencyjnych dla rodzin: w miasteczkach Dilly bądź Karnes – oba znajdują się na terenie Teksasu. Za czasów prezydentury Bidena ośrodki zamknięto, jednak Trump nakazał ich ponowne otwarcie, a w planach ma tworzenie kolejnych. Wielka Piękna Ustawa (One Big Beautiful Bill, OBBB) przegłosowana w lipcu ub.r. alokuje na rozbudowę infrastruktury detencyjnej aż 45 mld dol.

Po tym, jak w latach 80. Ameryką wstrząsnęła seria skandali związanych z niedopuszczalnym traktowaniem w ośrodkach detencyjnych nieletnich imigrantów, w 1997 r. doszło do ugody sądowej nazwanej Flores Settlement Agreement, na mocy której zostali oni objęci przez państwo „specjalną troską". Sąd orzekł, że mogą być osadzani tylko w odpowiednio do tego przygotowanych placówkach, gdzie będą mieli dostęp do opieki medycznej, pełnowartościowego wyżywienia i swobodnego ruchu na świeżym powietrzu. Co najważniejsze – czas pobytu w takich miejscach miał nie przekraczać 20 dni, po czym służby miały „przekazać ich rodzicom, legalnym opiekunom czy innym osobom upoważnionym do opieki nad nimi", jak czytamy w ugodzie.

Jak obecnie wygląda to w praktyce? W sierpniu ub.r. organizacja The Marshall Project opublikowała raport, w którym alarmowała, że od stycznia 2025 r. aż ponad 1,3 tys. dzieci przebywało w amerykańskiej detencji po kilka miesięcy („ICE Threw Thousands of Kids in Detention, Many For Longer Than

eprasa.pl c9f2caf81d

Court-Prescribed Limit", 17 grudnia 2025 r.). Przegłosowując OBBB, republikański Kongres zrobił też przymiarkę do odwołania Flores Settlement Agreement. Ustawa instruuje bowiem służby ICE, by „trzymały rodziny w detencji aż do momentu ich wydalenia z kraju", co jest jawnie sprzeczne ze stanowiskiem sądu z 1997 r.

Co ukrywa Trump w ośrodkach detencyjnych?

Coraz silniej wybrzmiewają też głosy, że warunki bytowania w dzisiejszych ośrodkach detencyjnych, w tym tych w Dilley i Karnes, gwałtownie się pogarszają. Opisała je m.in. Caitlin Dickerson, dziennikarka śledcza magazynu „The Atlantic" i laureatka Nagrody Pulitzera w 2023 r. za reportaże o polityce rozdzielania rodzin imigrantów za pierwszej prezydentury Trumpa.

„Gdy rozmawiałam z imigrantami, w każdym miejscu słyszałam to samo: że jedzenie jest absolutnie nie do przełknięcia, zwłaszcza dla dzieci. Rodzice skarżyli się, że dzieci wymiotują już z powodu samego zapachu i odmawiają posiłków, zanim nawet wejdą na stołówkę. Sprawia to, że wszystkie tracą na wadze", mówiła Dickerson w wywiadzie z Davidem Frumem „How ICE Became Trump's Secret Army" („The Atlantic", 20 sierpnia 2025 r.). Dużo miejsca w swojej książce Dickerson poświęciła samemu systemowi detencyjnemu, przypominając, jak mało jest nad nim faktycznego nadzoru i jak wielkie pozostawia to pole do nadużyć.

Amerykańskie centra detencji, tak samo jak więzienia, nie znajdują się pod bezpośrednią kuratelą rządu. Budują je, a potem de facto prowadzą zewnętrzne firmy – prywatni kontraktorzy, dla których jest to biznes mający przynosić zyski. Tnie się więc tam koszty na wszystkim, szczególnie na jedzeniu i opiece medycznej.

Ośrodki detencyjne dla rodzin z dziećmi zarządzane są przez spółki CoreCivic oraz GEO Group. Obie firmy przez lata zamieszane były w wiele skandali i pozywane za tolerowanie w swoich placówkach więziennych dehumanizujących warunków bytowo-sanitarnych, za zaniedbania medyczne, przemoc i zmuszanie więźniów do nieodpłatnej pracy.

Grozę budzi też fakt, że za drugiej kadencji Trumpa Departament Bezpieczeństwa Krajowego (DHS) – agencja, której podlega ICE, wydatnie wzmógł wysiłki, by utrudniać organom upoważnionym, przede wszystkim członkom Kongresu posiadającym konstytucyjne uprawnienia nadzorcze nad agencjami federalnymi, kontrole placówek detencyjnych.

W lipcu ub.r. szefowa DHS Kristi Noem wydała rozporządzenie, że politycy muszą informować administrację placówek o swoich wizytach z co najmniej siedmiodniowym wyprzedzeniem, w przeciwnym razie nie zostaną do nich wpuszczeni. Dyrektywa jest jawnie bezprawna, ale wysiłki demokratów, by ją zablokować, spełzły na niczym. Politycy usiłujący wejść do tych ośrodków „z marszu" rzeczywiście zostają odprawiani z kwitkiem. Obawy, że administracja Trumpa faktycznie ma co ukrywać przed światem, nie są bezpodstawne.

ICE potrafi dziś zatrzymać i aresztować wszystkie osoby mające latynoski wygląd lub specyficznie brzmiące nazwisko.

Gdy w styczniu kongresman Ro Khanna odwiedził ośrodek detencyjny na Pustyni Mojave w Kalifornii, wyszedł z niego zdruzgotany. „Podczas oprowadzania strażnicy usiłowali dowieść, że wszystko działa zgodnie z prawem, spełniane są wymogi i standardy. Gdy jednak zacząłem rozmawiać z zatrzymanymi, doznałem szoku. Traktujemy tych ludzi jak zwierzęta, nie jak istoty ludzkie. To hańba dla naszego kraju", oświadczył potem na konferencji prasowej („South Bay Rep. Ro Khanna »Horrified« After Visit To California City ICE Detention Center", 10 stycznia 2026 r.)

Wgląd w sytuację w Dilley i Karnes dał również złożony 8 grudnia 2025 r. do Federalnego Sądu Okręgowego Centralnej Kalifornii zbiorowy pozew ze strony adwokatów reprezentujących przetrzymywane tam rodziny. W dołączonych do niego zeznaniach świadków można m.in. przeczytać: „Dzieci mają biegunkę, bóle brzucha, dostają jedzenie, w którym są robaki", „Dostaliśmy brokuły i kalafiory, które były zgniłe i robaczywe", „Pielęgniarka powiedziała jednej rodzinie, która miała dziecko z zatruciem pokarmowym, że mają wrócić dopiero, gdy dziecko zwymiotuje osiem razy" („About 400 immigrant children were detained longer than the recommended limit, ICE admits", AP News, 10 grudnia 2025 r.)

Jak przerażone zwierzątka

W 2024 r. Centrum ds. Zdrowia i Praw Człowieka przy Uniwersytecie Harvarda opublikowało raport z badań nad tym, jak pobyt w ośrodku detencyjnym wpływa na stan dzieci i młodzieży. U wszystkich badanych (ponad 800 osób) stwierdzono istotne pogorszenie stanu fizycznego i umysłowego. „Wyniki tego badania są głęboko niepokojące i pokazują, że nie ma humanitarnego sposobu przetrzymywania dzieci ani takiej formy detencji rodzinnej, która byłaby do zaakceptowania", odniósł się do raportu Javier Hidalgo, dyrektor prawny w Centrum Edukacji i Pomocy Prawnej dla Uchodźców i Imigrantów (RAICES).

Dramat dzieci z rodzin imigrantów rozgrywa się nie tylko w ośrodkach detencyjnych, ale też tam, gdzie pojawiają się zamaskowani agenci ICE.

– Wiele dzieci przestało chodzić do szkoły. Boją się aresztowania albo ich rodzice wolą nie ryzykować pojawiania się wraz z nimi w szkole. Gdy jadę do nich do domu, by ze szkoły dostarczyć im mobilny hotspot – od dwóch tygodni umożliwiono im naukę zdalną – wyglądają jak przerażone zwierzątka. Chowają się za rodzicami, meblami. Niektóre drzwi wcale się nie otwierają, ludzie tylko

eprasa.pl c9f2caf81d



Federalni funkcjonariusze imigracyjni w pobliżu miejsca, w którym została zastrzelona Renée Good. Minneapolis, 13 stycznia 2025 r.

obserwują mnie zza firanki. Boją się kontaktu z kimkolwiek z zewnątrz, zwłaszcza odkąd ICE zaczęło podstawiać normalnie ubrane kobiety, które podszywają się pod pracownice socjalne – opowiada mi Marta Feder, Polka, matka dwójki dzieci w wieku szkolnym, od 20 lat mieszkanka Minneapolis.

Mąż Marty jest z pochodzenia Meksykaninem, więc jej rodzina też znajduje się w grupie „podwyższonego ryzyka", bo ICE potrafi dziś zatrzymać i aresztować wszystkie osoby mające latynoski wygląd lub specyficznie brzmiące nazwisko.

Marta aktywnie udziela się w organizacjach pomagających imigrantom, które przejęły na siebie dostarczanie im zakupów i posiłków, ostrzeganie przed obecnością agentów ICE w okolicy, a także instruowanie, jak napisać sąsiadowi bądź krewnym prawomocne upoważnienie do opieki nad dzieckiem, gdyby samemu zostało się aresztowanym. To bardzo ważne. Uchroni to zwłaszcza dzieci, które są obywatelami, przed dodatkową traumą przejścia pod opiekę państwa.

Gdy pytam, czy szkoły wdrażają jakiś program ochrony uczniów przed ICE, Marta wyjaśnia, że bardzo przydają się kamery i podwójne zamki w drzwiach – standardowe dziś zabezpieczenia w amerykańskich szkołach, choć w pierwotnym zamierzeniu instalowane nie po to, by powstrzymywać wizyty ICE, ale zamachowców z bronią palną.

– Widać, kto stoi pod drzwiami i po prostu wtedy ich się nie otwiera. ICE podchodzi jednak pod szkoły. W tym samym tygodniu, gdy zabrali Liama, zgarnęli też trójkę innych dzieciaków z naszego okręgu, w tym jednego dziesięciolatka.

Marta mieszkała kiedyś przy ulicy, na której 24 stycznia zginął Alex Pretti. Mówi, że miejsce, z którego nakręcono jeden z filmów uwieczniających zbrodnię, ten najmniej wyraźny, „przez ulicę", było ulubioną cukiernią jej rodziny.

Tysiące ogniw wsparcia

– Będziemy tam wracać. Takie miejsca jakiś czas po tragediach stają się w mieście ośrodkami spotkań sąsiedzkich i inspiracją kolejnych wspólnych działań mieszkańców. Trudno mi znaleźć słowa, które opisałyby dokładnie to, co w tej chwili przeżywamy wszyscy. Jako obywatele tego kraju, mieszkańcy tego miasta, rodzice. W pewnym sklepie w dzielnicy latynoskiej doszło do sytuacji, kiedy ICE wpadło do środka i porwało kobietę tak błyskawicznie, że jej dzieci zajęte przy innej półce nawet się nie zorientowały. Sprzedawczyni została z nimi sama, a one, kilkulatki, nie potrafiły jej wytłumaczyć, gdzie mieszkają ani podać żadnego telefonu. To zbiorowa trauma, z której będziemy się podnosić bardzo, bardzo długo.

Gdy się rozłączyłyśmy, Marta przysłała mi film z wystąpieniem Adriany Cerrillo, kuratorki oświaty z Minneapolis i znanej aktywistki społecznej, która publicznie przyznaje się do tego, że zanim została obywatelką USA, była nielegalną imigrantką i nawet zaliczyła deportację. Cerillo mówi, że dorośli są dzieciom winni walkę o lepszą przyszłość.

Pod filmem ostatnie refleksje mojej rozmówczyni: „Oglądając to wideo dzisiaj, w kontekście najnowszych wydarzeń, pomyślałam, że dobrze pokazuje, skąd moje miasto bierze siłę i motywację do skutecznego stosowania obywatelskiego protestu i zbiorowej niesubordynacji. Tutaj naprawdę czuć protestancki, społecznikowski etos niesienia pomocy bliźniemu, sąsiadowi. I do tego jeszcze istnieją setki, jeśli nie tysiące takich lokalnych ogniw wsparcia jak nasza szkoła. Razem tworzy to dobrze naoliwioną maszynę oporu. I oczywiście hartuje nas tutaj zima. Podczas piątkowego protestu (23 stycznia 2026 r. – przyp. E.S.M.) było minus 24 st. C!".

Choć Marcie Feder zabrakło słów do opisania tego, co się dzieje w Minneapolis, znalazł je gubernator Tim Walz. Nie wszystkim się spodobały, mimo to zostawiam je tutaj jako refleksję nad tym, w jak nieoczekiwanie mrocznych i wynaturzonych czasach przyszło nam żyć. „Mamy dziś dzieci w Minnesocie, które chowają się w swoich domach, boją się wyjść na zewnątrz. Wielu z nas dorastało, czytając historię Anne Frank. Ktoś kiedyś napisze podobną historię o dzieciach z Minnesoty" (Tim Walz, 24 stycznia 2026 r.).

Eliza Sarnacka-Mahoney

FOT. AP/EAST NEWS, ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl c9f2caf81d

Od pochodni do podium

Włochy szykują się na zimowe igrzyska Mediolan-Cortina 2026

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch



Znicz olimpijski w miejscowości Alessandria, 16 stycznia 2026 r.

XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie Mediolan-Cortina 2026 coraz bliżej. W ostatnich tygodniach sportowcy niosący olimpijską pochodnię przemierzyli Wenecję Euganejską i Nizinę Padańską w ramach podróży przez Włochy. Trasa prowadziła do Mantui, łącząc historyczne miasteczka i regiony będące symbolem tożsamości północnych Włoch. Gdy pochodnia dotarła do miasta, ulice wypełniły się mieszkańcami i turystami, którzy czekali na biegaczy niosących olimpijski ogień.

Sztafeta rozpoczęła się 26 listopada 2025 r. symbolicznym odpaleniem świętego ognia w Olimpii. Po uroczystym przekazaniu płomienia Włochom i przetransportowaniu go do kraju, 4 grudnia 2025 r. prezydent Włoch Sergio Mattarella przyjął i zapalił znicz na dziedzińcu Pałacu Kwirynalskiego w Rzymie, oficjalnie inaugurując podróż pochodni, która została od niego odpalona. Podczas ceremonii, w której uczestniczyli przedstawiciele świata sportu, samorządowcy i wybitni sportowcy – wśród nich tenisistka Jasmine Paolini – prezydent przekazał przesłanie pokoju i wezwał do olimpijskiego rozejmu, podkreślając jednoczącą rolę igrzysk.

Trasa licząca 12 tys. km prowadzi przez wszystkie regiony Włoch, ponad 60 miast będących etapami i ponad 300 miejscowości: od Koloseum i fontanny di Trevi w Rzymie, przez wenecki Canal Grande, po symboliczne miejsca odrodzenia, takie jak zniszczona przez trzęsienie ziemi Amatrice czy dzielnica Scampia w Neapolu.

– Każdy krok tej podróży przez nasze miasta przypomina światu o sile sportu w budowaniu mostów i przełamywaniu barier – podkreślał Giovanni Malagò, prezes Fundacji Mediolan-Cortina 2026. – To trasa łącząca korzenie z przyszłością, gościnność z innowacją i celebrująca to, co najlepsze w duchu włoskim.

Za organizację sztafety odpowiada potężna machina logistyczna, będąca efektem ponad dwóch lat planowania. Konwój o długości niemal 200 m porusza się z prędkością 4 km/godz., a każdy dzień rozpoczyna się o godz. 7.30 i kończy ok. 19.30 zapaleniem znicza w mieście będącym następnym etapem. Celem jest „stworzenie olimpiady, która wyjdzie na ulice" poprzez dziesiątki wydarzeń towarzyszących: koncerty, festyny miejskie, programy edukacyjne dla szkół i inicjatywy społeczne. Finał tej niezwykłej podróży nastąpi wieczorem 6 lutego 2026 r. w Mediolanie – w dzień ceremonii otwarcia igrzysk – gdy płomień dotrze na Stadion San Siro.

Po raz pierwszy w historii igrzysk olimpijskich i paraolimpijskich jednocześnie zapłoną dwa znicze w dwóch różnych miastach. Wykonane z aluminium lotniczego i zaprojektowane przez Marca Balicha we współpracy z Lidą Castelli oraz Paolem Fantinem zostaną zapalone w idealnej synchronizacji przy Arco della Pace w Mediolanie oraz na Placu Dibona w Cortinie d'Ampezzo. Znicze rozkładają się i składają, osiągając średnicę od 3,1 do 4,5 m.

Zimowe igrzyska powracają do Włoch po 20 latach od imprezy w Turynie. Stawka jest znacznie wyższa niż sportowe medale. Mediolan-Cortina 2026 to projekt, który ma połączyć dwa światy: globalną metropolię finansową i alpejskie kurorty Dolomitów. Dla rządu i samorządów to wizytówka turystyczna. Dla krytyków – zbyt kosztowny eksperyment infrastrukturalny.

eprasa.pl c9f2caf81d

Co, gdzie, kiedy i przede wszystkim za ile?

Mediolan-Cortina 2026 to jedna z najbardziej „rozproszonych" imprez w historii zimowych igrzysk. Rywalizacja odbędzie się w trzech regionach: Lombardii, Wenecji Euganejskiej i Trydencie-Górnej Adydze. Mediolan stanie się centrum sportów lodowych: hokeja, łyżwiarstwa figurowego i short tracku. Cortina d'Ampezzo i Dolomity – sercem sportów alpejskich, takich jak zjazdy narciarskie, supergiganty i kombinacje.

Igrzyska potrwają ponad dwa tygodnie i obejmą kilkadziesiąt konkurencji medalowych. Organizatorzy podkreślają też rolę transmisji telewizyjnych i cyfrowych, które przyciągną młodszą publiczność i pozwolą oglądać zawody tym, którzy nie mogą przyjechać.

Na zawody szykują się prawdziwe legendy narciarstwa, w tym Włoszka Federica Brignone, która odzyskała formę po ciężkiej kontuzji w zaskakującym tempie i będzie chorążą Włoch, oraz Amerykanka Lindsey Vonn, która wróciła do sportu z zamiarem zostania najstarszą medalistką igrzysk, a także gwiazdy z poprzednich olimpiad, takie jak Tina Maze, Viktoria Rebensburg, Martin Schmitt, Markus Eisenbichler oraz biatlonistki Tiril Eckhoff i Sandrine Bailly, co zapowiada emocje na najwyższym poziomie.

W narciarstwie biegowym Polskę reprezentować mają doświadczeni zawodnicy, w tym Izabela Marcisz i Maciej Staręga.

Szczególne zainteresowanie budzi kwestia biletów. Według zapowiedzi ceny są zróżnicowane: od relatywnie dostępnych wejściówek na eliminacje po pakiety premium na finały. Dziennik „Corriere della Sera" zwraca uwagę, że „organizatorzy chcą uniknąć wizerunku olimpiady tylko dla elit", i zapowiadają pulę biletów subsydiowanych dla młodzieży oraz szkół. Zresztą na oficjalnej stronie igrzysk można sprawdzić rozpiętość cenową. Bilety na ceremonię otwarcia na San Siro wahają się od 260 do 2026 euro za osobę. Pakiety gościnne z typowym mediolańskim aperitivo zaczynają się od 3250 euro, a premium – od 8950 euro za osobę. Bilety na poszczególne konkurencje sportowe w Mediolanie i w Cortinie rozpoczynają się od 150 i 350 euro za osobę, wersja premium może kosztować kilka tysięcy euro.



Trasa zjazdowa dla narciarzy w Bormio.

Równolegle rozwija się sektor tzw. turystyki olimpijskiej. Biura podróży oferują pakiety łączące zawody sportowe z pobytem w Dolomitach, zwiedzaniem Mediolanu i gastronomicznymi trasami w Lombardii i Wenecji Euganejskiej. Dla branży hotelarskiej to ogromna szansa, ale też test wydolności infrastruktury. Miejsc noclegowych już brakuje.

Igrzyska tymczasowo tworzą tysiące miejsc pracy, ale związki zawodowe alarmują o kontraktach krótkoterminowych i presji na obniżanie kosztów.

Mediolan przygotowuje się do roli gospodarza wizerunkowego. Miasto kierowane przez lewicowego burmistrza Giuseppe Salę modernizuje transport publiczny, inwestuje w przestrzenie wokół hal sportowych i planuje strefy kibica. Dla metropolii to kolejny etap budowania marki globalnego centrum biznesu i kultury. Władze miejskie podkreślają, że igrzyska mają pozostawić trwałe dziedzictwo: nowe linie komunikacyjne, rewitalizowane dzielnice i infrastrukturę sportową dla mieszkańców.

Cortina d'Ampezzo stoi przed innym wyzwaniem. To luksusowy kurort, który musi pogodzić prestiż z masową turystyką. Lokalna prasa alarmuje o presji na ceny nieruchomości i ryzyku przeciążenia infrastruktury. Mieszkańcy obawiają się, że miasto straci kameralny charakter, który przez dekady budował jego markę. Jednocześnie wielu przedsiębiorców widzi w igrzyskach szansę pokoleniową. Restauratorzy, hotelarze i przewodnicy górscy liczą na długofalowy wzrost zainteresowania regionem. To tu ścierają się dwa obrazy przyszłości: Dolomity jako spokojny kierunek VIP albo jako globalna arena sportowo-turystyczna.

A co po igrzyskach?

Zimowa olimpiada we Włoszech od początku budzi kontrowersje i dzieli opinię publiczną. Skala inwestycji sięga miliardów euro. Centroprawicowy rząd Giorgii Meloni oraz lewicowy burmistrz Mediolanu

eprasa.pl c9f2caf81d

podkreślają, że igrzyska przyśpieszają projekty, które i tak były konieczne. Krytycy zwracają uwagę, że prace realizowane pod presją terminów są znacznie droższe, a ich jakość często pozostawia wiele do życzenia. Dziennik „La Repubblica", analizując przygotowania do igrzysk, ostrzega przed „ryzykiem spirali kosztów" i powtórzeniem błędów poprzednich olimpiad, gdzie część obiektów po zakończeniu zawodów straciła funkcję.

Minister infrastruktury i transportu Matteo Salvini w wywiadzie dla prasy podkreślał, że igrzyska to „okazja do modernizacji, której Włochy nie mogą zmarnować". Spór nie dotyczy więc samej olimpiady, lecz modelu rozwoju: czy opierać go na wielkich wydarzeniach, czy na długofalowej polityce regionalnej.

Polemika obejmuje także rynek pracy. Igrzyska tymczasowo tworzą tysiące miejsc zatrudnienia w budownictwie, logistyce i turystyce, ale związki zawodowe alarmują o kontraktach krótkoterminowych i presji na obniżanie kosztów. Tragiczny przykład stanowi śmierć 55-letniego strażnika nocnego Pietra Zantoniego, który zmarł w Cortinie d'Ampezzo podczas nocnej zmiany na placu budowy obiektu olimpijskiego – przyczyną były wyjątkowo trudne warunki pogodowe.

W regionach alpejskich pojawiają się także głosy sprzeciwu wobec ingerencji w środowisko i krajobraz.

Jak wynika z dochodzenia dziennika „La Repubblica", małe miasteczko Tirano w Valtellinie stanie się w lutym centralnym węzłem olimpiady. Choć dotąd słynęło jako miejsce startu historycznego pociągu Bernina, jadącego do Saint Moritz, igrzyska zmienią spokojną codzienność tej ośmiotysięcznej miejscowości. Tirano będzie punktem przesiadkowym dla sportowców, dziennikarzy i kibiców – stąd kursować będzie transport olimpijski, a do Bormio i Livigno, gdzie odbędą się najważniejsze zawody w narciarstwie alpejskim, skialpinizmie, snowboardzie i freestyle'u, będzie tylko dojazd autobusem lub jednotorowym pociągiem. Barbara Meggetto, prezes Lombardia per Legambiente (regionalnej organizacji działającej na rzecz ochrony środowiska), przestrzega: „Na jednotorowej linii wystarczy jedno opóźnienie, by powstał efekt domina".

Problemy infrastrukturalne są ogromne. Wokół stacji Tirano, kosztem terenów rolnych i łąk, powstała wielka strefa parkingowa dla 120 autobusów. Planowane są obwodnice i tunel pod rzeką Adda, mające odciążyć centrum miasta, ale prace utknęły na ostatnim kilometrze i zakończą się dopiero po igrzyskach. Z 29 inwestycji drogowych w Lombardii o wartości 1,39 mld euro tylko osiem będzie ukończonych na czas. Ponad połowa projektów związanych z trwałym dziedzictwem igrzysk – dopiero po paraolimpiadzie. Ostatnie prace planowane są na 2033 r.

Najdroższą inwestycją jest Stelvio Ski Centre w Bormio – kosztowało 13 mln euro. Obiekt przy trasie Stelvio, na której odbędą się męskie zjazdy, Super-G i kombinacja, pełni funkcję centrum logistycznego dla sportowców, drużyn i publiczności. Po zakończeniu igrzysk jego przyszłość pozostaje niepewna. Samorząd planuje wydarzenia sportowe i publiczne, choć w pobliżu istnieje już centrum Pentagono, zmodernizowane również dzięki środkom olimpijskim.

Wpływ inwestycji na środowisko jest poważny. W Livigno wycięto ponad 2 ha lasu pod parkingi i wyciągi narciarskie, powstały sztuczne zbiorniki śnieżne. W Parku Narodowym Stelvio budowa dróg i obiektów narciarskich budzi sprzeciw ekologów. Kontrowersje wywołuje także Tangenziale Alute w Bormio – obwodnica dla narciarzy, która według organizacji ekologicznych może zniszczyć ostatnią historyczną równinę rolniczą i korytarz ekologiczny.

Dla branży hotelarskiej to ogromna szansa, ale też test wydolności infrastruktury. Miejsc noclegowych już brakuje.

Zmieniający się klimat sprawia, że region coraz bardziej polega na sztucznym śniegu. Międzynarodowa Federacja Narciarska wyraziła już obawy o przyszłość sportów zimowych w Valtellinie ze względu na niewystarczające opady. Organizatorzy zapewniają, że maszyny do produkcji śniegu będą działać na czas igrzysk. Co potem – nie wiadomo, bo dolina ma problemy z wodą, których rozwiązanie jest planowane dopiero po zawodach.

Mieszkańcy Bormio, Livigno i Tirano krytykują brak trwałych korzyści z rozbudowy infrastruktury sportowej. Nadmierne koszty, niedokończone prace i zagrożenie dla krajobrazu oraz ekosystemów budzą ich niepokój. Wielu podkreśla, że potrzebne były inwestycje służące regionowi – takie jak poprawa dostępności, rozwiązywanie problemów depopulacji i wsparcie turystyki – a nie tylko samej imprezie olimpijskiej.

Paradoks zimowych igrzysk Mediolan-Cortina 2026 jest widoczny: choć miały zmniejszyć presję na pojedynczy obszar poprzez rozproszenie inwestycji, w rzeczywistości powielają problemy infrastrukturalne, skutkują nowymi budowami i uciążliwościami, pokazując, że organizacja olimpiady w Alpach to znacznie więcej niż same zawody sportowe.

Mediolan-Cortina 2026 to sprawdzian administracji publicznej, samorządów, sektora prywatnego i zaufania społecznego. Czy Włochy pokażą się światu jako kraj sprawny organizacyjnie, nowoczesny i ekologicznie odpowiedzialny? Czy potwierdzą stereotyp państwa, które świetnie opowiada historie, ale gorzej realizuje wielkie projekty?

Kiedy zapłonie znicz olimpijski, uwaga skupi się na medalach i rekordach. Jednak prawdziwy bilans tej imprezy będzie liczony latami: w jakości infrastruktury, w stanie regionów i w tym, czy mieszkańcy północnych Włoch uznają igrzyska za impuls rozwojowy, czy za zbyt kosztowną jednorazową przygodę. Od pochodni do podium prowadzi długa droga, a jej najważniejszym etapem może być to, co się wydarzy już po ceremonii zamknięcia.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl c9f2caf81d

Coraz mniej Moskwy

Łotwa wyłącza nadawanie w języku rosyjskim



„Łotwa to mój kraj – rosyjski to mój język” – protest mniejszości rosyjskiej przeciwko przekształceniu dwujęzycznych szkół mniejszościowych w nauczające tylko w języku łotewskim. Ryga, 7 września 2022 r.

Tomasz Otocki
Korespondencja z Rygi

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 r. Łotwa coraz gorliwiej pozbywa się śladów rosyjskości, interpretowanych jako relikty sowieckiej okupacji lub XIX-wiecznego rosyjskiego imperializmu. Nie ma już w Rydze pomnika radzieckich „wyzwolicieli” miasta, jakiś czas temu z mapy zniknęło Moskiewskie Przedmieście, a z Parku Kronwalda – pomnik Puszkina. Po łotewskiej reformie edukacji, która zlikwidowała szkolnictwo w językach mniejszości narodowych, Rosjanie mieszkający nad Dźwiną obawiają się kolejnego problemu: zamknięcia mediów nadających w języku rosyjskim.

W nowy rok Ryga weszła trochę nerwowo. Ostatniego dnia starego roku wicemer miasta z partii narodowców Edvards Ratnieks nawoływał, by zgłaszać służbom nazwiska sąsiadów, którzy wystrzeliwali fajerwerki według czasu moskiewskiego. 31 grudnia 2025 r. mieszkańcy Łotwy po raz ostatni usłyszeli także rosyjskie słowo w łotewskim radiu publicznym. Do historii przeszedł bowiem rosyjskojęzyczny 4 kanał radia, nadający również audycje w językach innych mniejszości narodowych.

Czy to już koniec, czy zaledwie początek totalnej derusyfikacji Łotwy?

Łatgalskie Przedmieście – i bardzo dobrze

Choć po odzyskaniu przez Łotwę niepodległości w 1990 r. uchwalano różne prawa wymierzone w mniejszość rosyjskojęzyczną, postrzegane przez nią jako dyskryminacja, a przez Łotyszy bardzo często odczuwane jako konieczna samoobrona przed społecznością, która w czasach radzieckich rozrosła się ponad miarę – to sytuacja w zasadzie była stabilna. Coraz więcej Rosjan w ramach procesu naturalizacji otrzymywało obywatelstwo, młodzi uczyli się w szkołach języka łotewskiego i korzystali z szans, które otworzyło wejście kraju do Unii Europejskiej w 2004 r.

Wydawało się nawet, że Rosjanie są w stanie wywalczyć „swoje” także na poziomie politycznym. Na przykład wtedy, gdy w 2009 r. pierwszy raz w historii Ryżanie wybrali na mera etnicznego Rosjanina Niła Uszakowa. Co prawda jego partia Zgoda nigdy nie została dopuszczona do władzy na szczeblu centralnym, otaczał ją „kordon sanitarny”, ale Rosjanie coraz bardziej czuli się częścią niepodległej Łotwy. Świętowali łotewskie rocznice 4 maja albo 18 listopada, zaciągali się do Zemessardze (Gwardii Narodowej) czy do wojska łotewskiego. Przyswajali język łotewski, bo wcześniej, w okresie Łotewskiej SRR lokalne władze tego od nich nie wymagały. Oczywiście nie dotyczyło to całej społeczności

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d

rosyjskiej. Wciąż było sporo ludzi, którzy tęsknili za Związkiem Radzieckim, oglądali telewizję z Federacji Rosyjskiej, a na pytanie, kto jest prezydentem, szczerze odpowiadali: Aleksander Łukaszenka albo Władimir Putin. To nie żart – w niektórych częściach Łotwy ludzie do dziś nie kojarzą nazwiska premierki kraju. To doskonały przykład tego, że można żyć w swojej bańce i być z tego zadowolonym. Ale na szczęście nie jest to zjawisko powszechne.

Co się zmieniło w ostatniej dekadzie na Łotwie? Uszakow przestał być merem Rygi, jego Zgoda zeszła na margines wielkiej polityki, pojawili się nowi politycy rosyjscy, choć już nie tak sprawni jak stara gwardia. Z kolei łotewskie reformy wymierzone w obecność rosyjskości na Łotwie ruszyły z kopyta w wyniku pełnoskalowej agresji Putina na Ukrainę. W pierwszym roku wojny władze Rygi zdecydowały o demontażu pomnika „wyzwolicieli" miasta spod okupacji niemieckiej w 1944 r. na Zadźwiniu. Wielu Rosjan odczuło to jako osobistą obrazę, protesty były jednak prawie niezauważalne. Później przyszło demontowanie rosyjskich pomników, takich jak ten Puszkina w Parku Kronwalda, zmiana nazw ulic kojarzących się z Rosją: Gogola, Turgieniewa czy Lermontowa. Początkowo planowano je zastąpić nazwami upamiętniającymi Ukraińców, skończyło się jednak na opcji bezpieczniejszej, a więc łotyszyzacji.

– Nie ma już Moskiewskiego Przedmieścia, jest Łatgalskie Przedmieście, i bardzo dobrze – mówiła mi w 2024 r. polska znajoma z Rygi. Stołeczni Polacy w sporze Rosjanie vs. Łotysze ustawiają się w większości po stronie tych drugich. Długo by pisać, dlaczego tak się stało, ale to zjawisko zupełnie inne niż w sąsiedniej Litwie.

Zmiany derusyfikacyjne nie objęły tylko symboliki czy nazw. Kolejne rządy łotewskie zdecydowały o wprowadzeniu tzw. jednolitej szkoły, czyli likwidacji szkół mniejszości rosyjskiej. Od pewnego czasu Rosjanie czy rosyjskojęzyczni, bo na Łotwie to też nie to samo, muszą już się uczyć w języku państwowym, inaczej niż ich rówieśnicy w Wilnie czy Kłajpedzie, a tak samo jak rosyjscy uczniowie w Tallinnie i Tartu.

– Powinniśmy byli to zrobić 20-30 lat temu – wypalił niedawno z dużą szczerością w jednym z wywiadów prezydent Łotwy Edgars Rinkēvičs, kojarzony z liberalną stroną sporu politycznego. Na Łotwie nawet lewica zasiadająca w obecnym rządzie uważa, że językiem nauczania ma być łotewski. Koniec kropka.

Jak pisała wówczas analityczka Instytutu Europy Środkowej w Lublinie dr hab. Aleksandra Kuczyńska-Zonik: „Inicjatorzy wyszli z założenia, że od lat funkcjonujący w przestrzeni publicznej język rosyjski stanowi zagrożenie dla tożsamości narodowej Łotwy. W związku z tym ustalono, że od 2026 r. łotewskie media publiczne (...) nie będą nadawały w języku nienależącym do przestrzeni kulturowej

31 grudnia 2025 r. mieszkańcy Łotwy po raz ostatni usłyszeli język rosyjski w łotewskim radiu publicznym.

Oczywiście na temat języka nauczania w szkole można dyskutować, a oburzający się na łotewskie stosunki Polacy często są nieszczerzy. Mniejszość niemiecka uczy się w Polsce wciąż po polsku, a wszyscy pamiętamy, jak bardzo musiała ona walczyć o trzy godziny nauczania w języku ojczystym za rządów PiS.

Decyzja polityczna

Problem w tym, że duża część Rosjan przejście na język łotewski traktuje jako dyskryminację, nie bez racji wskazując na przykłady Czech, Słowacji, Litwy czy Niemiec, gdzie mniejszości uczą się w językach narodowych.

– Owszem, w naszych rodzinach rozmawia się po rosyjsku, inaczej niż wśród Polaków na Łotwie, którzy w większości po polsku nie mówią. Natomiast uczniowie, którzy będą chodzić do szkoły łotewskiej, a nie dwujęzycznej jak do tej pory, nie opanują w wystarczającym stopniu umiejętności pisania po rosyjsku, nie będą także znać Puszkina czy Dostojewskiego, nawet jeśli w tych szkołach literatura rosyjska będzie wykładana jako przedmiot – skarżył mi się niedawno dyrektor jednej z byłych szkół mniejszościowych w Rydze.

Jakby tego było mało, władze łotewskie uderzyły w media rosyjskie. W 2023 r. Sejm Łotwy uchwalił nową Koncepcję bezpieczeństwa narodowego, w której uznano, że istotnym celem bezpieczeństwa narodowego jest zapobieganie zagrożeniom w przestrzeni informacyjnej Łotwy. Unii Europejskiej lub państw kandydujących. W rezultacie treści w języku rosyjskim będą mogły pojawiać się jedynie w mediach komercyjnych, niefinansowanych z budżetu państwa".

Władze łotewskich mediów zadziałały bardzo szybko.

31 grudnia 2025 r. redaktorka Olga Kniaziewa pożegnała się uroczyście ze słuchaczami 4 Kanału Łotewskiego Radia, słynącego z tak dobrze postrzeganych audycji jak „Otwarta rozmowa" czy „Plac Tumski". Prowadzący mieli łzy w oczach, słuchacze dopytywali, gdzie teraz będą mogli wysłuchać nadawania w języku rosyjskim. Kniaziewa założyła już prywatny podcast na YouTubie, jednak jasne jest, że nie zastąpi on nadawania przez radio publiczne. W dodatku 31 grudnia z eteru zniknęły audycje polska, białoruska, litewska czy żydowska. Dawka języków „małych mniejszości" narodowych w 4 kanale była homeopatyczna, półgodzinne programy nadawano zaledwie raz na miesiąc, jednak jak podkreśliła w rozmowie z jedną z polskich rozgłośni sekretarz Związku Polaków na Łotwie Krystyna Kunicka-Dzalbe: „Był to przejaw szacunku państwa łotewskiego wobec naszej mniejszości". Teraz zniknęło nawet to.

O wyłączeniu nadawania po rosyjsku rozmawiam z prof. Mārtiņšem Kaprānsem z Uniwersytetu Łotewskiego w Rydze.

– Decyzja o zamknięciu kanału była motywowana politycznie. Raczej nie kierowano się wynikami badań nad treściami medialnymi

eprasa.pl c9f2caf81d

i odbiorcami. Ponadto proces zamknięcia był nieprofesjonalny. Dziennikarze byli przez dłuższy czas niedoinformowani i nie przedstawiono jasnej strategii rozwoju treści mniejszościowych w mediach publicznych – przyznaje otwarcie Kaprāns.

Inaczej niż partie skupiające łotewskich narodowców, które wystąpiły niedawno do Sądu Konstytucyjnego z prośbą o ocenę, czy państwo jest w ogóle zobowiązane nadawać w innych językach niż państwowy, Kaprāns uważa, że miejscowi rosyjskojęzyczni powinni mieć jakiś wybór.

– Łotewski portal mediów publicznych LSM wciąż utrzymuje treści w języku rosyjskim. Nie jest jednak jasne, czy i w jaki sposób planuje się rozwijać te treści w dłuższej perspektywie. Według badań jedna trzecia odbiorców rosyjskojęzycznych na Łotwie jest dwujęzyczna – to znaczy regularnie czyta informacje zarówno w języku rosyjskim, jak i łotewskim – a segment ten prawdopodobnie będzie rósł. Jednocześnie na Łotwie przebywa obecnie ok. 30 tys. ukraińskich uchodźców. Decydenci powinni przynajmniej sformułować jasną średnioterminową strategię obsługi tych konkretnych odbiorców – przyznaje wykładowca ryskiej uczelni.

utrzymanie tej rosyjskiej propagandy. To musi się skończyć – Grigoriew mówi tu jednoznacznie.

Były deputowany opowiada się za to za prawem do nadawania dla lokalnych Polaków, Ukraińców czy Litwinów, wskazuje jednak, że właśnie język rosyjski ma swoją specyfikę.

– On był narzędziem zniewolenia Łotwy przez imperium carskie i sowieckie. Obecna duża liczba osób mówiących po rosyjsku na Łotwie jest wynikiem świadomej polityki zastępowania zabitej, deportowanej lub wypędzonej lokalnej ludności. Chociaż na Łotwie prawa człowieka osób rosyjskojęzycznych nie są kwestionowane, nie wolno im narzucać swojego języka Łotyszom, co kontynuowałoby politykę rusyfikacyjną Związku Radzieckiego – podsumowuje Grigoriew.

Kogo to interesuje

O to, czy likwidacja mediów w języku rosyjskim na Łotwie wepchnie lokalną społeczność rosyjską w ręce Władimira Putina, pytam Borysa Cylewicza, wieloletniego posła Zgody do parlamentu, działacza na rzecz praw człowieka, który jest w tych sprawach podobnie zdecydowany jak Grigoriew, ale w inną stronę.

Duża część Rosjan przejście na język łotewski traktuje jako dyskryminację.

Likwidację nadawania po rosyjsku popiera Aleks Grigoriew, były poseł do Rady Najwyższej, sam mieszanego, łotewsko-rosyjskiego pochodzenia. W 1990 r. głosował za niepodległością Łotwy, a obecną derusyfikację traktuje jako kolejny etap tego procesu.

– Zajmuję się mediami rosyjskojęzycznymi na Łotwie od 1989 r. Główny wniosek płynący z tego doświadczenia jest taki, że prędzej czy później media rosyjskojęzyczne popadają w rosyjski imperializm (...). Rozwój 4 kanału był podobny. Tak, jego prorosyjski charakter był ukryty, ale jednocześnie dość oczywisty dla uważnego i stałego czytelnika oraz słuchacza. Łotwa nadal płaci za

Całe lata zasiadał w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy i wyłączenie rosyjskiego kanału traktuje jako łamanie standardów europejskich.

– Brak języka rosyjskiego w mediach publicznych jest bezpośrednią i najlepszą pomocą dla kremlowskiej propagandy. Nie jestem teoretykiem spiskowym, dlatego uważam, że ludzie, którzy zdecydowali się na likwidację mediów publicznych w języku rosyjskim, to nie agenci Kremla, ale po prostu jego pożyteczni idioci. Oni mówią: zablokujemy media propagandowe z Rosji, a łotewscy Rosjanie będą zmuszeni używać mediów w języku łotewskim i wszystko zrozumieją. Smutno mi i zabawnie to słyszeć. Dobrze pamiętam, jak w latach 70. słuchaliśmy przez wycie zakłócaczy „głosów wroga" – „Radia Liberty", „Głosu Ameryki", BBC.

Należy wrócić do rozmowy z prof. Kaprānsem. Pytam go, jakie jest ryzyko, że mniejszość rosyjska wpadnie w kremlowską pułapkę, bo już zaczynają się na Łotwie postulaty, by całkowicie zakazać nadawania w języku rosyjskim, także mediom prywatnym.

– Obecny trend wskazuje, że rosyjskojęzyczne audytorium Łotwy jest przekierowywane w stronę mediów prywatnych i społecznościowych (np. Telegram, Tiktok, FB). Rozwój ten szczególnie zwiększa ryzyko zewnętrznego wpływu informacyjnego wśród tych, którzy są przyzwyczajeni do korzystania z informacji wyłącznie w języku rosyjskim – wyjaśnia Kaprāns.

Tych ostatnich jest na Łotwie coraz mniej, bo także mniejszość rosyjska częściej korzysta z mediów w języku łotewskim. Pytanie tylko, czy warto wylewać dziecko z kąpielą, skoro w krajach sąsiednich, takich jak Litwa czy Estonia, media państwowe wciąż nadają w języku rosyjskim. W zeszłym roku Estończycy obchodzili nawet dziesiątą rocznicę stworzenia własnej telewizji rosyjskojęzycznej ETV+, która powstała jako odpowiedź na rosyjską aneksję Krymu w 2014 r. Na Łotwie nawet nie podjęto prób uruchomienia podobnej stacji.

Okazuje się, że nawet mając traumatyczne doświadczenie okupacji radzieckiej, można postępować inaczej niż władze w Rydze. Skądinąd politycy łotewscy na ten argument odpowiadają wzruszeniem ramion. I szykują kolejne ustawy, które mają pozbyć się z przestrzeni publicznej elementów rosyjskości.

– Tomasz, karuzela się już rozkręciła, nie ma sensu bronić przegranej sprawy, derusyfikacja jest po prostu słuszna – upiera się polska znajoma z Rygi, która przeżyła Łotewską SRR. Pytanie, czy z tej karuzeli nie spadną także małe mniejszości narodowe, dotychczas w pełni lojalne wobec Łotwy, jak Polacy, Litwini czy Żydzi. Inne pytanie: czy to w ogóle na Łotwie kogoś interesuje.

Tomasz Otocki

eprasa.pl c9f2caf81d

Niewinni jak „Bury”

Rozbicie oddziału Romualda Rajsa nie było końcem terroru na Podlasiu

Jakub Woroncow

Wojna po wojnie, jaka rozegrała się na Podlasiu, pochłonęła dużą liczbę ofiar cywilnych. Jednak żaden jej epizod nie wzbudza takich emocji jak akcja pacyfikacyjna w powiecie bielskim zimą 1946 r., gdy 3. Wileńska Brygada NZW Romualda Rajsa „Burego” napadła na Zaleszany, Wólkę Wygonowską, Zanie, Szpaki i Kończowiznę oraz zamordowała 30 wozaków w Puchałach Starych.

Romuald Rajs „Bury” był synem rządcy folwarku. Urodził się w Jabłonce, pow. Brzozów, w 1913 r. Z powodu osierocenia i trudnej sytuacji w rodzinie przerwał naukę w gimnazjum i wstąpił do Szkoły Podoficerów Piechoty dla Małoletnich w Koninie. W 1934 r. zakończył naukę i trafił do 85. pułku piechoty, gdzie służył z przerwą w latach 1936-1938 (był wtedy w 13. pułku piechoty). Podczas kampanii wrześniowej jego pułk walczył pod Łowiczem i Tomaszowem Mazowieckim, a rozbity został pod Lublinem.

Rajs trafił do niewoli pod Kowlem, podobno złapany przez białoruskich chłopów (choć Kowel leży na Ukrainie). W ten sposób trafił do Berezy Kartuskiej, skąd został szybko zwolniony i pojechał do Wilna. Przebywał też przez kilka miesięcy w obozie pracy, a od 1940 r. był członkiem ZWZ, potem AK. W 1943 r. został mianowany dowódcą 1. kompanii szturmowej 3. Wileńskiej Brygady AK.

W wielu źródłach możemy przeczytać, że wrogami żołnierzy AK byli nie tylko Niemcy i Sowieci. Dochodziło do zbrodni na prawosławnych Białorusinach. Z rąk Polaków ginęli też np. jeńcy niemieccy lub partyzanci żydowscy, zabijani często pod wpływem impulsu. Możliwe, że na ukształtowanie poglądów politycznych Romualda Rajsa oraz ich radykalizację miał wpływ klimat okupowanej Wileńszczyzny oraz przedwojenni członkowie Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”, z którymi służył pod komendą por. Gracjana Fróga „Górala”. Trzeba jednocześnie pamiętać, że „Bury” nie miał w tamtym okresie pozytywnego stosunku do Konfederacji Narodu oraz „mieszania się narodowców do sprawy wojska”.

Po operacji „Ostra Brama” dowództwo brygady zostało aresztowane przez NKWD, a Rajs przejął nad nią zwierzchnictwo i wycofał ją do Puszczy Rudnickiej. Tam oddział został po miesiącu rozwiązany. W październiku 1944 r. Rajs pojawił się w Białymstoku pod fałszywym nazwiskiem jako Jerzy Góral. Wstąpił wtedy do Ludowego Wojska Polskiego, a następnie do Ochrony Lasów Państwowych. Po nawiązaniu kontaktu z Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszką” zdezerterował z grupą żołnierzy i zasilił jego oddział. Brygada „Łupaszki” wycofała się na Podlasie, nie biorąc udziału w walkach o Wilno.

Na ukształtowanie poglądów politycznych Romualda Rajsa miał wpływ klimat okupowanej Wileńszczyzny oraz przedwojenni członkowie Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”.

Od AK do NZW

Pod koniec działalności 5. Wileńskiej Brygady AK Rajs opuścił struktury podległe dawnej AK i przeszedł do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, które tworzyły połączone siły Narodowej Organizacji Wojskowej i Narodowych Sił Zbrojnych. (…)

29 stycznia 1946 r. poruszająca się na wozach 3. Wileńska Brygada NZW odwiedziła wieś Zaleszany. Członkowie oddziału zakwaterowali się u gospodarzy. Domagali się zapewnienia noclegu i wyżywienia. Za odmowę wydania owsa zastrzelono Fiodora Sacharczuka (lat 34). Zdaniem mieszkańców wsi był on lekko niedorozwinięty. Takie zachowania traktowane były jako bunt. Między godziną 14.00 a 15.00 zwołano mieszkańców wsi na specjalne zebranie w domu Dymitra Sacharczuka. Podczas zbierania mieszkańców partyzanci dokonali kilku kradzieży mienia.

Po zgromadzeniu mieszkańców Zaleszan w chacie wywołano na zewnątrz 16-letniego syna sołtysa, Piotra Demianiuka i mieszkańca pobliskich Suchowolec, Aleksandra Zielinkę (lat 55). Obydwaj zostali rozstrzelani. Pierwszy za bycie synem swojego ojca, drugi miał przy sobie dokument, z którego wynikało, że służył w Armii Czerwonej. Był też sekretarzem partii w swojej miejscowości. Z zawodu był krawcem, a Zaleszany odwiedził, aby zanieść garnitur klientowi. Następnie jeden z oficerów oddziału (najpewniej sam „Bury”), jak czytamy w komunikacie ze śledztwa IPN, po oddaniu strzału z pistoletu do góry, co uciszyło zebranych, oznajmił im, że przestaną istnieć, a wieś zostanie spalona. Po opuszczeniu pomieszczenia przez

eprasa.pl c9f2caf81d

dowódcę drzwi zostały zamknięte. Wówczas miała rozegrać się jedna z najbrutalniejszych zbrodni popełnionych w Polsce po wojnie. Ludzie zostali zamknięci w środku, a drewniany dom ze słomianym dachem podpalono. Zgromadzeni w środku ludzie natychmiast rzucili się do tylnych drzwi i okien, żeby wydostać się na zewnątrz. Gdy udało im się wydostać, partyzanci, którzy pilnowali tamtej strony budynku, zaczęli strzelać. Według ustaleń śledztwa strzelali w powietrze, a nikt z uciekających nie zginął.

Nie byli to jednak wszyscy mieszkańcy Zaleszan. W zebraniu nie brał udziału m.in. Nikita Niczyporuk, jego żona i jego dzieci: „Rodzina ta nie poszła na zebranie, bo nie mieli w czym, byli biedni, nie mieli nawet butów”, zeznał śledczym IPN świadek Aleksander D. Gdy podpalona została chata Sacharczuka, partyzanci przystąpili do podpalania kolejnych budynków, w tym niektórych również z ludźmi w środku. Z rodziny Nikity Niczyporuka przeżył tylko on: „Zastałem płonące zabudowania oraz żonę Marię i trzech synów, i dziecko mające 3 lata, których po zastrzeleniu również bandyci wrzucili do ognia. Żonę wyciągnąłem z ognia i po odejściu bandy odwiozłem do szpitala w Bielsku Podlaskim, gdzie po trzech dniach zmarła”.

Maria Niczyporuk miała 35 lat i była w ciąży, ich synowie: Piotr, Michał i Aleksy mieli odpowiednio 7, 5 i 3 lata. Spalona została córka Bazyla i Tatiany Leończuków – Nadzieja, 14-dniowe niemowlę. Matka, idąc na zwołane przez „Burego” zebranie, zostawiła je w domu. Wśród ofiar znajdujemy także brata Nikity Niczyporuka – Jana (lat 27) i jego córkę Annę (lat 3). Żona Natalia (lat 35) na skutek oparzeń zmarła w szpitalu. Nikita Niczyporuk w ciągu zaledwie kilku dni stracił dzieci, żonę i brata z całą rodziną.

Do osób, które uciekały z pozostałych podpalanych zabudowań, partyzanci strzelali celniej. I tak zginęli: Stefan Weremczuk (lat 41), Grzegorz Leończuk (lat 36) i jego synowie: Konstanty (3 lata) i Sergiusz (6 miesięcy). Z całej wsi ocalały tylko dwa domy. W Zaleszanach pierwotnie „Bury” zamierzał dokonać zmiany furmanów. Zrezygnował jednak z tego zamiaru i uprowadził jednego z mieszkańców wsi, Michała Niczyporuka, jako przewodnika.

Oddział odwiedził też Wólkę Wygonowską, gdzie zastrzelono Stefana Babulewicza (lat 67) i Jana Zinkiewicza (lat 32). Domy mieszkalne i obiekty gospodarcze zostały, podobnie jak w Zaleszanach, spalone. Wykorzystując zamieszanie, jeden z furmanów uciekł. Po powrocie do rodzinnych Czyż mówił: „Jak wrócił do domu, mówił nam wtedy, że oni nie wrócą, pomordują”. Wobec zaistniałej sytuacji zabrano z Wólki Grzegorza Grygoruka, aby zastąpił zbiega.

Następnego dnia miało miejsce najście na Krasną Wieś. Rajs zażądał tam od miejscowego sołtysa podstawienia 40 furmanek. Ponieważ nad wsią przeleciał samolot, oddział zbiegł, zabierając ze sobą 13 wozów z furmanami. Kilku furmanów uprowadzonych z Łozic uciekło, wykorzystując zamieszanie. Spośród zabranych z Krasnej Wsi wróciło czterech. Świadek Aleksander B. zeznał pracownikom pionu śledczego IPN, że „w późniejszym okresie wróciło jeszcze dwóch mężczyzn, którzy już nic chcieli mówić”.

Masakra w Puchałach Starych

31 stycznia 3. Wileńska Brygada NZW zatrzymała się w Puchałach Starych. Furmani zostali zgromadzeni w jednym domu, gdzie partyzanci przepytali ich pod kątem pochodzenia i wyznania. Katolików wypuszczono. Prawosławnych ludzie „Burego” wyprowadzili do lasu i wymordowali. Jak wyglądała sama zbrodnia, wiadomo wyłącznie z zeznań partyzantów. „»Bury« kazał zebrać furmanów wiozących nas z Hajnówki, zamknąć ich w jednym mieszkaniu, a następnie »Modrzew« wyprowadzał po dwóch-trzech i tam rozstrzeliwał” – to zeznanie Józefa Puławskiego „Gołębia”. Nie wiemy, jak naprawdę nazywał się „Modrzew”. Wiemy natomiast, że pełnił rolę oddziałowego kata. „On to lubił

Ludzie zostali zamknięci w środku, a drewniany dom ze słomianym dachem podpalono.



eprasa.pl c9f2caf81d

rozwalać. Nikomu nie dał, tylko on. Tych wozaków to wyprowadzał po dwóch, po trzech i załatwiał, i znów przychodził po nowych. Widziałem, jak wyprowadzał ich. Brał ich z furmanek, bo ich też pilnowali, żeby oni nie pouciekali, czy może w jakimś domu siedzieli. Sam ich prowadził. Gdzieś ich dalej prowadził tak, że nie słyszeli pozostali strzałów", zeznał w śledztwie UB Stanisław Myśliwiec „Orzech". W opinii biegłego uczestniczącego w ekshumacji zwłok w 1997 r. furmani zostali zabici poprzez rozstrzelanie. Niektórzy najprawdopodobniej podczas próby ucieczki.

Spalona została córka Bazyla i Tatiany Leończuków, Nadzieja, 14-dniowe niemowlę.

Zdaniem innego przesłuchiwanego partyzanta, Mariana Maliszewskiego „Wyrwy", oddziałowy kat wyżywał się na swoich ofiarach. Miał on pochodzić z okolic Lwowa i być świadkiem brutalnego mordu popełnionego na jego rodzinie przez Ukraińców. (...)

W Puchałach Starych wszyscy zamordowani byli wyznania prawosławnego, oprócz Aleksandra Bondaruka, adwentysty.

1 lutego odbyła się narada dowódców plutonów brygady. Kpt. Romuald Rajs przydzielił swoim dowódcom zadania spacyfikowania kolejnych miejscowości zamieszkanych przez prawosławnych Białorusinów. Następnego dnia ruszyli w ich kierunku. „Wiarus" ze swoim plutonem zaatakował Szpaki. Uderzenie przyszło wieczorem. Partyzanci zaczęli podpalać zabudowania i oddali strzały do mieszkańców. Zamordowali w ten sposób siedem osób. Zostali zastrzeleni: Filipczuk Paweł (47 lat), Kłoczko Wasyl (58 lat), Szeszko Dionizy (50 lat), Szeszko Jan (45 lat) i drugi Szeszko Jan (21 lat).

W jednym z domów dokonano gwałtu na kobiecie. Nie stawiała ona oporu, gdyż wcześniej 18-latka Maria Pietruczuk została podczas próby gwałtu postrzelona w okolicy klatki piersiowej i pleców. Zmarła w wyniku odniesionych ran 6 lutego 1946 r., w szpitalu w Bielsku. Zostali też postrzeleni Teofil Bałło i Michał Rudczuk oraz Antoni Szeszko (lat 60), który ranny w głowę zmarł w szpitalu. Rudczuk podczas okupacji służył w Armii Czerwonej i dopiero co wrócił z wojska.

Partyzanci rozrzucili też ulotki wzywające Białorusinów do wyjazdu do ZSRR w ciągu 14 dni. Co ważne, wysłannicy starostwa z Bielska nie stwierdzili, żeby któryś z mieszkańców Szpaków posiadał broń. Apologeci NZW będą natomiast twierdzić, że to mieszkańcy wsi ostrzelali oddział, dlatego zginęli. Opierają swoje domniemanie na meldunku WiN, jakoby we wsi została znaleziona i zabezpieczona broń – karabiny maszynowe. Niechętnie jednak przyznają, że członkowie WiN czerpali wiedzę z informacji zdobytych w terenie, a te mogły być błędne i oparte na plotce. Nie zwracają również uwagi na inny fakt. Michał Ostapiuk wymienia z nazwisk ośmiu mieszkańców Szpaków należących do NZW. Jeden – Andrzej Filipczuk – po zbrodni uciekł. Potem wrócił i został zamordowany. Być może broń rzeczywiście we wsi była, ale jej właścicielami byli członkowie podziemia? Materiał źródłowy jednak sugeruje, że raczej broni nie było.

Jan Boguszewski „Bitny" otrzymał rozkaz zaatakowania Zań. Przebieg tej zbrodni świadczy, że nie mogła to być przypadkowa, samowolna lub spontaniczna akcja, lecz starannie zaplanowana i przeprowadzona w sposób przemyślany pacyfikacja.

Wieś została obstawiona przez „Gołębia" z jednej strony i „Szczygła" z drugiej. Akcja rozpoczęła się trochę później niż atak na Szpaki. Pacyfikację przeprowadziła trzecia grupa, dowodzona przez „Ładunka", która weszła do wsi i zaczęła podpalać zabudowania. Ludzie usiłujący wyjść z budynków lub gasić swoje mienie, byli ostrzeliwani. (...)

8 lutego partyzanci odwiedzili też Barszczew, gdzie wyprowadzili z domu i zastrzelili Władysława Narkiewicza. W relacji złożonej w 1991 r. Antoni Michalczuk „Szpak" opisuje kilka wydarzeń, których był świadkiem: „Sam słyszałem strzały, jak likwidowali furmanów – Białorusinów w Puchałach koło Holonek. To cały dzień było słychać strzały. To w lasku koło Puchał ich likwidowali. Nie poszedłem tam wtedy. Jak staliśmy niedaleko Ciechanowca, to »Gołąb« przy mnie zastrzelił Żydówkę. Nie wiem, skąd on ją przyprowadził [...]. Nie tak coś było, przyszedł i w łeb stuknął, tak, że można było i zarobić uczciwie. Ten wypadek był tuż przed rozwiązaniem oddziału". (...)

Likwidacja i aresztowanie

16 lutego 1946 r. doszło do walk w okolicy Orłowa między partyzantami a powołaną do ich schwytania grupą operacyjną KBW, UB i MO. (...) W październiku Rajs rozwiązał oddział i wyjechał do Karpacza. Dowódca 3. Wileńskiej Brygady NZW został zatrzymany przez UB 17 listopada 1948 r. Początkowo jego linią obrony było zrzucenie odpowiedzialności za pacyfikacje i rozstrzelanie 16 wziętych do niewoli funkcjonariuszy UB we wsi Brzozowo-Antonie na jego zastępcę, Kazimierza Chmielowskiego „Rekina". (...)

Pokłosie

Rozbicie oddziału „Burego" nie było końcem terroru na Podlasiu. Nadal działały inne grupy partyzanckie terroryzujące ludność. (...) Te i inne, mniej znane zbrodnie były pokłosiem doświadczeń wojennych sprawców, zjawiska bandycenia się podziemia, lecz w równym stopniu także linii politycznej ich organizacji wobec mniejszości narodowych.

Tekst jest skróconą wersją szkicu „Kaci Białostoczyzny", zamieszczonego w wydanej przez „Przegląd" książce „Wyklęci na Podlasiu. Bury, Łupaszka, Huzar", pod redakcją Pawła Dybicza i Jakuba Woroncowa.

eprasa.pl c9f2caf81d

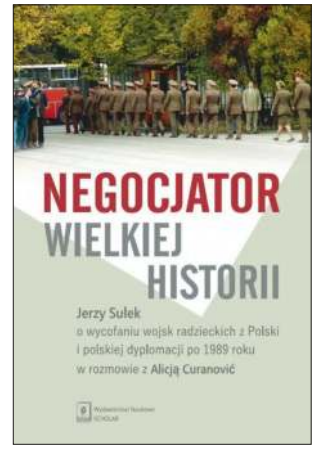
Negocjacje z Rosją

Bronisław Tumiłowicz

W obliczu nieskutecznych i przeciągających się negocjacji amerykańsko-rosyjsko-europejsko-ukraińskich, mających dać pokój Ukrainie, zapominamy, że w naszej historii przeszliśmy pomyślnie etap, którego rezultatem było wyprowadzenie wojsk rosyjskich (radzieckich) z terytorium Polski. O tym traktuje nowa książka Wydawnictwa Naukowego Scholar „Negocjator wielkiej historii. Jerzy Sułek o wycofaniu wojsk radzieckich z Polski i polskiej dyplomacji po 1989 roku w rozmowie z Alicją Curanović". Jerzy Sułek, ów negocjator, nie stał się wówczas postacią pierwszoplanową, ale to jemu zawdzięczamy kto wie czy nie jeden z największych sukcesów dyplomacji III RP w polityce wschodniej.

Wiemy, że 22 maja 1992 r. na Kremlu prezydenci Polski Lech Wałęsa i Rosji Borys Jelcyn wymienili się podpisanymi umowami, co doprowadziło do wyjazdu z Polski obcych wojsk 16 miesięcy później. Jednak bez tych upartych, a – jak niektórzy mówią – brawurowych kilkunastu rund rozmów z władzami ZSRR i Rosji, sprawy nie musiałyby się tak potoczyć. W trakcie negocjacji prowadzonych w przełomowym okresie historii, gdy kończył się komunistyczny Związek Radziecki, a zaczynała postkomunistyczna Federacja Rosyjska, ktoś musiał usilnie zabiegać o polską rację stanu, o pełną niezawisłość Rzeczypospolitej, którą gwarantowałyby odpowiednie umowy. Jak wyznał podczas promocji książki niemcoznawca i dyplomata prof. Jerzy Sułek, nikt w resorcie spraw zagranicznych kierowanym przez prof. Krzysztofa Skubiszewskiego nie chciał się podjąć przewodniczenia ekipie polskich dyplomatów, bo znane były warunki i trudności rozmów z Rosjanami.

Umów kończących tamten etap naszej polsko-rosyjskiej historii było aż cztery. Dotyczyły nie tylko wycofania wojsk rosyjskich z Polski, ale także tranzytu przez nasz kraj wojsk rosyjskich stacjonujących w Niemczech, jak również ułożenia kwestii wzajemnego zadłużenia w stosunkach gospodarczych polsko-rosyjskich. Ogrom spraw i komplikacji przy kolejnych rundach rozmów przerastał wszelkie wyobrażenia. O tym również opowiadał w trakcie spotkania z czytelnikami prof. Sułek. Dość powiedzieć, że w ekstremalnym scenariuszu mógł się obawiać nawet o własne życie. Kalejdoskop przeżyć



osobistych i zawodowych naszego negocjatora mógłby stać się scenariuszem oscarowego filmu hollywoodzkiego, bo mniej więcej w połowie procesu dogadywania się doszło do znanego już tylko z kart historii puczu Janajewa – kilkudniowej próby zamachu stanu skierowanej przeciwko Michaiłowi Gorbaczowowi. Jej celem było powstrzymanie rozpadu systemu komunistycznego i demokratyzacji rosyjskiego systemu.

Prof. Jerzy Sułek zilustrował kolejne fazy „zmiękczania" ze strony rosyjskiej umundurowaniem i arogancją rosyjskich generałów. Początkowo brali udział w negocjacjach ubrani w paradne mundury galowe ze wszystkimi odznaczeniami. Po pewnym czasie zachowywali się skromniej i mniej butnie, a w końcówce uczestniczyli w rozmowach już w cywilnych garniturach. Dopiero w ostatniej chwili, już podczas obecności prezydenta Lecha Wałęsy w Moskwie, udało się poprawić niektóre kontrowersyjne zapisy w umowach i obaj prezydenci złożyli swoje podpisy. I rzeczywiście była to ostatnia chwila, bo rosyjski minister obrony Paweł Graczow podobno próbował sabotować podpisanie jednego z protokołów, twierdząc, że gdzieś zawieruszyła się jego nowa wersja.

To już kulisy wielkiej historii, ale warto wiedzieć, że Lech Wałęsa zszedł z małżonką na uroczysty obiad dopiero po otrzymaniu od szefa polskiej dyplomacji sygnału, że cały dokument został podpisany. Ktoś zanotował, że rosyjscy generałowie mieli łzy w oczach. Według prof. Jerzego Sułka ta sprawa obrazuje swoistą metodę negocjacji, którą zwykle uprawiają Rosjanie. Same rozmowy mogą się toczyć latami, całkowicie bezskutecznie, gdyż strona rosyjska równolegle z negocjacjami stosuje dodatkowo ogromny arsenał środków pozadyplomatycznych, różnych form nacisku, prowokacji, nie wykluczając nawet akcji siłowych. Jeśli tego się nie wie i nie ma możliwości przeciwdziałania, zawsze z Rosjanami się przegra. Taką mądrość warto zadedykować negocjatorom także w obecnej, jakże trudnej, nieprzewidywalnej i ciążącej nam wszystkim dobie narastających konfliktów.

Profesorowi Jerzemu Sułkowi zawdzięczamy jeden z największych sukcesów dyplomacji III RP w polityce wschodniej.

Jerzy Sułek, Alicja Curanović
Negocjator wielkiej historii. Jerzy Sułek o wycofaniu wojsk radzieckich z Polski i polskiej dyplomacji po 1989 roku w rozmowie z Alicją Curanović
Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2025. Do kupienia na stronie: scholar.com.pl/pl/glowna/8987-negocjator-wielkiej-historii.html

eprasa.pl c9f2caf81d

Między przypadkiem a przeznaczeniem

Kiedy aktorzy buzują, mogę być dla nich wiadrem z zimną wodą

Rozmawia Jan Tracz



JAN KOMASA – reżyser i scenarzysta. Zadebiutował filmem „Sala samobójców" w 2011 r. W dorobku ma m.in. „Boże ciało" (2019), nominowane do Oscara w kategorii Najlepszy film międzynarodowy. Laureat czterech Orłów oraz nagrody specjalnej na festiwalu w Wenecji. „Rocznica" to jego debiut anglojęzyczny (dostępny na VOD).

Pamiętasz swoją ostatnią imprezę rocznicową? Albo taką, na której byłeś gościem?

– To była impreza moich teściów, 50. rocznica ślubu. Ta akurat była wzruszająca, co nas zresztą zdziwiło, bo zazwyczaj nie towarzyszyły nam tak silne emocje. Teraz było inaczej. Spojrzeliśmy sobie w oczy jako jedna wielka orkiestra grająca różne rzeczy, w zróżnicowanych tonacjach, ale zawsze razem. Tego wcześniej u nas nie było, nagle weszliśmy na zupełnie nowy poziom delikatności. Może nasze zbliżenie wynikało z wieku? Zapewne było to też wywołane sytuacją chorobową członka rodziny, co stało się pretekstem do zrzucenia dotychczas zakładanych przez nas masek. Stanęliśmy wszyscy twarzą w twarz i doceniliśmy, że mamy siebie nawzajem. Na szczęście w naszym przypadku nie poszło to w tak skrajną stronę jak w „Rocznicy", czyli w moim najnowszym filmie.

Możemy szukać punktów wspólnych między „Rocznicą" a życiem prywatnym Jana Komasy? Na końcu twoi bohaterowie mimo przeciwieństw losu w jakiś sposób się odnajdują. Miłość triumfuje.

– My wręcz mamy przełożenie 1:1, więc jak najbardziej. Sam koncept rocznicy jest dla mnie ciekawy. Do stołu zasiadają ci, którzy chcą celebrować spotkanie dwójki ludzi. Czyjeś przypadkowe zetknięcie się zaowocowało rodziną, która następnie zaczyna się zjeżdżać, aby uczcić to, że gospodarze dali nam życie. To jakbyś składał owoce pod świętym drzewem. I robisz to tylko dlatego, bo ono odpowiada za twoje „narodzenie". Mamy dziwną potrzebę dziękować ludziom za to, że niegdyś wydali nas na świat. A wszystko za sprawą tego jednego spotkania z przeszłości, np. przy obrazie René Magritte'a, jak w „Rocznicy".

Przy okazjach rocznicowych często mówimy o przeznaczeniu, choć inni mogą uznać, że takie spotkania to efekt przypadku. W co bardziej wierzysz?

– Dla mnie natura tego zdarzenia jest kwantowa, bo będzie zarówno falą, jak i punktem. Na pierwszy rzut oka to przypadek. Ale później percepcja się zmienia. Steve Jobs mówił, że kiedy spojrzysz do tyłu i te punkty zaczynają układać się w pewnego rodzaju melodię, okaże się, że koniec końców mamy do czynienia z przeznaczeniem. Istnieje jakaś moc przyciągania: spójrzmy na fakt, że łączymy się z osobami, które stają się dla nas pewną inspiracją. Wtedy nie patrzymy np. na czyjś status materialny. W takich przypadkach osoba nieuprzywilejowana może nadrabiać swoje luki finansowe tzw. żywotnością.

W sytuacjach kompletnego zakochania odrzucamy pragmatyczne myślenie.

– I o tym też będzie poniekąd „Lalka" (nowa adaptacja flimowa – przyp. red.)!

To znaczy?

– Żywotność panny Łęckiej jest niska, bo ona nic z siebie nie wytwarza. Natomiast Wokulski wytwarza i zmienia życie, więc jest jej przeciwieństwem. Taki motyw staram się zaznaczyć w „Rocznicy", ale on też pojawia się w moich innych filmach. W „Hejterze" główny bohater działa i jest żywotny, bo nie ma kapitału społecznego. Z kolei dziewczyna – grana przez Vanessę Aleksander – skarży się, że nic jej w życiu nie wychodzi, choć wszystko ma podane na tacy.

Impreza twoich teściów odbyła się przed nakręceniem „Rocznicy"?

– Jakiś czas później.

A więc poniekąd sprawdziło się to, co wcześniej ukazałeś w filmie. Tylko w nieco inny sposób.

– Tak. Czyli jednak moment, który powoduje, że chcesz być z drugą osobą, ma w sobie ten pierwiastek kosmiczny. Czasem, kiedy spotykają się dwie osoby, pojawia się iskra, „kliknięcie", tzw. chemia, zmieniająca życie na zawsze. W „Rocznicy" idę dalej i zastanawiam się nad momentem, w którym człowiek schodzi na samo dno. Ten film ma w sobie coś z Księgi Hioba, bo pokazuje chwilę, kiedy Bóg dał ci wszystko, a następnie postanowił to zabrać. Bo kiedy odbierają ci dom oraz cały dobytek, a dzieci cię zdradzają (takie rzeczy są w naszym filmie), to w końcowym

eprasa.pl c9f2caf81d



rozliczeniu pozostaje ci właśnie to „kliknięcie". Albo przynajmniej wspomnienie o nim, jeśli tej drugiej osoby już nie ma z nami. I tego nikt ci nie odbierze. Jeśli i tego nie masz, zostajesz z niczym. Ale wraz z „kliknięciem" wciąż trzymasz się człowieczeństwa, bo masz kogoś obok siebie.

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami. W filmie praktycznie nie ma singli. Czy liczba dwa jest jakimś symbolem? Ameryka podzielona jest na pół. Rocznica to impreza organizowana przez dwójkę gospodarzy. Pojawia się też wspomniany obraz Magritte'a „Les Amants", na którym całuje się dwójka zakochanych. Po pierwszym akcie mijają dwa lata. Jedna z bohaterek rodzi bliźniaki. To przypadek?

– Uważam, że szczęścia też lubią pary. To dzięki Lennonowi McCartney mógł wejść w najbardziej legendarne, kreatywnie lata życia. Tak było przecież z Fridą Kahlo i Diego Riverą, Jobsem i Wozniakiem w Apple czy Larrym Page'em i Sergeyem Brinem w Google. Dualność to np. zderzenie: potrzebujemy czegoś pierwszego, co uderza w to drugie. Tylko dzięki temu pojawią się iskry.

Tytułowa rocznica lawiruje wokół dojrzałej pary i ich dzieci. Diane Lane gra pewną siebie wykładowczynię akademicką. Ona sama stanowi system jednopartyjny w tej rodzinie. Natomiast Kyle Chandler, jako jej mąż, to ktoś, kto próbuje wszystkim dogodzić. Zarazem starają się pielęgnować uczucie. Pod koniec ich miłość przetrwa trudne momenty.

– Sam mam wokół siebie kilka związków, w których to kobieta jest alfą, a mężczyzna betą. Swoją drogą to nierzadki model w branży filmowej, gdzie jest wiele silnych kobiet, które musiały się przebić. Bardzo dobrze taką relację ukazuje „Bulwar Zachodzącego Słońca" Billy'ego Wildera z 1950 r. Mamy tam Normę Desmond (Gloria Swanson) pragnącą być w centrum uwagi. Zawsze przy niej znajdziemy Maxa Von Mayerlinga (Erich von Stroheim), stojącego gdzieś z boku, ale gotowego do działania. Ona może mieć kochanków, ale wie, że w każdej chwili może do niego wrócić i on ją przyjmie.

Taki model relacji mamy też w powieściach Johna le Carrégo: George Smiley i jego żona Ann Smiley funkcjonują w ramach specyficznej umowy odpowiadającej obu stronom.

– Moi rodzice są w tego typu związku, polegającym na dominacji jednej ze stron. Mama była dyrektorem TVP od spraw rozrywki i jej zawód niejako wymagał od niej dominującej osobowości. To matka tygrysica z naturą dowódcy, od zawsze zarządzała naszym domem. Tata zaś był neutralny i zazwyczaj pozostawał bezkonfliktowy – nieraz żartowaliśmy, że jest „Szwajcarią". Określenie to padało pierwotnie w filmie, postanowiłem usunąć jednak ten wątek ze scenariusza – nie chciałem, aby fikcja była tak blisko rzeczywistości. Choćby dlatego postać grana przez Diane Lane jest tak apodyktyczna i w nierówny sposób rozdaje karty. Ona jest bliżej córek, a z synem nie potrafi nawiązać ciepłej relacji. Rozmawialiśmy o tym, z czego to może wynikać u jej bohaterki.

Matka tygrysica z naturą dowódcy od zawsze zarządzała naszym domem. Tata zaś był neutralny i zazwyczaj bezkonflikotwy.

Do jakich wniosków doszliście?

– Jej zachowanie może mieć źródło w traumach z przeszłości – została niegdyś skrzywdzona przez mężczyznę. Samej aktorce również nie są obce niełatwe doświadczenia w życiu prywatnym. W Hollywood takie rzeczy są niestety na porządku dziennym. Przy którymś z moich dwóch ostatnich filmów znaleźliśmy aktora do ważnej męskiej roli. Ale jedna z aktorek powiedziała, że z nim nie zagra, bo podobno jest przemocowy. Sytuacja była o tyle ciekawa, że nigdy mu niczego nie dowiedziono.

Ale zła fama w branży pozostała.

– A my musieliśmy szukać dalej. Ta sytuacja otworzyła mi oczy i pokazała, że dziś panuje *cancel*

eprasa.pl c9f2caf81d

culture, czyli kultura unieważnienia. Kiedy ktokolwiek w tej branży zrobi coś, co zostanie uznane za złe (nawet jeśli jest to nieudowodnione), to naprawdę zawęża sobie możliwości. Co innego będzie w przypadku osób uzależnionych. W Stanach Zjednoczonych alkoholizm zaczął być traktowany w pełni jako choroba, z którą dana osoba walczy. Zatem to nie jest do końca słabość wynikająca z jej wyborów, ale coś, co może przytrafić się każdemu. Angażując taką osobę, w jakiś sposób jej pomagasz. I sam lepiej się czujesz z tym, że starasz się, aby ten aktor, reżyser czy którakolwiek osoba wróciła na dobry tor. Zresztą bycie zajętym pomaga z uzależnieniem. Twoja głowa jest wtedy zupełnie gdzie indziej i trudniej myśleć o używkach. Koronny przykład stanowi Matthew Perry. Stracił wiele przez swoje uzależnienia, ale dziś jest ikoną uwielbianą na całym świecie.

Ale gdy jesteś przemocowcem, branża skreśla cię w ułamku sekundy.

– Kevin Spacey jest tego świetnym przykładem. Zrobił wiele udowodnionego zła i w zasadzie został scancelowany. Ostatnio się skarżył, że śpi po hotelach. A mówimy o aktorze, który ma na koncie dwa Oscary. W londyńskim teatrze The Old Vic nieustannie nękał męskich pracowników. To zachowanie ciągnie się za nim aż do dziś.



Kadr z filmu „Rocznica".

Jako reżyser nauczyłem się rozumieć to, co przeżywają inni.

Wróćmy do Diane Lane, a dokładniej do jej bohaterki.

– Ta postać nie akceptuje mężczyzn wokół siebie i dlatego mąż stara się trzymać na uboczu. Pełni taką funkcję jak bohater Stroheima w filmie Wildera. Dla dobra związku wygasza swoją osobowość, aby druga połówka czuła się bardziej komfortowo. Albo po prostu pewniej. On ją chroni i osłania, nawet w sytuacjach, kiedy ona nie ma racji. Nie chcieliśmy zrobić filmu o takiej klasycznej „amerykańskiej Karen". Prosiłem Lane, aby zawsze się uśmiechała. Dzięki temu można było choć trochę zniwelować jej zgorzkniałość. Kiedy pracuję z aktorami, zawsze dzielę postać na trzy kręgi o różnych szerokościach.

Jakie?

– Mamy krąg zewnętrzny, czyli postać kontra społeczeństwo (znajomi z pracy, nieznajomi lub napotykane przez nią osoby). W środkowym kręgu znajdziemy kochanków, przyjaciół czy członków rodziny. A pierwszy krąg (czyli trzon całości) to jest postać, kiedy nikt nie patrzy. Wtedy ta osoba jest w pełni sobą. Takowe kręgi ustalamy sobie z aktorami, co pomaga nam budować postaci, niezależnie od gatunku oraz rodzaju filmu. Zazwyczaj ten środek jest stosunkowo ważny, bo ukazuje, jak twoja postać będzie budować relacje z innymi bohaterami. Ale jednak na środkowy krąg będzie rzutować ten pierwszy. Koniec końców liczy się to, co masz w głębi siebie.

Czyli reszta może być jedynie maską, którą zakładasz na potrzeby otoczenia.

– Często nasze postaci są zbudowane na krzywdzie i to ona staje się fundamentem reszty układanki. Aktorzy muszą się podczepić pod jakąś emocję i najczęściej wykorzystują swoje traumy jak materiał, z którego można coś wyrzeźbić i zbudować na tym rolę. Tak było właśnie w przypadku Diane Lane w „Rocznicy". Ale to też zależy od wielu czynników, jak choćby dzieciństwo lub rodzina, z której pochodzą.

A ty z jakiej rodziny akurat pochodzisz? W jaki sposób cię ukształtowała?

– To nie jest tak, że w mojej rodzinie nie było żadnych pęknięć. Moi rodzice z powodów własnych ambicji aspirowali tak wysoko, że w pewnym momencie musieli po prostu zwolnić. Tata został profesorem zwyczajnym, gdy miał czterdzieści parę lat. Był w moim wieku, a ja sam jestem jedynie magistrem! I przez 30 lat był profesorem w warszawskiej Akademii Teatralnej (PWST).

FOT. MONOLITH FILMS (2)

eprasa.pl c9f2caf81d

Mama doszła do dyrektorskich funkcji na Woronicza. Oboje dostali wysokie odznaczenia państwowe, tata Order Orła Białego. Nie jest prosto wychowywać się w takim domu. Ale to jednak dwójka osób, które pracowały z ludźmi i potrafiły się w tym odnaleźć. I wiedziały, jak te umiejętności wdrożyć w kontekście swoich metod wychowawczych. Rodzice wychowali nas w ambicji, ale z czułością czy empatią. Nie noszę w sobie zbyt wielu krzywd, choć po dziś dzień walczę z własną ambicją, którą muszę temperować. W ostatnich latach jako reżyser nauczyłem się rozumieć to, co przeżywają inni. Pozwala mi to wyjść z siebie i szukać gdzieś indziej. Nie oszukujmy się – operowanie empatią to dziś podstawa w tym zawodzie. Wydaje mi się, że mam ją w sobie dzięki rodzicom.

Czujesz, że jesteś dobrym reżyserem aktorów? Ten film bazuje wyłącznie na dialogu. Albo panujesz nad obsadą, albo nie uda ci się dobić do brzegu.

– Aktorzy to mój pokój zero. Sam wychowałem się wokół aktorów (ojciec!). Dzięki temu potrafię wejść z nimi na taki poziom abstrakcji, że od razu się zrozumiemy. Nauczyłem się też szanować ich własne granice. Dawno temu pożerałem energię aktorów, zamiast pozwolić im działać i w jakiś sposób im ufać. Czasami tylko, jeśli aktor nie potrzebuje „matkowania", nie zaprzyjaźniam się z nim na siłę. Pozwalam mu „być" na planie. Kiedyś tego nie rozumiałem, ale dzisiaj zwracam uwagę na dawanie im tego rodzaju przestrzeni. Kiedy oni buzują, mogę być dla nich wiadrem z zimną wodą. W taki sposób uzupełniamy się na planie.

A czy wspomniana empatia nauczyła cię prowadzić swoich aktorów w drugim języku? Reżyseria po angielsku różni się od tej w ojczystym języku. Wielu poległo na tym polu, m.in. Pedro Almadóvar w 2024 r.

– Na pewno zauważyłem pewną różnicę między aktorami amerykańskimi a polskimi. Ci pierwsi przychodzą bardzo przygotowani na plan: jest tam o wiele wyższy „self-management". Wynika to przede wszystkim z braku czasu. Grafiki tych ludzi są napięte, więc nie możemy ustalać wszystkiego od podstaw. Do tego im nikt nie mówi, co mają robić i jacy powinni być. To od nich zależy i dlatego w Ameryce ludzie pracują nad gotowością. Są nauczeni polegać wyłącznie na sobie. Czasami to komplikuje sprawę, bo potem trudno ci zmienić niektóre pomysły twoich aktorów. W Europie natomiast polegasz na kimś innym. Aktor często puka do drzwi reżysera i mówi: „Natchnij mnie". Oczekuje, że znajdziesz odpowiedzi na większość pytań, z którymi dana osoba do ciebie przyjdzie. W moim przypadku pomaga mi znajomość języka, częste podróże i pomieszkiwanie w Stanach, co pozwala mi jeszcze lepiej zrozumieć ten kraj. A do tego fakt, że na kulturze amerykańskiej zostałem wychowany. Nawet przy swoich polskich filmach zdarzało mi się usłyszeć, że próbuję na siłę być „amerykański". Że pragnę przypodobać się jakimś gustom.

A próbowałeś?

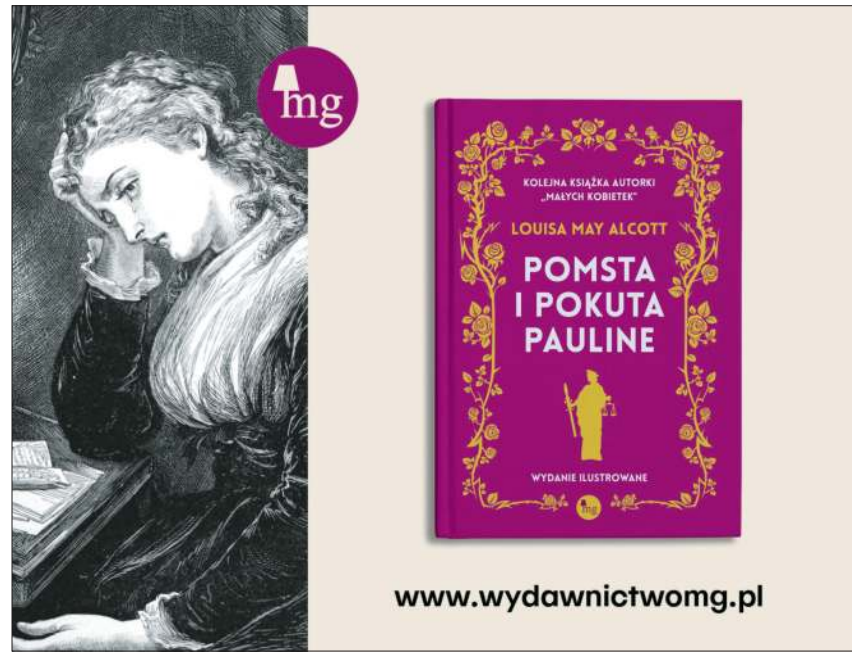
– Nie. Mój problem polega na tym, że ja w taki sposób myślę. Doceniam hiperartystyczne kino, ale to nie jest do końca moja planeta. Mnie kręci tzw. splendoryzm. Kino, które dąży do tego, aby stworzyć konkretną emocję w głowie widza. Moim największym odejściem od tego typu opowiadania było „Boże ciało", niemniej jednak wciąż dbałem o to, żeby rzeczy w tym filmie w jakiś sposób „komunikowały".

Mówi się, że to twój najlepszy tytuł.

– Ale nawet tam nie rezygnowałem ze splendoryzmu w pełni, bo ten film ma w sobie pewnego rodzaju thriller, stający się rdzeniem tej historii. Nie jest to jednak krystalicznie czysty dramat. Dziś ceni się twórców eksperymentujących, łączących poszczególne gatunki. „Rocznica" mogłaby powstać po polsku, a i tak zostałaby zagrana i zrealizowana w podobny sposób, jak w Stanach Zjednoczonych. To coś, co gra mi w duszy. Nie pragnę amerykanizować swoich filmów. I nie udaję nikogo innego. Przy każdej produkcji pozostaję tym samym Janem Komasą.

Jan Tracz

Aktorzy najczęściej wykorzystują swoje traumy jak materiał, z którego można zbudować rolę.



eprasa.pl c9f2caf81d

NA EKRANACH

Lovro jest bohaterem wojennym o sylwetce antycznego boga, który na dodatek obdarzony jest talentem do reżyserowania filmów. Ideał? Na pewno nie dla jugosłowiańskiej władzy ludowej, która takich jak on, przedstawicieli przedwojennej burżuazji, widziałaby już tylko na śmietniku historii. Na domiar wszystkiego Lovro niespecjalnie kryje się ze swoim związkiem z Nenadem, pisarzem i scenarzystą. I już za tę odwagę należy się reżyserce Ivonie Juce uznanie. Nie pamiętam filmu, w którym gejowskie uczucie mogłoby rozkwitać z taką mocą pośród realistycznie ukazanej przemocy komunizmu. Choć chorwacka twórczyni zainspirowała się wujkiem, o którym nikt nie chciał pamiętać ze względu na jego homoseksualność, nie stworzyła martyrologicznej historii o uciemiężonych mężczyznach. Postawiła na waleczne, pewne siebie i cieszące się sobą w łóżku postacie, którym w kraju przepełnionym tajnymi agentami za miłość też przyjdzie kiedyś zapłacić. Efekt jest tak dobry, że Chorwacja zgłosiła ten film do Oscara.

Artur Zaborski



Dobry wieczór, dobry dzień
reż. Iwona Juka
prod. Chorwacja/Kanada/Cypr/Polska/Bośnia i Hercegowina/USA
już w kinach





„Zamknij oczy Nel. W pustyni i w puszczy – epilog”, tekst i reżyseria Piotr Domalewski, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera 23 stycznia 2026 r.



KURTYNA W GÓRĘ

Powrót do domu

Luźno inspirowany powieścią Sienkiewicza spektakl w reżyserii Piotra Domalewskiego to opowieść o odchodzeniu najbliższej osoby, Matki (brawurowa Dorota Pomykała) i próbach radzenia sobie z tą stratą.

Tytułowa bohaterka, emerytowana polonistka, w wyniku udaru doznaje zaburzeń osobowości i zaczyna utożsamiać się z Nel, postacią z powieści podarowanej jej lata temu przez ukochanego Ojca. Chcąc zachować kontakt z odchodzącą Matką, jej dorosłe dzieci – Zosia (Katarzyna Krzanowska), Gustaw (Radosław Krzyżowski) i Staś (Filip Perkowski), muszą wejść w tę psychologiczną grę. Debiutujący teatralnie Domalewski, odpowiedzialny jednocześnie za scenariusz, tworzy klasyczny, precyzyjnie skonstruowany komediodramat rodzinny. Chwilami, przejmujący, jak w scenie wspólnego nucenia przeboju Maanamu, chwilami dowcipny, pełen dystansu, jak w zręcznie ogrywających kolonialne wątki snach dorosłego Stasia.

Jest w tym rozgrywającym się gdzieś między szpitalną salą, gabinetem psychiatrycznym i rodzinnym mieszkaniem bohaterów komediodramacie plejada znakomitych ról, także w drugim planie. Choćby Przemysław Przestrzelski jako na pozór „zupełnie zwyczajny” mąż Zosi. Czy oszczędny w środkach, poruszający Filip Perkowski, w duecie z Pomykałą.

Michał Centkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Gerald Murnane
Równiny
tłum. Tomasz S. Gałązka
Czarne, Wołowiec 2025

Jeden z najbardziej radykalnych i oryginalnych projektów współczesnej prozy australijskiej. Pretekstem do opowieści jest przyjazd młodego filmowca w głąb australijskiego interioru, gdzie chce zrealizować film o tytułowych równinach. Szybko okazuje się jednak, że krajobraz ten nie daje się ani opisać, ani uchwycić w obrazie – staje się przestrzenią czysto mentalną, projekcją pamięci, myśli i obsesji. Jak podkreślają krytycy, Murnane traktuje równiny jako figurę nieskończonej interpretacji, a sama literatura staje się tu aktem kontemplacji, nie opowiadania historii. Styl autora jest ascetyczny, rytmiczny i hipnotyzujący. To książka o niemożności dotarcia do „istoty” świata oraz o sztuce, która zamiast wyjaśniać, pogłębia tajemnicę.

Rafał Pikuła



Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. HAWA, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl c9f2caf81d



Oko w oko Tomasz Jastrun

Bezsilność

Książka „Dziady i dybuki" Jarosława Kurskiego. Wiele lat temu, gdy mi go przedstawiano, zrobiłem niepewną minę, a znajomi wybuchnęli śmiechem. Wołali: „Nie bój się, to tylko brat, ten porządny". Jarosław Kurski od lat kieruje „Gazetą Wyborczą". Książka w pierwszej części jest poruszająca. Kurski odkopuje swoje dwa rodzinne korzenie, odkrywa, że jeden jest żydowski, ten od strony matki. Wyobrażam sobie, że jego brat jest zdruzgotany tą książką. Ojciec dyrektor już na pewno wie, i Braun, i koledzy z partii. Jaki wstyd. To zdumiewające, że w jednym domu wychowywało się dwóch braci – jeden jest człowiekiem mądrym i szlachetnym, a drugi po prostu kanalią. Wśród tylu obrzydliwości w PiS Jacek Kurski wyróżnia się, stworzył telewizję, która korzystała z doświadczeń propagandy krajów totalitarnych. Gardzą nim nawet ludzie prawicy. Ciekawe, że bracia mają to nawet wypisane na twarzach: uczciwość i podłość.

•

Brakuje mi Marcina Króla, zmarłego kilka lat temu historyka idei, twórcy „Res Publiki", od 1988 r. byłem w redakcji tego pisma. Marcin, chcąc nie chcąc, bardzo wpłynął na moje życie. Zachorował na grypę (ciekawe, kto go zaraził, tej osobie też jestem wdzięczny), a miał jechać na małe stypendium do Szwecji, poprosił więc, abym go zastąpił, co po roku wywróciło moje życie do góry nogami. A właściwie odwrotnie, wcześniej moje życie stało na głowie, a w Szwecji, kierując Instytutem Polskim, stanąłem na nogi.

Marcina pamiętam jeszcze jako wielkiego optymistę, ale w ostatnim rozdziale życia stał się wielkim pesymistą. Czytam jego słowa sprzed lat: „Po raz pierwszy w historii kultury została zerwana ciągłość. Nie ma przeszłości, a więc nie ma przyszłości. Jest tylko teraz. Nie najechali na nas barbarzyńcy. Sami się nimi stajemy. Większość neobarbarzyńców nie ma żadnych sprecyzowanych poglądów. Nie potrzebują tego. Intelektualistów też nikt już nie potrzebuje. Czasem się czuję, jakbym uprawiał zawód oszusta. Jestem wynajęty po to, żeby krytykować, oceniać, pomagać itd. Taka jest rola intelektualistów. Ale nikt nie chce nas słuchać. Nikomu na żadnej mądrości nie zależy. W świecie barbarzyństwa to nie jest potrzebne".

Marcin nie dożył drugiej kadencji Trumpa. Prezydent realizuje wszystkie jego złowrogie wizje. To barbarzyńca. Wchodzimy w okres chaosu. Ale chyba nawet czarnowidzący Król nie spodziewał się, że kołem napędowym dramatu będzie prezydent Stanów Zjednoczonych. I że każdego dnia będziemy się budzić z niepokojem, co też znowu wymyśli, komu zagrozi, kogo obrazi, co zburzy w ładzie światowym. Runął mit Stanów, budowany też przez amerykańskie kino. Widzę na Facebooku, że mój kolega z klasy (lubiłem go), mieszkający w Stanach, to trumpowiec, więc się nie dziwię, że wielbi też Brauna.

•

Niemiecki serial o gen. Franco ujawnił moją niewiedzę. Nie wiedziałem o skali zbrodniczych czynów generała. W sumie milion zabitych w wojnie domowej pod koniec lat 30. Jeszcze w latach 40. i 50. dochodziło do masowych mordów i tortur, znikali jego przeciwnicy. Iberyjska forma faszyzmu. Współpracował z Hitlerem, ale był na tyle cwany, że nie dołączył do wojny po stronie Państw Osi. W latach 50. zabierano dzieci rodzicom, też przeciwnikom politycznym, by po kryjomu wychowywać je na zwolenników generała. Państwo, przy żywym udziale Kościoła katolickiego, porwało 300 tys. dzieci. Takie rzeczy nie działy się nawet u nas w czasach stalinowskich. Generał oddał miękko władzę na progu śmierci w 1975 r. Wcześniej zgodził się na reformy, wbrew sobie, ale znowu był sprytny, zaufał fachowcom i Hiszpania dźwignęła się z biedy większej niż nasza.

> Idealizuje się przeszłość, bo jest już do końca wyjaśniona.

Gdy patrzę teraz na Nawrockiego, widzę, jaki to świetny materiał na dyktatora, narcyz, nacjonalista, z charyzmą dla prostego ludu. Można mieć nadzieję, że nie pozwolimy mu na to, na co ma ochotę. Ktoś napisał, znalazłem na Facebooku: „Polska jest jedynym krajem na świecie, który wypowiedział sam sobie wojnę i ją przegrał – i robi to cyklicznie, od stuleci, wciąż według tego samego scenariusza". Efektowne, ale to nie do końca prawda.

Autodestrukcja, wojny domowe to nie tylko polska specjalność. Trump zachowuje się tak, jakby chciał doprowadzić do wojny domowej w Stanach. Kolega pracujący kiedyś w Departamencie Stanu pisze mi z Waszyngtonu, że ma poczucie większej bezsilności, niż miał na początku stanu wojennego – ukrywałem się wtedy u niego, spędzaliśmy razem te pierwsze tygodnie. Jednak było okropnie. Idealizuje się przeszłość, bo jest już do końca wyjaśniona. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c9f2caf81d

Trubin bohaterem Lizbony

Najsłynniejsze gole bramkarzy

Wojciech Kuczok

Anatolij Trubin, bramkarz reprezentacji Ukrainy, w dzień powszedni golkiper Benfiki Lizbona, od zeszłej środy jest na językach wszystkich kibiców piłkarskich, nadworni rymotwórcy piszą o nim ody, dłuciarze wykuwają pomniki, pędzlimoczki dopieszczają monidła. Nic mi nie wiadomo o piłkarskich pasjach Fernanda Pessoi, ale największy poeta znad Tagu miał tyle heteronimów, że jeden z nich spokojnie mógłby bohaterowi ostatniej akcji meczu Benfika-Real poświęcić cykl wierszy, gdyby oczywiście dzięki zakrzywieniu czasoprzestrzeni mógł go zobaczyć.

Fadistas o Trubinie zaśpiewać nie mogą, bo jego wyczyn był ekstatycznym zaprzeczeniem narracji melancholijnej, radosnym przełamaniem fatum, by nie rzec – oszukaniem przeznaczenia. Kiedy gra Benfica z Realem, wytrawny kibic zawsze jest przygotowany na widowisko co niemiara, wszak legendą najlepszego meczu w historii klubowego futbolu owiany jest finał Pucharu Europejskich Mistrzów Krajowych z 1962 r.

Zwłaszcza dla polskiego pokolenia dzisiejszych 70-latków to musiało być przeżycie mistyczne – ten mecz był pierwszą w historii TVP transmisją live z Zachodu. Pewnie nawet marudny remis zapamiętaliby jako jedno z futbolowych wydarzeń swojego życia, tymczasem Eusébio, Di Stéfano, Puskás i pozostałe gwiazdy z Półwyspu Iberyjskiego postarały się na stadionie olimpijskim w Amsterdamie o spektakl najwyższej próby. Padło osiem goli, Benfica dwukrotnie odwracała losy meczu (Czesława 711 Michniewicza nie było jeszcze na świecie, a już się sprawdzała jego maksyma, że 2:0 to niebezpieczny wynik), by ostatecznie wygrać 5:3. 20-latek z Mozambiku został obwołany „Czarną Perłą" i zdetronizował leciwych mistrzów z Realu (Puskás i Di Stéfano byli już po 35. urodzinach, co wtedy stanowiło dla graczy z pola wiek matuzalemowy). Ilekroć zatem As Águias pojedynkują się z Los Blancos, piłkarze obu drużyn powinni mieć świadomość, że mierzą się z mitem nad mitami, przejść do historii w takim meczu jest szalenie trudno. Ci, którzy pamiętają 1962, zawsze pokręcą głową i orzekną: „Nieźle, całkiem, całkiem, ale to nie to, co wtedy".

W środowy wieczór Liga Mistrzów kończyła grupową fazę rozgrywek, miłośnicy permanentnej dystrakcji mieli swoje godziny rozkoszy – multiliga oferowała transmisję z 18 meczów jednocześnie, wyświetlając tabelę, która nieustannie się zmieniała razem z aktualnymi rezultatami spotkań: jedni awansowali do rajskiej ósemki, drudzy doczołgiwali się do strefy baraży, jeszcze inni spadali w otchłań niebytu, obsuwając się poniżej ostatniego premiowanego miejsca. Jeśli kto miał wątpliwości, czy ta 36-klubowa formuła ma sens, środowe cuda definitywnie rozwiały tę niepewność. Chodzi przecież o to, żeby nikt nie miał spokoju do samego końca, żeby uniknąć meczów o pietruszkę, aby wszyscy do końca grali na serio w tych najbardziej prestiżowych i najlepiej opłacanych rozgrywkach na świecie.

Eusébio, Di Stéfano, Puskás i inne gwiazdy z Półwyspu Iberyjskiego postarały się na stadionie w Amsterdamie o spektakl najwyższej próby. Padło osiem goli.

Wszystkie mecze zaczęły się o tej samej porze, ale ten lizboński trwał najdłużej, także z powodu zamieszania, kiedy aż dwaj zawodnicy Realu w doliczonym czasie otrzymali zasłużone czerwone kartki. Lizbońscy podopieczni José Mourinho przystępowali do tego meczu przyparci do muru – aby mieć nadzieje na utrzymanie się w dalszej grze o najcenniejszy puchar, musieli wygrać. Real wydawał się bezpieczny, przed meczem był na podium nadzwyczaj rozciągniętej tabeli Champions League i tylko wyjątkowo niefortunna koincydencja mogła sprawić, że Królewscy wypadną poza czołową ósemkę, gwarantującą udział w 1/8 bez baraży.

Zaczęło się jak w meczu sprzed lat – Benfica atakowała z furią, była blisko szczęścia, ale to Real pierwszy trafił za sprawą niezawodnego Kyliana Mbappé. Rozjuszeni gospodarze nasilili ataki i dopięli swego – schodzili do szatni, prowadząc 2:1 i był to najniższy wymiar kary, Thibaut Courtois wielokrotnie ratował w pierwszej połowie swoich kolegów. Kilka minut po przerwie norweski skrzydłowy Schjelderup po raz drugi tego wieczoru trafił do siatki i wydawało się, że mecz zakończy się obustronnym happy endem: Real wciąż był nad kreską, a Benfice wystarczyło dowieźć zwycięstwo do końca.

Sprawy na innych stadionach potoczyły się jednak niekorzystnie dla obu drużyn – Real wciąż się osuwał w tabeli, widmo konieczności rozegrania dodatkowej rundy już w lutym stawało się coraz wyraźniejsze, a konkurenci Benfiki podwyższali wyniki tak, że samo zwycięstwo nad Realem mogło nie wystarczyć do awansu. Wygrana musiała być wyraźna, a najlepiej wysoka. Kiedy Mbappé, demonstrujący ostatnio zaiste galaktyczną formę i skuteczność ponownie trafił, wynik wciąż zadowalał obie strony. Pod koniec meczu do graczy Realu dotarło, że wskutek zwycięstw wszystkich bezpośrednich rywali przegrać

eprasa.pl c9f2caf81d



Anatolij Trubin strzela głową czwartego gola dla swojej drużyny podczas meczu SL Benfica i Real Madryt – ósmej fazy Ligi Mistrzów UEFA. Estádio da Luz, Lizbona, 28 stycznia 2026 r.

nie mogą – zaczęli więc nerwowo, zbyt nerwowo dążyć do wyrównania.

Najpierw za drugie żółtko wyleciał z boiska Raúl Asencio, potem w takich samych okolicznościach pożegnał się z murawą Rodrygo. Benfica była bliska wygranej, José Mourinho przeprowadził dwie defensywne zmiany, bramkarz gospodarzy Anatol Trubin przeciągał każdą chwilę z piłką, zanim wznowił grę. Do końca meczu pozostały sekundy, gdy do trenera Benfiki dotarło, że wobec wyników zakończonych spotkań jeden gol przewagi to za mało do awansu! Portugalczycy mieli jeszcze ostatni stały fragment, rzut wolny z 40. metra, Mourinho dawał rozpaczliwe znaki, aby bramkarz pobiegł w pole karne przeciwnika, zdziwiony Trubin („o co chodzi, przecież wygrywamy") posłusznie wykonał polecenie, wyluzowany ustawił się do główki, idealnie przymierzył i zdobył gola! O tym, że była to bramka na wagę awansu dowiedział się dopiero po fakcie! Być może właśnie ta nieświadomość i brak presji dały mu swobodę, dzięki której trafił. Cóż za dramaturgia – stadion fetował bohatera, najmłodsze pokolenia będą miały teraz nową legendę, która stanie na równi z popisowym spektaklem sprzed 64 lat.

A my musimy się mieć na baczności – niewykluczone, że od postawy Trubina będzie zależeć awans reprezentacji Polski na mundial, jeśli uda nam się pokonać Albanię, a Ukraina wygra ze Szwecją. Teraz już wiemy, że na tego typa trzeba uważać także we własnym polu karnym. Nie wystarczy mu strzelić, trzeba się jeszcze przed nim wybronić.

Historia piłki zna przypadki, gdy gole bramkarzy decydowały w ostatnich chwilach o wyniku, a nawet o kwestii awansu lub spadku, zdarzyło się to wcześniej nawet na poziomie Champions League. W 2009 r. turecki bramkarz Standardu Liège, Sinan Bolat, trafił przepiękną główką w okienko i dał swojej drużynie prawo do gry w Lidze Europy kosztem AZ Alkmaar. Pozostałe gole, które w tych rozgrywkach zdobywali bramkarze, były bramkami mniejszej wagi – aż trzykrotnie trafiał do bramki rywala (za każdym razem był to Juventus) Niemiec Hans-Jörg Butt, uparty i bezbłędny wykonawca rzutów karnych w swoich klubach.

Do grona bramkarzy, którzy wpisywali się na listę strzelców jako wykonawcy jedenastek, należy nawet Artur Boruc, który kiedyś przy stanie 5:0 przyczynił się do ostatecznego upokorzenia Widzewa przez Legię. Sam zresztą później padł ofiarą kolegi po fachu w kuriozalnych okolicznościach jako bramkarz Southampton – już w 16. sekundzie meczu przeciw Stoke City dał się pokonać bramkarzowi przeciwnika, który tak mocno wybił piłkę, że ta odbiła się od murawy i wpadła do bramki nad głową rozkojarzonego Polaka.

Bliźniaczą bramkę ze stu metrów strzelił Tomaszowi Kuszczakowi golkiper reprezentacji Kolumbii Luis Martínez w sparingu ekipy Pawła Janasa przed mundialem 2006. Byłem naocznym świadkiem tego kuriozum na Stadionie Śląskim, podobnie jak 20 lat wcześniej samobójczego zagrania Janusza Jojki – Chorzów ma pecha do bramkarskich incydentów, które zostały nieśmiertelnymi viralami. Gola bramkarza Stoke należy jednak cenić wyżej, albowiem Kolumbijczyk wybijał piłkę, podrzuciwszy ją sobie uprzednio rękoma, Asmir Begović zaś w meczu ligi angielskiej pokonał Boruca strzałem z ziemi.

Najpiękniejsze gole bramkarzy to jednak zasługa szalonych Latynosów. Brazylijczyk Rogério Ceni strzelił dla swojego São Paulo FC 131 goli i do dziś pozostaje najlepszym wykonawcą rzutów wolnych w historii ligi brazylijskiej. Niewiele mu ustępuje Paragwajczyk José Luis Chilavert, także specjalista od stałych fragmentów, który trafił nawet ośmiokrotnie dla reprezentacji swojego kraju.

Najpiękniejszego gola zdobył jednak Meksykanin Jorge Campos w meczu ligowym Atlante-Cruz Azul, gdzie w roli napastnika uderzył nożycami i wywalczył punkt dla swojego zespołu. Tego gola można oglądać w nieskończoność. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c9f2caf81d





W swojej pracy spotykam się z bardzo różnymi historiami dzieci i młodzieży – **mówi ratownik medyczny Yanek Świtała.**

W TEJ ROBOCIE NIE MOŻESZ BYĆ ZIMNĄ RYBĄ

KARETKA JEDZIE DO DZIECKA **PRZYPADKI RATOWNIKA MEDYCZNEGO**

Yanek Świtała

W swojej pracy spotykam się z bardzo różnymi historiami dzieci i młodzieży. Chcę opowiedzieć bez upiększeń o tym, co widzę na co dzień. O sytuacjach, które czasami mnie przytłaczają, czasami frustrują, a czasami zostają ze mną na zawsze. To są moje doświadczenia i obserwacje zebrane przez lata. Tu nie ma ściemy ani wymyślonych historii. W każdym zdarzeniu, które opisuję, brałem udział albo byłem świadkiem. Przeżywałem je. Tak, przeżywałem, bo w tej robocie nie możesz być zimną rybą (…).

Agresja wobec innych i siebie

Przychodzą wezwania do szkół i to często dotyczy już bardzo wczesnych klas. Coraz częściej wzywa się nas do dzieci, które są agresywne. Słyszę: „Przyjedźcie, bo uczeń zaatakował nauczyciela". Albo: „Dziecko pobiło rówieśnika". Pewnie my w ich wieku też się czasami biliśmy, to się zdarzało zawsze. Ale teraz trafiają się dzieci, w których jest tak wielka nienawiść do innych, do świata i do siebie, że mnie, dorosłemu facetowi, to się nie mieści w głowie.

Mamy jakąś dziwną epidemię dzieci z zaburzeniami, dzieci, które czasami mają wszystko, są przeopiekowane i nikt im nie stawia granic. A kiedy zderzają się z rzeczywistością, w której nie ma już mamy i taty na każde gwizdnięcie, wówczas nie radzą sobie nawet z prostymi drobiazgami. Coraz częściej przyjeżdżamy do dzieci, które same sobie robią krzywdę. Samookaleczenia zaczynają się od drobiazgów: ktoś dostał złą ocenę, ktoś usłyszał nieprzyjemny komentarz na korytarzu czy przeczytał w internecie. I to już wystarcza, żeby dziecko sięgnęło po nóż, żyletkę albo cyrkiel.

Kiedy przyjeżdżamy, widzimy dzieci pocięte na rękach, nogach, czasem na brzuchu. One same już nie wiedzą, dlaczego to zrobiły. Mówią: „Bo nie wytrzymałam"; „Bo chciałem, żeby ktoś zauważył". Albo nie mówią nic. Milczą. (…)

Blanka

Pierwsze wezwanie do niej dostałem w 2023 r. Miała wtedy 13 lat. Bardzo ładna, inteligentna dziewczynka. Wezwanie do domu dziecka. Blanka była tak nawalona mefedronem, że, jak to się mówi w naszym slangu: „Ona szybciej stała, niż ty

FOT. JAKUB NOWICKI/STUDIO INIGO, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c9f2caf81d

chodzisz". Właśnie wróciła z jakiejś ucieczki z torbą ciuchów, które prawdopodobnie ukradła albo uzyskała za korzyści seksualne. W placówce wybuchła kłótnia i Blanka wpadła w szał. Zaczęła rzucać sprzętami w koleżanki i w pracowników. Przyjechała policja. Wszedł taki wielki policjant z ramieniem grubszym niż moje udo, dosłownie człowiek-kwadrat, 2 na 2 m. Blanka do wszystkich krzyczy, wyzywa: „Chuj wam w dupę!" (to jedno z lżejszych) i dalej rzuca garami, talerzami, co tam miała pod ręką. Nie da się do niej podejść. Poprosiliśmy policjantów o założenie kajdanek. A oni nie mogą, bo gówniara nie ma skończonych 14 lat – takie są przepisy. No to mówię: „Panowie, zanieście ją chociaż do karetki siłą". Podszedł do niej ten wielki policjant, a ona rzuciła się na niego jak pilot kamikadze. Zaczęła go okładać pięściami, kopać, gryźć. Oczywiście poradził sobie z nią trzema palcami i zaniósł do auta.

Na całe to zajście opiekunki z domu dziecka odwracają się do okna, nie patrzą – w razie czego w sądzie powiedzą prawdę: „Niczego nie widziałyśmy". W karetce okazuje się, że nie mamy czym jej przywiązać, bo brakuje pasów na wyposażeniu, a ona zaczyna demolować sprzęty. Pada decyzja o rozpoczęciu procedury założenia „karty przymusu bezpośredniego" i zawiezieniu jej na oddział psychiatryczny. Ale oczywiście – nikt nas nigdy się nie uczył, jak taka procedura wygląda w przypadku dziecka, formalnie dotyczy ona pacjenta dorosłego. Blance udaje się w końcu podać leki uspokajające, dziewczyna się wycisza. Zatem zmiana decyzji i wieziemy ją na SOR. Na oddziale leki przestają działać, Blanka próbuje ugryźć pielęgniarkę. Dostaje pasy i kolejną dawkę głupiego jasia.

Pamiętam ją dobrze nie tylko z tego jednego zajścia; do Blanki jeździłem w sumie 13 razy. Dziewczynka pochodziła z patologicznej rodziny. Ojciec w więzieniu, matka alkoholiczka, kompletnie niezainteresowana wychowaniem dzieci. Próbowaliśmy jej pomóc wiele razy – wyciągaliśmy ją w stanie bezwładności ze śmietników, z klatek schodowych, z parku. Trafiła w końcu do poprawczaka o podwyższonym rygorze, ale uciekła i stamtąd. Jest bardzo prawdopodobne, że już nie żyje, bo w wieku 14 lat pakowała heroinę dożylnie i zadawała się z ludźmi, którzy nie dbają o życie młodej dziewczyny. Znaliśmy ją wszyscy w naszych zespołach – zawoziliśmy ją albo do bidula, albo do psychiatryka. I co robić, kiedy z tygodnia na tydzień widzisz, jak to dziecko gaśnie? Nikt nie może jej pomóc. To nie jej wina, że ojciec garus, a matka alkoholiczka. Jestem bezsilny. (…)

Coraz częściej przyjeżdżamy do dzieci, które same sobie robią krzywdę.

Na sportowo

Mieliśmy wezwanie do przemocy domowej. W zgłoszeniu: uraz głowy, uderzenie jakimś przedmiotem w czoło, rana krwawiąca. Już po opisie wiadomo, że coś się tam musiało wydarzyć. Zajeżdżamy pod wskazany adres – ładna ulica, widać od razu, że mieszkają tu ludzie, którym się powodzi. Naprawdę ładny dom zamożnych ludzi. Ale jak wchodzimy do środka, to wszystko jak zwykle. Szkło na podłodze, przewrócone krzesło, zbita lampa, jakaś roztrzaskana doniczka. Typowy obrazek po domowej awanturze.

W środku już jest policja. Ktoś siedzi w kuchni, ktoś inny stoi w korytarzu. (…) Pacjent to facet około pięćdziesiątki, przystojny, ładna koszula, włosy przystrzyżone. Powiedziałbyś normalnie, że to człowiek sukcesu. Trzyma się za głowę, krew mu ścieka po skroni. Kiedy pytam, co się stało, patrzy na mnie pustym, zimnym wzrokiem. Takim, który pamięta się długo. I mówi: „Uderzyłem się". Oczywiście niczego nie chce, nie potrzebuje pomocy, mam się nie wtrącać i zabierać ten plasterek, którym mu przykleiłem opatrunek. Typowa gadka, jaką słyszysz od ludzi, którym się wydaje, że kontrolują sytuację.

Samookaleczenia zaczynają się od drobiazgów: ktoś dostał złą ocenę, ktoś usłyszał nieprzyjemny komentarz.

No dobra. Nie mam prawa zmuszać go do niczego, jeśli nie chce. (…) I wtedy przychodzi policjantka. Mówi, że na piętrze jest jeszcze jedna osoba, która potrzebuje pomocy. Prowadzą nas na górę. Wchodzimy do pokoju, a tam siedzi młoda dziewczyna. 16, może 18 lat, trudno powiedzieć. Ładna, ale taka, jakby już jej ktoś odebrał młodość. Patrzy na nas i mówi cicho, że chyba ma złamane żebra. Pytam ją, po czym to wnioskuje. Zaczyna mówić coś o bólu, o tym, że nie może oddychać. Wyciągam ręce, żeby ją zbadać, a ona się cofa. Dobrze, mówię, zbada ją koleżanka, która była ze mną w zespole. Ja tylko potrzebuję wiedzieć, co się stało, żeby wpisać do dokumentacji.

Dziewczyna patrzy na mnie i mówi, spokojnie, bez emocji: „Pokłóciłam się z ojcem". I po chwili dodaje: „Bo mój ojciec jest psychopatą". Zaczyna mi opowiadać o tej kłótni takim językiem, że mam wrażenie, jakbym słuchał relacji profesjonalisty z zawodów MMA. Mówi: „Założył mi dźwignię łokciowo-kolanową, ale ja, żeby się wywinąć, użyłam chwytu obronnego, tylko że on wtedy chwycił mnie za włosy i założył dźwignię na bark. I wtedy już nie wiedziałam, co robić".

Siedzę i słucham. A w tym, jak to mówi, nie ma krzyku, nie ma emocji. To jest relacja z bójki, która w tej rodzinie wygląda jak codzienność. Potem dodaje, że ojciec jest fanem broni białej – i faktycznie, wszędzie w domu widać noże, maczety, teleskopy, jakieś klingi porozwieszane jak trofea. A ona mówi dalej: „Wtedy chwyciłam to, co było najbliżej – pałkę teleskopową – i rozjebałam mu głowę". Później się okazało, że to taka znana rodzina w okolicy. Wszyscy – ojciec, syn, córka – w reprezentacji Polski w jednej ze sztuk walki. Jeżdżą, trenują, startują. (…)

eprasa.pl c9f2caf81d

Czerwiec miesiącem samobójców

Z czym wam się kojarzy czerwiec? Pewnie z tym, że koniec roku szkolnego, wakacje, noc świętojańska i długie wieczory z dziewczyną czy chłopakiem. Same przyjemności. Niestety, czerwiec to też miesiąc, w którym najczęściej jeździmy do dziecięcych samobójców. Są sceny, które zostają w pamięci na zawsze. Zapnijcie pasy, bo będzie hardkor.

To jedna z najcięższych historii, jakie pamiętam. 1 czerwca 2023 r. Dostaliśmy wezwanie do kobiety potrąconej przez pociąg, wzywał maszynista. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zobaczyliśmy ciało wystające spod lokomotywy. Jak zwykle zacząłem się rozglądać wokół. Znalazłem legitymację szkolną – dziewczyna miała 15 lat. Położyła głowę na szynie, a pociąg przeciął jej czaszkę. To wyglądało tak, jakby ktoś piłą odciął czerep. (…)

Pomyślałem, że pewnie ma obcięte nogi, że się zaraz wykrwawi, ale na szczęście tak się nie stało. Miał na imię Mikołaj i 17 lat. (…)

No i najświeższa historia, dosłownie z wczoraj. Wezwanie do 13-latki. Dzwoni ojciec – mówi, że dziewczyna jest agresywna, rzuca przedmiotami, grozi samobójstwem, nie może sobie z nią poradzić. Przyjeżdżamy, przygotowani na awanturę domową, a ona siedzi spokojna, opanowana. I od razu widać po jej twarzy, że to nie jest zwykłe dziecko. Widać inteligencję, błysk w oku, ale też coś niepokojącego. Patrzysz i myślisz: „Jak ona dożyje 25 lat, to będzie taka femme fatale”. Inteligencją i pewnością siebie gasiła nas wszystkich dorosłych. Mówiła do ojca: „Tato, nie przerywaj mi”, i to nie był bunt typowej nastolatki, tylko świadome ustawienie sytuacji. Powtarzałem to sobie w głowie: 13 lat.

Co robić, kiedy z tygodnia na tydzień widzisz, jak to dziecko gaśnie? To nie jej wina, że ojciec garus, a matka alkoholiczka.

Jej matka w ogóle nie wiedziała, że córki nie ma w domu. Rano wyszła z psem, zobaczyła, że przy torach coś się dzieje – policja, ludzie, zamieszanie. Zrobiła zdjęcie i wrzuciła na lokalną grupę na Facebooku z podpisem: „Uważajcie, coś się stało na torach, jakieś zamieszanie”. I nadal nie sprawdziła, czy jej dziecko jest w domu. Dopiero policja ją poinformowała, że to jej córka. Wtedy kobieta przeszła zawał. (…) A co było powodem samobójstwa? Zwykła kłótnia z rodzicami. I właśnie to jest w tym wszystkim najgorsze.

Albo inna historia. Kilka dni później tego samego roku, 6 czerwca. Nie miałem wtedy dyżuru. Pojechałem do barbera, tramwaj numer siedemnaście. Nagle pojazd się zatrzymuje i motorniczy mówi, że dalej nie pojedzie, bo inny tramwaj blokuje przed nim tor. Uznałem, że pewnie awaria albo kolizja, ale poszedłem zobaczyć, co się dzieje. I zobaczyłem chłopaka pod tramwajem. Od pasa w górę wystawał spod wagonu, reszta ciała pod spodem.

Historia jakich wiele – od trzech lat wychowuje się tylko z ojcem, (…) w domu od dawna jest napięcie. A my przyjeżdżamy do „awantury rodzinnej”, tak to się nazywa w zgłoszeniu. Kto ma przyjechać? Policja przyjeżdża do przestępstw, pogotowie gazowe do wycieków, a do takich spraw – my. I choć nie znam się na dzieciach, muszę reagować. Zacząłem z nią rozmawiać. 40 minut gadałem jak z dorosłą. Powiedziałem, że jesteśmy tu po to, żeby jej pomóc, że wiele zależy od niej, że chcemy, żeby była bezpieczna. I miałem wrażenie, że to do niej dociera, że coś się w niej otwiera. Razem z ojcem uznaliśmy, że nie ma sensu na siłę wozić jej do psychiatryka, bo tam nikt jej nie pomoże. Zostawiliśmy ją w domu. Godzinę później kolejne wezwanie, inny zespół pojechał „na poprawkę”. Dziewczyna w celach samobójczych zażyła całe opakowanie tabletek. Na szczęście przeżyła. Medycznie – wszystko zrobione poprawnie, nie zawaliłem, nie złamałem procedur. Ale dla mnie to była porażka. (…)

I nie chodzi o to, że dałem się ograć 13-latce. Ona choruje od dawna i to rodzice są za nią odpowiedzialni, podejmują decyzje, ale moja rozmowa była ostatnia. Mój dyżur – ostatni kontakt. I nagle dociera do mnie, że ta 13-latka nas wszystkich zrobiła w bambuko. Swojego ojca, nas – starych koni. Ona tylko oczyściła sobie pole działania. A my daliśmy się nabrać. (…)

Za wcześnie dorosłe

Albo co zrobić z dziećmi, które zostają same z chorobą rodziców? Nie ma dla nich miejsca w systemie, nikt tego nie przewidział. Mieliśmy takie wezwanie w Wigilię – chyba dwa albo trzy lata temu. Pojechaliśmy do domu, który został mi w pamięci właśnie ze względu na ten, jak to się głupio mówi, wyjątkowy czas świąt, czas pełen cudów, miłości i ciepła. (…) A tamten dom? Wchodzisz i od razu czujesz, że tutaj świąt nie ma. Pustka, zimno. Zwykły dom, urządzony minimalistycznie, ale to nie był minimalizm zaplanowany, zaprojektowany. To była pustka, która powstała po prostu z braku wszystkiego.

Wezwał nas syn do matki. Kobieta miała nowotwór macicy, dziś już pewnie nie żyje. Zasłabła – medycznie nic nadzwyczajnego. Ale jej syn, 16, może 17 lat, był w tym wszystkim sam i musiał być już dorosły. Nie miał wyjścia, bo nie było nikogo, kto mógłby im pomóc, nikogo, kto by za nimi stanął. A ty znów przychodzisz, robisz swoje gusła, podłączasz EKG, choć wiesz, że to już niczego nie zmieni. Jak masz przerzuty, to nawet jak się zatrzymasz, nikt cię nie będzie reanimował. Nikt ci nie zrobi koronarografii, bo tego nie przeżyjesz. Patrzysz na takie dzieci za wcześnie dorosłe i wiesz, że to one niosą ciężar, który powinien nieść za nie ktoś inny.



Fragmenty książki Yanka *Świtały Pędzę do ciebie na sygnale. Polska przez szybę karetki*, Mando, Kraków 2026

eprasa.pl c9f2caf81d



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Widok osób cywilnych rozstrzeliwanych z zimną krwią w biały dzień na ulicy w Minneapolis przez milicjantów ICE jest wstrząsający, nie daje mi spokoju, burzy krew i budzi nienawiść do pomarańczowego diabła i jego popleczników. Wiem, że w tym samym czasie ginie nieporównanie więcej ludzi protestujących przeciw władzy ajatollahów w Iranie, wciąż umierają ofiary izraelskiego ludobójstwa w Gazie, ruskie drony załadowane bombami uderzają w bloki mieszkalne w Ukrainie – mimo to śmierć Renée Good i Aleksa Prettiego boli szczególnie, zwłaszcza że oba morderstwa zostały sfilmowane i są powszechnie dostępne w sieci. Boli szczególnie, bo na chwilę przed śmiercią widzimy twarze obywateli głęboko przekonanych, że mieli szczęście urodzić się w kraju swobód demokratycznych, że gdzie jak gdzie, ale w USA za to, że wyrażasz swój sprzeciw wobec władzy, ta władza nie strzeli ci z bliska w głowę albo w plecy. A potem świadkujemy bestialskim egzekucjom na bogu ducha winnych ludziach.

Stany Zrozpaczone Ameryki

Przywykliśmy do tego, że na świecie istnieją reżimy, które ludzkie życie mają za nic, ale wychowani w świecie postzimnowojennym święcie wierzyliśmy, że na straży światowego porządku stoi Ameryka, że imperium zła jest na wschodzie. W końcu na plakatach wyborczych Solidarności w 1989 r. prowadził Polaków do wolności szeryf o twarzy Garry'ego Coopera z westernu wszech czasów, bohater, który ostatecznie musi sam stanąć przeciw liczebnie przeważającemu Złu, gdy nad lojalnymi deklaracjami wsparcia przez sterroryzowaną społeczność górę bierze strach. A teraz USA stały się krajem, w którym władza zabija na ulicach niewinnych obywateli, a prezydent i jego świta stoją murem za swoimi oprawcami, oczerniając ofiary i identyfikując je jako terrorystów. Co więcej, pisowskie kanalie, chronione immunitetami poselskimi, jawnie i publicznie przyklaskują tym mordom i ogłaszają, że marzy im się zaprowadzenie podobnego „porządku" w Polsce, kiedy tylko odzyskają władzę. Deportacje wszystkich nielegalnych migrantów, natychmiastowa kula w łeb dla każdego wierzgającego przeciw władzy katotalibów „nieprawdziwego" Polaka – to, co do niedawna było mokrym snem prawactwa, teraz psychopatrioci śnią już na jawie. Przykład idzie zza oceanu.

Jestem zdruzgotany. Ale czy to tylko nagła gloryfikacja przemocy w kraju, który dotąd był niewinny i „czysty jak dzieweczka samotna, gdy myśli o białych kwiatach metafizycznej miłości do jedynego Bóstwa" (tak o sobie mówi demoniczny satrapa Gyubal Wahazar w dramacie Witkacego)? Wszak USA to kraj powstały na wyrzynce autochtonów, wzbogacony na niewolnictwie, potem o to niewolnictwo toczący krwawą wojnę domową, kraj przemocy i okrucieństwa Dzikiego Zachodu, kraj Ku Klux Klanu i segregacji rasowej, kraj bezlitosny wobec słabych i chorych jednostek (ochrona zdrowia tylko dla zamożnych), kraj powszechnego i legalnego dostępu do broni palnej – kraj, którego grzechem założycielskim były przemoc i okrucieństwo, a z czasem przemoc i okrucieństwo stały się jego codziennością.

Kiedy nie pracuję i nie wałęsam się pod ziemią, głównie czytam i oglądam – tak się składa, że ostatnio to niemal wyłącznie dzieła amerykańskie. Zjawiskowa debiutancka powieść Denisa Johnsona „Anioły", w jak zwykle kongenialnym przekładzie Krzysztofa Majera, to brutalna, drastyczna i pełna przemocy opowieść o wyrzutkach społecznych. Fenomenalne poetyckie palimpsesty Charlesa Reznikoffa z tomu „Świadectwa", których kolejną garść przełożył i skomentował Piotr Sommer dla „Literatury na Świecie", to właściwie rozpisany na wersy pitawal z Ameryki przełomu XIX i XX w. – niemal każdy wers spływa krwią, niesprawiedliwością i występkiem.

Najgłośniejsze lub najwybitniejsze filmy amerykańskie, które rozbiły bank nominacji oscarowych to obrazy skrajnej przemocy. „Grzesznicy" są gatunkową hybrydą, musicalem horrorem, gdzie trupy ścielą się gęsto, a potem równie gęsto wstają, by rozprawić się z żywymi. „Jedna bitwa po drugiej" to film o terrorze par excellence, w którym nawet biologiczny ojciec skazuje na śmierć córkę, byle nie wyszedł na jaw jego „nieczysty rasowo" romans. „Wielki Marty" jest opowieścią o śliskim typie, który chciałby osiągnąć sukces choćby i po trupach. „Bugonia" to właściwie pełnometrażowy pokaz tortur, za pomocą których protagonista chce dowieść, że porwana przez niego korposuka jest kosmitką.

Świat to dżungla, w której człowiek przestrzeń i prawo do życia musi wywalczyć sobie przemocą. Żadnej empatii, żadnej czułości, stan permanentnego wojennego wzmożenia, świat, w którym wrogość i podejrzliwość jest zasadą naczelną – zaczytywaliśmy się, zapatrywaliśmy się latami w te fikcje, a jak kto się burzył, że coś w tym raju na ziemi szwankuje, z automatu był obwoływany komunistą. Ameryka nie zdziczała nagle, przez 250 lat istnienia ten Zachód po prostu nigdy przestał być dziki, teraz staje się na naszych oczach krajem zbójeckim. ■

eprasa.pl c9f2caf81d



Paryż bez kawiarni nie istnieje

Bistra, integralna część art de vivre, znikają z przestrzeni publicznej

Tomasz Skowronek

We Francji ten widok jest niemal tak symboliczny jak wieża Eiffla. Taras kawiarni, rząd rattanowych krzeseł zwróconych ku ulicy, stoliki ustawione blisko siebie. Wielu ludzi siada na chwilę, na kawę, która niepostrzeżenie zamienia się w godzinę obserwowania miasta. W środku – przy ladzie – rozmowy toczą się między espresso a kieliszkiem wina. Nikt się nie spieszy. Nikt nie pyta, czy może się dosiąść.

Przedpokój miasta

Do bistro nie przychodzi się wyłącznie na kawę czy po to, by coś przekąsić. Bistro to styl życia. Miejsce przecinania się losów. Ktoś wpada przed pracą, ktoś po drodze na zakupy. Przy jednym stoliku omawia się półgłosem sprawy zawodowe, jakby od tej rozmowy zależało coś więcej niż tylko kolejny e-mail. Przy barze stały bywalec rozmawia z kelnerem – nie o menu, raczej o pogodzie, polityce, o tym, co wczoraj mówili w radiu. Kelner słucha, potakuje, dolewa wina. Zna swoich gości. Wie, kto pije kawę na stojąco, kto musi usiąść, kto przychodzi codziennie, a kto tylko wtedy, gdy coś w życiu przestaje się układać.

Rozmowy w bistrze nie wymagają ceremonii. Zaczynają się i kończą nagle. Ktoś dosiada się bez pytania. Ktoś inny wychodzi w połowie zdania. Bistro działa jak przedpokój miasta – jest czymś pomiędzy pracą a domem. To tu przekazuje się informacje, umawia spotkania, podejmuje drobne decyzje. Krzesła stoją blisko, więc chcąc nie chcąc, słucha się cudzych historii. Nikt jednak nie myśli o naruszeniu prywatności – to raczej część kultury miejsca.

Takie sceny to codzienność w wielu miastach: Paryżu, Nicei, Antibes, Lyonie, Bordeaux czy na wyspiarskiej Korsyce. I właśnie te sceny powoli znikają. Na początku XX w. we Francji istniało ponad 508 tys. bistr i kawiarni. Dziś zostało ich mniej niż 40 tys. Znikają z przestrzeni miejskich cicho, bez manifestów i pożegnań.

Café de Lyon w Nicei istnieje od 130 lat. Mieści się w dawnym sklepie mięsnym, na trasie, którą przemierzali pierwsi pasażerowie linii kolejowej Paryż-Lyon-Marsylia. Lokal prowadzi Patrick François – przejął go po ojcu. W latach 80. stworzył tu atmosferę i klimat w stylu art déco, wplatając w wystrój relikty przeszłości. – Mamy ekspres przelewowy z początku XX w. To jedno z pierwszych takich urządzeń – niezbyt praktyczne, ale bardzo estetyczne – mówi z dumą Patrick. Dorastał w zapachu kawy i zgiełku rozmów. – Ludzie, hałas, atmosfera. Najlepiej się czuję, gdy lokal jest pełny. Nawet zimą taras nie świeci pustkami. Zawsze jest na co popatrzeć. Ludzie przechodzą, życie miejskie się toczy.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c9f2caf81d

W obliczu powolnej erozji takich miejsc Francuskie Stowarzyszenie Bistr i Kawiarni oraz PMU (operator zakładów na wyścigi konne w Europie) ogłosiły wspólną inicjatywę: starania o wpisanie francuskich bistr na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO, argumentując, że bistro jest integralną częścią art de vivre. Pomysł poparł prezydent Emmanuel Macron. „To batalia, którą chcemy stoczyć w UNESCO, ponieważ nasze kawiarnie i bistra sprzedają nie tylko kawę, ale też croissanty, bagietki i tradycyjne produkty. Są strażnikami czasu", powiedział na początku stycznia podczas ceremonii dzielenia się *galette des rois* (ciastem pieczonym we Francji z okazji święta Trzech Króli) w Pałacu Elizejskim.

Już Honoré de Balzac pisał, że „lada w kawiarni jest parlamentem ludu". Trudno się z nim nie zgodzić. Przez dekady francuskie kawiarnie były centrami życia intelektualnego. To w nich przy stolikach dyskutowali Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Pablo Picasso, Ernest Hemingway czy Gertrude Stein.

„Kawiarnie były nie tylko punktami orientacyjnymi miasta, lecz także laboratoriami idei XX w. W kawiarni można spotkać prezesa firmy siedzącego obok robotnika. Nie sposób wyobrazić sobie Paryża bez kawiarni", przypomina ceniony historyk kulinarny Patrick Rambourg.

UNESCO w sprawie kawiarni

Znikanie takich miejsc oznacza coś więcej niż tylko stratę lokali gastronomicznych. To zanikanie przestrzeni, w których krzyżują się pokolenia, zawody i klasy społeczne. Tymczasem obecnie we Francji w ok. 20 tys. prowincji nie ma ani jednej kawiarni czy baru. A przecież często były to ostatnie miejsca spotkań mieszkańców wyludniających się małych miejscowości.

W marcu 2025 r. Zgromadzenie Narodowe przyjęło ustawę ułatwiającą uzyskanie licencji na otwarcie baru w miejscowościach liczących mniej niż 3,5 tys. mieszkańców. „Gdy zamyka się bistro, znika cała sieć społeczna", tłumaczy poseł partii Renaissance. „Osoby starsze tracą bezpieczne miejsce spotkań, mieszkańcy – przestrzeń do spontanicznych rozmów".

W czasach społecznych pęknięć i politycznych napięć bistro pozostaje jednym z ostatnich miejsc, gdzie Francuzi wciąż ze sobą rozmawiają.

Kryzys dotyka jednak także metropolii. W ciągu ostatnich 20 lat zamknięto ok. 500 paryskich kawiarni. Przyczyn jest wiele: zmiany stylu życia, zakaz palenia, smartfony, które odciągają uwagę od rozmów. Pokolenie Z i milenialsi mniej jedzą, piją mniej alkoholu, krócej siedzą przy stolikach. Do tego dochodzą aplikacje dostawcze i kawiarnie sieciowe, gdzie można zamówić wszystko i o każdej porze".

– To, co pijesz, jest tylko tłem – mówi Lindsey Tramuta, autorka książki „The New Paris". – Kawa jest dodatkiem do doświadczenia. Ale dziś coraz częściej chodzi wyłącznie o jej jakość, a nie o kulturę.

Wiele historycznych kawiarni stało się atrakcjami turystycznymi. Dziennikarz kulinarny Domenico Biscardi nazywa to muzealizacją – przestrzenie tracą swoją dostępność i autentyczność, zamieniając się w drogie dekoracje z kolejką do wejścia.

Według badań Ipsos (2025) 91% Francuzów uważa, że odbudowa więzi społecznych jest pilną potrzebą, a 75% wskazuje kawiarnie i restauracje jako miejsca najbardziej sprzyjające relacjom. „Bistra PMU to katalizatory towarzyskości", podkreśla operator w komunikacie Stowarzyszenia Francuskich Bistr i Kawiarni.

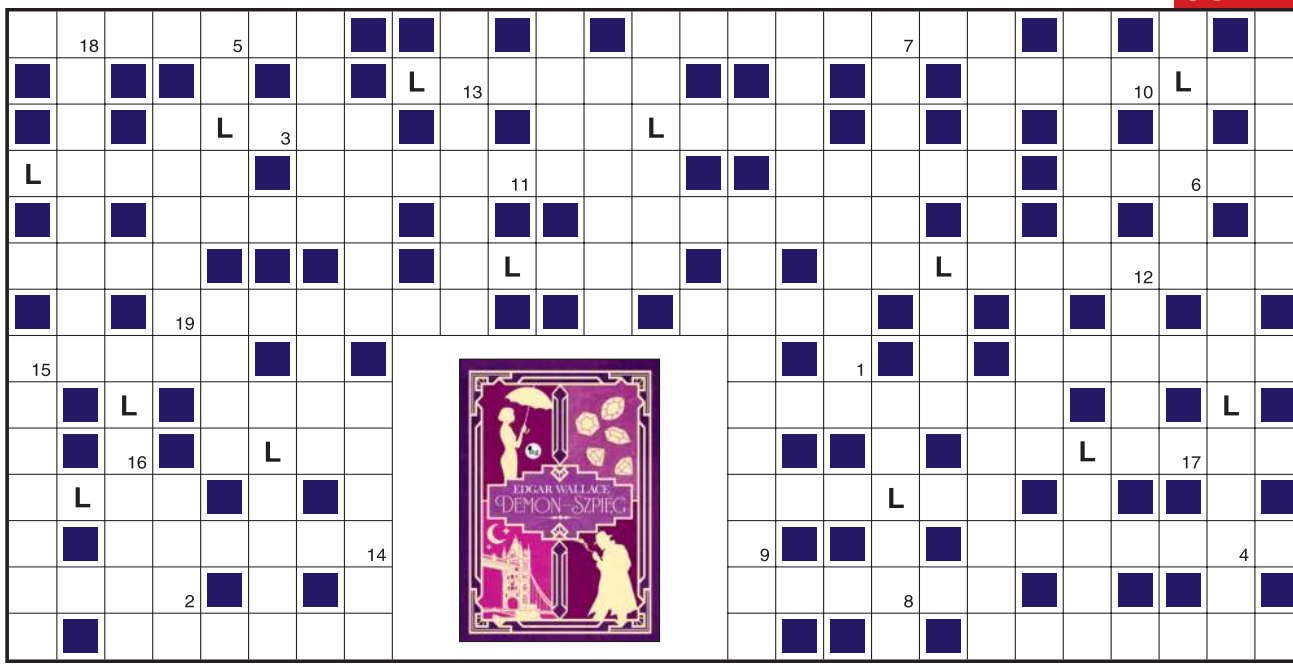
– Z ponad pół miliona bistr zostało niecałe 40 tys. – mówi Alain Fontaine, prezes stowarzyszenia. – Jeśli ten trend się utrzyma, za 40 lat poza dużymi miastami nie będzie ich wcale.

Status niematerialnego dziedzictwa UNESCO otrzymały już m.in. kawiarnie wiedeńskie oraz włoska gastronomia. Czy francuskie bistra dołączą do tej listy – nie wiadomo. Pewne jest jedno: w czasach społecznych pęknięć i politycznych napięć bistro pozostaje jednym z ostatnich miejsc, gdzie Francuzi ze sobą wciąż rozmawiają. Pomiędzy espresso a kieliszkiem wina. ■



eprasa.pl c9f2caf81d

JOLKA



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- rzymski bóg wiatru północnego
- Dreyfus, Jarry lub de Musset
- Pennińskie z Matterhornem
- siostra Charlotte i Emily Brontë
- paryski opryszek
- z francuska przewaga, korzyść
- stolica i port kaspijski
- dobywa się z gardła duszonego
- wynajęty lot lub statek
- św. Teresy wyrzeźbiona, św. Franciszka namalowana
- napój o magicznym działaniu
- kolej linowa w Chorzowie
- Zjednoczone… Arabskie
- ozdobiony frędzlami naramiennik
- ktoś wrażliwy na piękno
- „…syn rybaka”, serial kostiumowy z Perepeczką
- …i łacina – języki klasyczne
- terytorialna odmiana języka
- kto go zwraca, przyznaje, że nie miał racji
- podszywający się oszust
- pchła albo pluskwa
- biblijny bratobójca
- Trump na nią też ma chrapkę i grozi jej cłami
- kupisz w niej bilet
- pierwsza lub druga w pociągu
- …św. Piotra do niebios
- składać je – czytać powoli, niewprawnie
- kto ma krótki, łatwo wpada w złość
- gra z kumulacjami
- królowa pruska i poemat Bursy
- nakrętka na śrubie
- nad tym jeziorem Augustów
- korzystny… mogą przybrać sprawy
- co kraj, to…
- „Ernani” lub „Rigoletto”
- i jagnię, i parafianin
- pospolity chwast
- wygodniś i domator
- pluskiewka
- przeciwieństwo marzycielki
- kompozycja rzeźbiarska na płycie
- dokładka na talerz
- bunt szlachty
- zwinięte w rulon ciasto albo mięso
- plamista lub czarna wśród płazów
- …prasowy – punkt sprzedaży prasy, przekąsek itd.
- co z niego szyte – z tkaniny ciętej pod kątem
- środowiskowa odmiana języka
- opowieści, domysłów, pajęczyny
- długość okresu zatrudnienia
- bryła jak lejek
- liścio- lub patykopodobny owad
- jedna w słowach rak, mecz, tło
- w herbie Warszawy
- ubraniowa lub grająca
- można kogoś zeń zbić
- malarz i odcień rudości
- dawny polski producent elektroniki
- dziekański, wypoczynkowy lub macierzyński
- rygiel
- hałastra, banda, wataha
- opóźnienie wykonania czegoś

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1259”. Do rozlosowania książki „Demon-szpieg” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 lutego 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1256” z nr. 3: *Fortele to oręż niewolnika.*
Nagrody otrzymują: Wojciech Lubomski z Krakowa, Zdzisław Otmianowski ze Świnoujścia, Piotr Pałczyński z Warszawy.

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

eprasa.pl c9f2caf81d

Polityka duża i mała

Polityka zagraniczna dzieli się na tę większą i małą. Na początek o większej. Otóż w ubiegłym tygodniu z oficjalną wizytą w Pekinie przebywał premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer. Była to pierwsza wizyta szefa brytyjskiego rządu w Chinach od ośmiu lat. Na pokład samolotu do Pekinu Starmer zabrał ponad 50 menedżerów brytyjskich firm, a głównym tematem wizyty były sprawy handlowe. Starmer to czwarty przywódca Zachodu – czy też sojuszników USA – który w styczniu odwiedził Pekin.

Na początku stycznia prezydent Korei Południowej Lee Jae-myung i przewodniczący Chin Xi Jinping ogłosili w Pekinie pełne wznowienie strategicznych relacji między swoimi krajami. I podpisali 15 porozumień dotyczących współpracy gospodarczej.

W styczniu z przewodniczącym Xi rozmawiali w Pekinie premier Finlandii Petteri Orpo oraz kanadyjski premier Mark Carney, który podpisał z Chinami porozumienie gospodarcze, mające znieść bariery handlowe.

Jeszcze wcześniej, na początku grudnia 2025 r., w Chinach gościł prezydent Francji Emmanuel Macron. A dziennik „China Daily" w komentarzu wyrażał nadzieję, że Paryż, jako jeden z „motorów" UE, odegra kluczową rolę w promowaniu „stabilnego i zdrowego rozwoju" stosunków na linii Chiny-Unia Europejska. Dodajmy, że w lutym w Pekinie spodziewana jest wizyta kanclerza Niemiec Friedricha Merza.

Oto skutki działań Donalda Trumpa i jego ekipy.

A teraz o polityce małej.

Minister Sikorski też złożył oficjalną wizytę. Udał się do siedziby prezydenta RP Karola Nawrockiego, by prowadzić rozmowy w sprawie nominacji ambasadorskich. I nawet podjęli wspólne uzgodnienie – że nic o tym sprawach nie będą mówili dziennikarzom. Bardzo to budujące.

Ale – dodajmy – w tej beznadziei jest światełko w tunelu. Otóż Sikorskiemu towarzyszyła Henryka Mościcka-Dendys, jedna z sześciu wiceministrów w MSZ. Co tu się rozwodzić – dla wszystkich jest to sygnał, że mamy w MSZ numer 2, przynajmniej od spraw kadrowych, czyli – w polskich realiach – tych najważniejszych. To niemal oficjalne potwierdzenie korytarzowej mądrości, że jak się chce w MSZ coś załatwić, to trzeba poprzez Henię.

A po drugie, jest szansa, że sprawa ambasadorów zostanie załatwiona. Otóż, Mościcka-Dendys ma dobre papiery, żeby rozmawiać z kancelarią Nawrockiego. Za czasów, gdy wiceministrem w MSZ był Marcin Przydacz (dziś u Nawrockiego), była najpierw ambasadorem w Danii, a potem dyrektorem biura administracji, odpowiadała za działkę, na której wykładał się każdy: inwestycje, remonty itd. Tymczasem Mościcka-Dendys sprawnie to opanowała. A przynajmniej sprawnie potrafiła wyjaśnić, dlaczego jakieś sprawy wciąż są niezałatwione. Czyli potrafi współpracować z ludźmi z PiS. Czy dlatego Sikorski bierze ją, gdy udaje się z wizytą do Nawrockiego?

To chyba dobra taktyka. Bo gdy minister do czegoś zabiera się sam, różnie mu wychodzi.

Oto na platformie X szef polskiego MSZ Radosław Sikorski zwrócił się z pytaniem do Elona Muska: „Hej, big man, @elonmusk, dlaczego nie powstrzymasz Rosjan przed używaniem Starlinków do celowania w ukraińskie miasta? Zarabianie na zbrodniach wojennych może zaszkodzić twojej marce". Na co w odpowiedzi usłyszał: „Ten śliniący się imbecyl nawet nie zdaje sobie sprawy, że Starlink jest podstawą ukraińskich łączności wojskowych".

Takie dialogi to nie jest dyplomatyczny sukces.

Attaché



Hussein Liwa, przesiedlony Palestyńczyk, przewozi mieszkańców w Gazie, 25 stycznia 2026 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl c9f2caf81d









PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

ANDRZEJ OLECHOWSKI,
WSPÓŁZAŁOŻYCIEL PLATFORMY OBYWATELSKIEJ

Obowiązywała wtedy tzw. Mała Konstytucja i trzy resorty były „prezydenckie". Prezydent Lech Wałęsa zaproponował mi tekę, a później premier Waldemar Pawlak ofertę potwierdził. Lech Wałęsa to dla mnie pomnikowa postać. Spotykałem się przez lata z cudzoziemcami i wiem, jak ludzie wspaniale na niego do dziś reagują. (…) Zamiast pękać z dumy, że człowiek zaszedł tak daleko, to my obrzucamy Wałęsę błotem. A przecież, gdy on rósł, to cały nasz naród ciągnął za sobą. Jako Polacy mamy swoje zalety i niestety mamy też swoje wady. A Lech Wałęsa to dziś już starszy pan, który czasami coś chlapnie i trzeba to zrozumieć. Ale należy być ostrożnym. Jak chlapnął, że Polska będzie drugą Japonią, to ludzie się śmiali do łez i pukali w czoło. A okazało się, że miał rację i teraz im głupio.

zwierciadło

TOMASZ KOT,
AKTOR

Tak jak hazard jest dla mnie czymś abstrakcyjnym i nigdy nie miałem ciekawości, żeby go spróbować, tak samo nie uczestniczę w tej zabawie, jaką jest próba zatrzymania czasu, co teraz staje się powszechną obsesją. Jestem chudym facetem, choć wolałbym być umięśnionym, jadłem nawet kiedyś podwójne obiady, żeby to zmienić, ale próbować się odmłodzić? Nigdy w życiu! Starania, żeby wyglądać młodziej, to największy paradoks naszych czasów, bo ludzie wykonują operacje plastyczne, żeby podkreślić swoją indywidualność, a finalnie upodobniają się do siebie. Naturalne siwe włosy są piękne. Ale być może w oswajaniu wieku pomaga mi zawód, bo otwiera się nowa pula ról.

press

ALEKSANDRA PUCUŁEK,
DZIENNIKARKA RADIOZET.PL

Nakładem Wydawnictwa Harde w październiku 2025 roku ukazała się książka dziennikarki Karoliny Opolskiej „Teoria spisku, czyli prawdziwa historia świata". 3 listopada Artur Wójcik, historyk i autor bloga Sigillum Authenticum, zwraca się do autorki na platformie X: „Szanowna Pani Redaktor, dlaczego w wydaniu papierowym książki pojawiają się w przypisach odniesienia do pozycji, które nie istnieją?". (…) 7 listopada portal Demagog opublikował artykuł, w którym prześledzono 227 pozycji podanych jako przypisy dodatkowe w „Teorii spisku…" i autorki znalazły wśród nich „wiele błędów, niejasności i kolejne pozycje, które nie zostały nigdy wydane".

VIVA!

BOGNA SWOROWSKA,
MODELKA

Lubię patrzeć na mężczyzn z uwielbieniem. Podziwiać i słuchać. Wszyscy moi mężczyźni byli elokwentni, błyskotliwi. Twórczy. Każdy z nich miał jakiś talent. Cudownie zwiedzało się z nimi świat. Uważam, że mężczyzna musi być inspirujący. I mi się podobać. Tak, podobać! Strona fizyczna ma ogromne znaczenie i zawsze miała. Seksualność jest dla mnie jednym z tych obszarów, o których warto mówić spokojnie i bez tabu. Po menopauzie nic się nie kończy – raczej zmienia rytm, dojrzewa, nabiera innych odcieni. Bliskość nie zna metryki, a potrzeba czułości i przyjemności nie wygasa wraz z wiekiem. Myślę, że nowa miłość przede mną. Czy to będzie krótki związek, czy długi? Nie wiem. Nie nastawiam się na nic, ale… jestem otwarta.

FOT. SARKA FARKA (3), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl c9f2caf81d

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

YCIETSTAETORNIE

MĄROĆTOIEAMWIEZA

ODIEBENICIEKIEZ

ŻYCIE TO STAŁE TWORZENIE, MĄDROŚĆ TO NIE SAMA WIEDZA, OD SIEBIE NIE UCIEKNIESZ



Aby język giętki…

STEFAN CHWIN O WSPÓLNOCIE

Nigdy żadne społeczeństwo nie było wspólnotą i nigdy nią nie będzie. Społeczeństwo zmienia się w naród w momencie zagrożenia zewnętrznego.

MAREK KONDRAT O CHARAKTERZE MEDIÓW

Zatraciły charakter, powagę, tembr. Trudno o tembr, gdy twórcy mediów walczą nawet z ortografią.

MARTA CIENKOWSKA, MINISTER KULTURY, O PARTII POLSKA 2050

Jeb… przychylne media. Jak zmienimy zarząd i się weźmiemy do roboty, to wszyscy zapomną o tej napier… i planowanym przewrocie.

KRZYSZTOF VARGA RADZI ZBIGNIEWOWI ZIOBRZE

Korhelyleves, czyli „zupa na kaca", kapuśniak z kiełbasą, wędzonką, śmietaną i papryką oczywiście, zakocha się pan w nim.

KRYSTYNA DEMSKA O DANIELU OLBRYCHSKIM

Wracam do domu, a Daniel ustrojony w medale pyta, czy za niego wyjdę. „Nie odmawia się generałowi".

HANIA RANI O MUZYCE

Największą umiejętnością jest zrobienie czegoś skomplikowanego w taki sposób, żeby ludzie nie bali się w to wejść.

ILONA OSTROWSKA O PATRYKU STAWIŃSKIM

Wie, że sceny intymne to moja praca i pasja, a serce i głowa są gdzie indziej. Ufamy sobie.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl c9f2caf81d

„Bohaterowie współczesnej melancholii" to wystawa prezentująca prace **Miriam Pawlęgi** – artystki multimedialnej i malarki, która w centrum zainteresowań stawia wewnętrzną kondycję współczesnego człowieka. Punktem wyjścia jej twórczości jest poczucie zagubienia w świecie pozbawionym trwałych moralnych przewodników. W odpowiedzi na ten stan jednostka zmuszona jest tworzyć prywatną mitologię istnienia. Artystka ukazuje wewnętrzne konflikty wynikające ze zderzenia sprzecznych emocji, potrzeb i ról społecznych.

Inspiracją dla Miriam Pawlęgi są psychologia osobowości, teoria tożsamości oraz mechanizmy emocji. To opowieść o niejednoznaczności, melancholii i poszukiwaniu siebie w świecie, w którym jedyną trwałą mitologią pozostaje mit własnego istnienia.

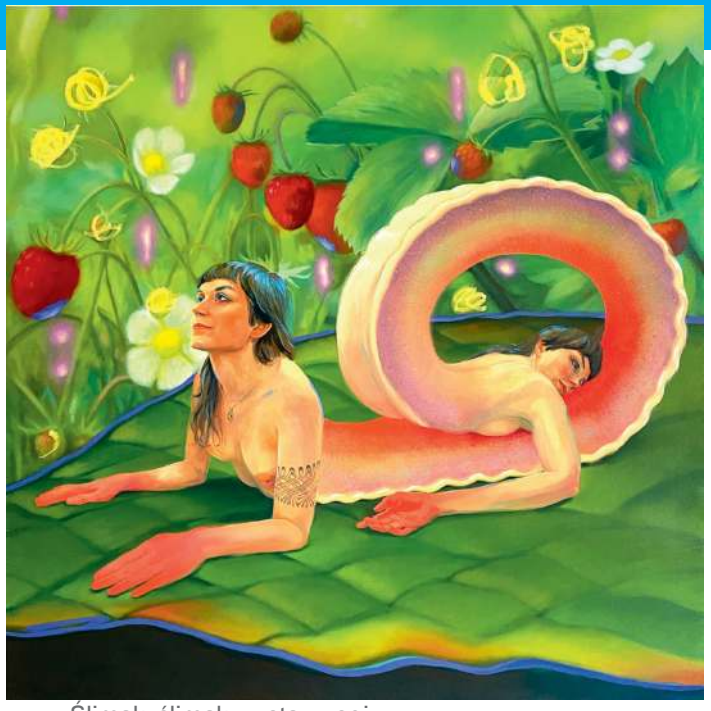
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



LET HER THROW THE FIRST STONE

Wrocław
Centrum Kultury Agora
ul. Serbska 5a
do 15 lutego

BOHATEROWIE
WSPÓŁCZESNEJ MELANCHOLII



Ślimak, ślimak wystaw rogi



Wejdźmy do tej samej wody

eprasa.pl c9f2caf81d









SKRZEK/PIOTROWSKI/ANTHIMOS

SBB

BIELSKO-BIAŁA
CAVATINA HALL
6 MAJA

WARSZAWA
KLUB STODOŁA
12 MAJA

GDAŃSK
STARY MANEŻ
14 MAJA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl c9f2caf81d



eprasa.pl c9f2caf81d